



El. Otrębski

15720

K. DICKENS.

— *El. Otrębski*

Z GŁĘBI MORZA

powieść z angielskiego.

Tłumaczył

J A N Ł A M.



WE LWOWIE.

Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu Św. Ducha l. 10.

1876.



ROZDZIAŁ I.

Wieś.

— A, to szczególne miejsce, doprawdy, i piękne, jakiego w życiu nie widziałem — rzekł kapitan Jorgan, patrząc w górę.

I musiał kapitan niepospolicie zadzierać głowę do góry, ażeby zobaczyć miejsce, o którym mówił, bo była to wieś zbudowana na stromej, prostopadłej prawie pochyłości wysokiej skały nadmorskiej. Nie było tam widać ani drogi, nie było widać wozu, nie było widać kawałka równego gruntu. Od brzegu morza ku szczytowi skały, wznosiły się dwa nieregularne rzędy białych domów, splecione z sobą gdzieniegdzie, które wyglądały niby kombinacja drabin i rusztowań. Właziło się niejako do wsi i wylaziło się z niej po stopniach kamiennych, mających około sześciu stóp szerokości. Juki, oddawna zarzucone w całej Anglii, jako przybory dzieciennego jej wieku, tutaj były w powszechnem używaniu, i długie karawany obciążonych niemi koni i osłów wspinały się powoli w górę po stopniach, dźwigając ładunki ryb, węgla i innych towarów, wyładowanych na dole z całej floty łodzi wiejskich i z kilku małych statków żaglowych. Karawany te, wspinając się w górę lub równie mozolnie schodząc na dół, nikły czasem w kłębach dymu wychodzących z kominów i pojawiały się potem wyżej lub niżej, jak gdyby nagle wyrastały z kominów lub z piwnic. W całej wsi nie było dwóch domów podobnych do siebie wielkością, kształtem, dachem, okna-

mi lub drzwiami. Po kamiennych stopniach z muzycznym szmerem spływał strumień wody, czystej i jasnej, a z dźwiękiem tym mieszało się stąpanie juczych zwierząt, wołanie rybaków, ich żon i dzieci. Na dole, u grobli służącej do lądowania, trzeszczały windy i kabestany, i szeleściły żagle, a grobla i brzeg morza w koło pokryte były sieciami rybackimi. Czerwono-brunatne skały, bujno porośnięte drzewami do samego szczytu swojego, odbijały się pięknie w modrej fali, w pogodny dzień listopadowy, pod jasnym niebem północnego Devonu. Wieś tak była zasypana liściem jesiennym, od dołu do góry, że wyglądała jak ptasie gniazdo, i w istocie mnóstwo rozmaitego ptactwa zapełniało gałęzie drzew, pluskało się w wodzie lub rozsiadało się na jej brzegu.

Dla tego to kapitan Jorgan, siedząc na grobli, i kołysząc się z zadowoleniem, uderzył się dłonią po nodze, jak to zwykli czynić niektórzy ludzie na znak ukontentowania, i rzekł:

— A, to dziwnie oryginalne miejsce, i ładne, jakiego w życiu nie widziałem!

Kapitan Jorgan nie był jeszcze we wsi, przybył bowiem na groblę boczną drożyną, w celu obejrzenia „miejsca“ z poziomu własnego swojego żywiołu. Widział on w życiu wiele rzeczy i miejsc różnych, i obejmował wszystkie wrodzonym sprytem i potężną pamięcią. Kapitan Jorgan był Amerykaninem z rodu, Nowo-Anglikiem, ale był obywatelem świata, i jednoczył w sobie najlepsze przymioty najlepszych krajów pod słońcem.

Siedzieć gdziekolwiek, w swoim niebieskim surducie z długimi połami i w niebieskich pantalonach, a nie rozmawiać z każdym stworzeniem znajdującem się „na odległość głosu“ w jego pobliżu, było dla kapitana Jorgan czystem niepodobieństwem. Dla tego też rozpoczął natychmiast rozmowę z rybakami, wypytując ich o szczegóły ich rzemiosła, o przypływ i od-

plyw morza, o prądy, i o zalew tam, hen, w tamtej stronie, i o punkta wytyczne, których należało się trzymać zawijając do przystani, i o inne subtelności marynarskie. Między tymi, którzy odpowiadali na jego pytania, podobał mu się szczególnie jeden, młody rybak, mający lat dwadzieścia dwa albo trzy, odziany po żeglarsku, z ogorzałą twarzą, ciemnym, kędzierzawym włosom i jasnymi oczyma, patrzącymi otwarcie, prostodusznie i spokojnie z pod szerokiego marynarskiego kapelusza. Powierzchność jego ujęła kapitana.

— Założyłbym się o tysiąc dolarów — rzekł kapitan sam do siebie — że twój ojciec był uczciwym człowiekiem.

— Czy jesteś żonatym? — zapytał go głośno po niejakiem rozmowie.

— Nie jeszcze.

— Będiesz nim wkrótce?

— Mam nadzieję.

Bystry wzrok kapitana śledził najłżejszego ruchu jasnych oczu rybaka, i najmniejszego drgnięcia jego kapelusza. Naraz, kapitan uderzył się dłońmi po obydwu nogach, i rzekł sam do siebie:

— A to doskonałe, wyborne! Wszak to jego narieczona zagląda tam przez mur!

W istocie, bardzo ładne dziewczę patrzyło z za muru, okalającego małą tarasę ozdobioną winogradem i fuksjami, na której stał wiejski domek. Dziewczęciu temu wyczytać można było z oczu, że rybak, o którym mowa, był dla niej wcale nie obojętnym stafazem w tym krajobrazie pełnym słońca, powietrza i otuchy.

Kapitan Jorgan zgiął się najpierw we dwoje, wynurzając serdecznym wybuchem śmiechu radość, jaką czuł na widok szczęścia dwojga młodych ludzi, a potem wyprostował się i chciał zacząć rozmowę o innym jakim przedmiocie, gdy na stopniach prowa-

dzących od wsi pojawiło się indywiduum, na które zawołał:

— Tom Pettifer Ho!

Tom Pettifer Ho odpowiedział żywo i szybko zbiegł po schodach.

— Boisz się, jak widzę, w listopadzie, w Anglii, uderzenia słońca, Tomaszu, że wdziałeś twój kapelusz podzwrotnikowy, wylany smołą zewnątrz a wewnątrz wyklejony papierem?

— Ostrożność nigdy nie zawadzi, sir, odpowiedział Tom.

— Ostrożność! powtórzył kapitan śmiejąc się. Ty chroniłbyś się podobnoś tym twoim kapeluszem od słońca wśród lodów bieguna północnego! No, czegoż dowiedziałeś się na pocztę?

— Ono samo jest pocztą, sir.

— Co jest pocztą?

— Nazwisko, sir. Nazwisko trzyma pocztę.

— Zbieg okoliczności! zauważył kapitan. — Szczęśliwy traf! Pokaż mi drogę. Do widzenia, koledzy, na teraz; zaglądnę tu do was popołudniu, nim odjadę.

Pożegnanie to tyczyło się wszystkich rybaków w szczególności zaś owego jednego; to też wszyscy odpowiedzieli grzecznie, a osobiście ten jeden.

— To marynarz! rzekł jeden do drugiego, spoglądając za kapitanem. Był on nim w istocie, i tak wybitną była w nim cecha żeglarsza, że chociaż strój jego nie miał w sobie nic morskigo, z wyjątkiem koloru, ale był sobie zwykłym strojem lądowym, nieco przydługim w rękawach, a przykrótkim w pantalonach, i źle przylegającym na wszystkie strony, u dołu kończącym się parą butów à la Wellington, a u góry takim wysokim i sztywnym kapeluszem, jakiegoby żaden śmiertelnik nie mógł być używać na morzu przy jakimkolwiek wietrze — pomimo to, jeden rzut oka na jego rozumną twarz, ogorzałą od wiatru,

i na jego silną, brunatną dłoń wystarczał, aby odgnać jego rzemiosło. Master Pettifer przeciwnie, figura pod pewnym względem niezgrabnie wyelegantowana, z krzaczystymi bokobrodami, w ściśle marynar skim żakiecie, takichże trzewikach i innych przyborach, obok kapitana Jorgan tak mało patrzył na marynarza, jak na sławny potwór morski.

Kapitan i towarzysz jego drapali się w górę, przez wieś, która miała tak dziwne manowce i zakręty, że naraz np. dom szewca stawał w poprzek na samym środku drogi, a raczej schodów, i zdawało się, że potrzeba będzie przejść na wskroś, przez dom i przez szanownego majstra, zajętego pracą między dwoma małąkami okienkami, z jednym okiem mikroskopicznie niejako badającym geologiczną formację tej części hrabstwa Devonshire, podczas gdy drugie teleskopicznie bujało w dali po otwartym morzu. Podróżni nasi zatrzymali się na koniec przed ładniutkim domkiem, na którego zewnętrznej ścianie czytać można było po jednej stronie napis, że tu mieszka pani Raybrook, utrzymująca handel sukna, a po drugiej stronie „Pocztą.“ Przed domkiem płynął i skakał po kamieniach strumień, przez który prowadził mały mostek.

— Tak, to jest nazwisko, o które chodzi, rzekł kapitan. Możesz wejść za mną, jeżeli chcesz, Tom.

Kapitan otworzył drzwi i wszedł do małego sklepiu, mającego około sześciu stóp wysokości i mnóstwo pułapów i innych wypukłości u sufitu. Oprócz okna wychodzącego na ulicę, tj. na schody, było drugie, złożone tylko z jednej szyby, w przeciwnym kącie, a przez to drugie otwierał się widok na morze.

— Jak się pani miewasz? rzekł kapitan. Bardzo mię cieszy, że panią widzę. Przybywam z daleka w tym celu.

— Czy tak, sir? W takim razie cieszy mię także bardzo, widzieć pana, jakkolwiek pana nie znam.

Osoba, która odpowiedziała w ten sposób, była nie młoda już kobieta, wyglądająca przyjemnie i schludnie, niewielkiego wzrostu i dobrej tuszy, o ciemnych, żywych oczach. Stała ona wśród swojego gospodarstwa, i przypatrywała się kapitanowi z ciekawym uśmiechem.

— Ach, pan jesteś marynarzem! dodała natychmiast, składając dłonie — w takim razie witam pana serdecznie!

— Dziękuję pani. Nie pojmuję, jakim sposobem ta sól morska wyłazi ze mnie, ale zdaje mi się, że każdy spostrzeżę ją natychmiast na moim kapeluszu i na kołnierzu. Tak, pani, jestem żeglarzem.

— I tamten pan także, rzekła pani Raybrook.

— To jest, moja pani — odpowiedział kapitan, spoglądając na swego towarzysza — zgadłś pani o tyle, że bywa on na morzu, i o tyle jest marynarzem. Jest to mój szafarz, Tom Pettifer; poświęcał on się z kolei wszystkim zawodom i handlom, jakie tylko są na świecie. Swojego czasu, byłby zakupił od pani wszystkie jej krzesła i stoły, gdyby były na sprzedaż, ale teraz jest szafarzem. Ja, nazywam się Jorgan, jestem właścicielem okrętów, i prowadzę statki moje i mojego współnika, od lat dwudziestu pięciu. Nazywają mnie zwykle kapitanem, ale jestem nim tyle, co pani.

— Może pan zechce wejść do pokoju, i usiąść?

— Właśnie to chciałem proponować pani. Proszę naprzód.

Co rzekłszy, kapitan polecił swojemu szafarzowi, ażeby uważał na sklep i wszedł za panią Raybroko do pokoiku ozdobionego mnóstwem kwiatów w wazonkach, i służącego jednocześnie za pokój bawialny i za biuro urzędu pocztowego wioski Steepways.

— Otóż pani, rzekł kapitan, mało to panią obchodzić będzie, z kąd jestem rodem, chyba.... Ale w tej chwili, ktoś wszedł do pokoju, a kapitan spo-

strzegłszy go, zgiął się znowu we dwoje, klasnął dłońmi po nogach i zawołał:

— A to szczególna! Otóż i on znowu! Jak się masz?

Był to ten sam rybak, który tak się podobał kapitanowi na dole, nad morzem. Na domiar, przybywał ze swoją narzeczoną, którą kapitan odkrył był, gdy zaglądała przez mur. Piękniejszej z pewnością nie oświecało słońce, jakkolwiek pilnie świeciło tego dnia. Gdy stanęła przed kapitanem, z różowymi usteczkami rozwartemi nieco w skutek zdziwienia, z ciemnymi oczyma, dla tej samej przyczyny, szerszej niż zwykle otwartemi, i z oddechem nieco przyspieszonym, może w skutek drapania się w górę, a może w skutek pewnych tajemniczych szamotań się za drzwiami, podczas których kapitan uważał, że twarz jej chwilowo zaćmioną była szerokimi kresami kapelusza marynarskiego — gdy tak stanęła, była do tego stopnia czarująca, że kapitan poczuł się do moralnego obowiązku zgiąć się jeszcze raz w dwoje, i jeszcze raz plasnąć dłońmi po udach. Ubrana była skromnie, u łona miała jakiś kwiatek jesienny, na głowie, zamiast kapelusza lub czepka, małą chusteczkę ułożoną w sposób używany w niektórych okolicach Anglii i Włoch. Jest to z pewnością najdawniejsza moda ubierania głowy, zaprowadzona bezpośrednio po zarzuceniu figowych liści.

— W moim kraju, zawołał kapitan, podając dziewczęciu krzesło tak zręcznie, że tuż obok niej musiał potem usiąść młody rybak — w moim kraju, powiedzianoby o piękności z Devonshire, że jest ona „pierwszej sorty!“ Otóż, mój młodzieńcze, ciągnął dalej, przedstawwszy się rybakowi — mówilem właśnie twojej matce (do której jesteś bardzo podobnym) że mało na tem zależy, z kąd jestem rodem, chyba o tyle, że urodziłem się w kraju zapytań, w kraju, gdzie małe dzieci natychmiast po urodzeniu odzywają się

do matek: „Ne-u? Ile masz lat? I jakie mi dasz imię?“ To jest faktem. — Tu kapitan znowu uderzył się po nodze. — Owoż, to skonstatowawszy, pozwól, że się ciebie zapytam, czy nazywasz się Alfred?

— Tak, panie, odrzekł rybak.

— Nie jestem czarownikiem, mówił dalej kapitan, i nie myśl, że nim jestem, bo cię wkrótce wyprowadzę z błędu. Nie myśl także, że chociaż pochodzę z kraju owych cudownych dzieci, lubię pytać się dla pytania. Ktoś z twojej rodziny był na morzu?

— Mój brat starszy, Hugon, odparkł młody człowiek. Powiedział to głosem zmienionym i cichszym, i spoglądał na matkę, która mimowoli podniosła ręce i wpatrzyła się z niewymownym wzruszeniem w obcego gościa.

— Nie, na miłość Boga, nie myślcie nic podobnego — rzekł kapitan uroczyście. Nie przynoszę dobrych wiadomości o nim!

Nastąpiło milczenie, a matka obróciła się do kominika i zasłoniła sobie oczy rękami. Młody rybak wskazał na okno, a kapitan, idąc za jego wzrokiem, ujrzał młodą wdowę siedzącą opodal przy drugim oknie, zajętą szyciem, z małym dzieckiem śpiącym u jej łona. Milczenie trwało, póki kapitan nie zapytał Alfreda:

— Jak dawno to się wydarzyło?

— Wyjechał on na ostatnią swoją podróż, będzie temu więcej niż trzy lata.

— Okręt rozbił się, czy tak, i wszystko utonęło?

— Tak.

— No, rzekł kapitan po chwili — oto ja siedzę tutaj, a ten sam koniec może i mnie czeka. ON trzyma morza w wyrażeniu Swojej dłoni. Każdy z nas musi zawadzić gdzieś i dać nurka. Pocięchą naszą jest, żeśmy spełnili powinność. Założę się, że twój brat spełnił swoją!

— Spełnił! odparkł młody rybak. Jeżeli był kiedy człowiek, wiernie pełniący swoje obowiązki, był nim mój brat. Nie był on wcale człowiekiem nader bystrego umysłu, ale był wiernym, uczciwym i dobrym. Byliśmy synami niezamożnego wcale kupca w tych stronach, ale ojciec nasz strzegł dobrego swojego imienia, jak gdyby był królem.

— Piękna to rzecz, zważywszy zwłaszcza zwykle usposobienie ludzi tego zawodu. Ale, przerwałem ci twoją mowę.

— Brat mój wiedział, że ojciec zostawił nam dobre imię, ażebyśmy je przechowali nieskalanem.

— Nie mógł wam zostawić lepszego legatu. Ale przerywam ci znowu.

— Nie, bo nie mam nic więcej do powiedzenia. Wiemy, że Hugon strzegł swojego dobrego imienia w życiu i w śmierci. A teraz, dostało się ono znowu w moją opiekę. I oto wszystko.

— Doskonale powiedziano! Doskonale, młodzieńcze. Co się tyczy sposobu, w jaki twój brat zginął, dodał kapitan na stronie, być może, że mam niejakić wiadomości o tem, chociaż nie jestem tego pewnym. Czy nie moglibyśmy pomówić sam na sam z sobą?

Młody rybak wstał, ale w tej samej chwili bystry wzrok kapitana odkrył, że dziewczyna zwróciła się była do okna, aby powitać wdowę skinieniem ręki, a ta w odpowiedzi podniosła w górę robotę, którą się zajmowała, z łagodnym uśmiechem.

— Co też ona szyje?

— Co szyje Małgorzata, Kasiu? zapytał młody człowiek, zawieruszywszy gdzieś jedno ramię — niewiadomo gdzie.

Kasia zarumieniała się tylko zamiast odpowiedzi, a kapitan, gnąc się znowu w dwoje i uderzając się po nogach, powiedział:

— W moim kraju, nazwanoby to ślubną suknią. Fakt! Nazwanoby to tak, zapewniam was.

Ale zdaje się, że widok ten i w innym świetle przedstawił się kapitanowi, bo uśmiech jego zniknął i dodał łagodnie:

— I jak to pięknie, moi drodzy, widzieć ją, biedną młodą osobę, z tą sierotą na kolanach, zajmującą się waszym domem i waszem szczęściem. Oby wasz związek pomyślniejszym był niż jej, i oby dla niej także był pociechą. I oby boskie słońce widziało was wszystkich razem, szczęśliwymi, gdy ja już przestanę orać ten wielki słony obszar, nigdy nie zasiewany!

Kasia odpowiedziała bardzo serdecznie: Dziękuję panu, szczerze dziękuję! I z uprzejmą miną, posłała mu całusa, w którym przypadł oczywiście udział także i młodemu rybakowi, w chwili gdy otwierał drzwi, prowadząc kapitana do swojego pokoju.

ROZDZIAŁ II.

Suma.

— Schody są bardzo wąskie, sir, rzekł Alfred Raybrook do kapitana Jorgan, prowadząc go do swego pokoju.

— Nie węższe od tych, po których zlażę do mojej kajuty.

— Nie trudno uderzyć się w głowę, bo nisko.

— Jeżeli głowa sama nie uważa na siebie, natłukłszy się tyle po świecie, to nie warto zwracać na nią uwagi, odparł kapitan tak obojętnie, jak gdyby go się wcale nie tyczyła ta przestroga.

W ten sposób dostali się obydwoj do izby młodego rybaka która wyglądała tak schludnie i miłutko, jak sklep i pokój bawialny na dole, jakkolwiek było w niej bardzo ciasno. Izba ta miała jedno okno, odsuwane, i sufit, którego kształt pozwalał robić frenolo-

giczne studia nad konfiguracją dachu. Kapitan usiadł na łóżku i przypatrzył się chwilę okropnej karykaturze Kasienki, która zdobiła ścianę. Było to dzieło jakiegoś wędrownego artysty, którego kapitan podziwiał w duchu, ponieważ talent jego jako portrecisty widocznie wykształcony był wpatrywaniem się w rzeźbione głowy, zdobiące przody okrętów. Kapitan zaprosił następnie młodzieńca ruchem ręki, by zajął krzesło znajdujące się po drugiej stronie przedzielającego ich okrągłego stolika, i sięgnął do głębokiej kieszeni, umieszczonej w frontowych przepaściach ogromnego niebieskiego surduta, który miał na sobie. Wydobył on z niej czworogranistą flaszkę z grubego szkła, nie wielką, ale raczej przypominającą kształtem flakony, które można widzieć w skrzynkach zawierających apteki okrętowe. Flaszke tę postawił kapitan na stole, i trzymając na niej rękę, odezwał się, jak następuje.

— W ostatniej mojej podróży ku domowi, to jest, w podróży, z której prosto tu przybywam, spotkała mnie u przylądka Horn burza, jaka nie często spotyka ludzi, nawet w tamtych stronach. Nie pierwszy to raz mijałem ja ów przylądek, i jeżeli się nie mylę, miałem tam do czynienia z temi samemi zawieruchami, w których czart postradał ogon i rogi, w skutek czego przerobiono później rogi na wykluwacze do zębów dla dozorców murzynów w mojej ojczyźnie, podczas gdy z ogona zrobiono batogi na niewolników. Jeżeli kiedy zapuścisz się głęboko na południe albo na zachód Zjednoczonych stanów, będziesz mógł przekonać się, jak flegmatycznie ci panowie wykluwają sobie zęby owemi instrumentami, i jak dzielnie tymczasem gwizdają w powietrzu batogi z djabłego ogona. Otóż i tym razem, kiedy wracałem z Liverpool do Ameryki, powiadam ci przyjacielu, że dmuchało. I to jednym słowem, dmuchało; nie można było wia-
trom czynić zarzutu, że chwytają się półśrodków, al-

bo że udają, jakoby były czynnemi, nie! Dmuchało. Otóż, nie dmuchnęło mną wprawdzie w niebo, jakkolwiek spodziewałem się tego łada chwila, ale natomiast zdmuchnęło mnie jak najzupełniej z drogi, a kiedy narreszcie nastąpiła cisza, to już zupełna, głucha, i tylko silny prąd wody niósł mnie, niósł i niósł, dniem i nocą, w strony któremi nigdy nie puszczają się statki, niósł mnie i niósł bez końca. Kto ma na swojej głowie życie bliźnich, nie śmie nigdy ustawać w pracy, ażeby sprostac swemu zadaniu. Nie spoczywałem ani chwili, i dla tego też wiedziałem dobrze, zwłaszcza ze względu na zupełną ciszę w powietrzu, jakie nam groziły niebezpieczeństwa, i jakie należy przedsięwziąć środki ostrożności. Jednem słowem, prąd niósł nas prosto ku jakiejś wyspie. Na mapie jej nie było, i mógłbyś przeto powiedzieć, że było to wcale niegrzecznie, z jej strony, znajdować się w tem miejscu. Nie zaprzeczam, że dowodziło to braku wychowania, ale cóż robić, była sobie, i była. Bogu dzięki, byłem tak przygotowanym na jej spotkanie, jak ona na moje. Wyszperałem ją sam z masztu, i zawczasu udało mi się jej uniknąć. Kazałem spuścić łódź w morze, i z kilkoma ludźmi udałem się na zbadanie wyspy. Była przed nią rafa w morzu, a w spokojnej wodzie po drugiej stronie tej rafy, pływała wielka kupa roślin morskich, w której to kupie zawinięta była, ta oto butelka.

Tu kapitan odłonił swoją flaszkę, aby młodzieńiec mógł przypatrzeć jej się zdziwionym wzrokiem, poczem położył napowrót rękę na niej i mówił dalej:

— Jeżeli kiedy znajdziesz się w odludnem miejscu, i w ogóle, wszędzie, nie zapomnij przyjacielu, robić pilnego użytku z twoich oczu i z szkieł, albowiem najdrobniejsza rzecz, jaką zobaczysz, może ci być użyteczną, i może mieć znaczenie wiadomości lub przestrogi. Tej to zasady trzymając się, znalazłem tę butelkę. Wziąłem ją, przybiłem do łądu, i z częścią

ludzi znajdujących się na łodzi, uzbrojony, puściłem się na zbadanie wyspy. Spostrzegliśmy, że cała jej roślinność, która zdaniem mojem nigdy nie była zbyt bujną, zniszczoną została ogniem. Ostrożnie i mozolnie posuwaliśmy się naprzód po popiołach, gdy nagle jeden z moich ludzi po piersi zapadł się w ziemię.

„Wyciągnijcie mnie koledzy, rzecz, bo depcę tu jakieś kości.“ Wydobyliśmy go z łatwością, rozkopaliśmy popioły, i przekonaliśmy się, że miał słuszość, w istocie bowiem w zagłębieniu, w które wpadł, znajdowały się kości. Co więcej, przekonaliśmy się, że były to kości ludzkie, ale tak zwapniałe i zamienione w popiół, że przy powierzchownych i czysto praktycznych wiadomościach moich anatomicznych, nie byłem w stanie orzec, czy były to kości jednego tylko człowieka, czy może dwóch lub trzech ludzi. Zeszliśmy wysepkę wzdłuż i w szerz i nie odkryliśmy nic więcej, jak tylko to, że po drugiej jej stronie rozciągał się znaczny kawał łądu. Jeograficzne położenie tego łądu udało mi się stwierdzić za pomocą moich instrumentów i obliczeń, któremi cię nie będę zajmował, i stosownie do tego, puściłem się w dalszą drogę okrętem. Wróciwszy na pokład, otworzyłem butelkę, która, jak widzisz, obwinięta była ceratą, i zatkana szklanym korkiem. Wewnątrz, rzekł kapitan, odtakając flaszkę, znalazłem ten oto pomięty kawałek papieru, złożony i zaopatrzony napisem, który widzisz: *„Ktokolwiek znajdzie to pismo, tego umarły zaklina uroczyście, aby je oddał nie czytawszy poprzednio, Alfredowi Raybrook, w Steepways, w północnem Devonshire, w Anglii.“* Święta to przesyłka, rzekł kapitan, kończąc swoje opowiadanie, i oto doreczam ci ją, Alfredzie Raybrook!

— To pismo mojego biednego brata!

— Przypuszczałem to, rzekł kapitan Jorgan. Czytaj, ja tymczasem stanę w oknie i będę się rozglądał w okolicy.

— O nie czyn tego, sir; byłoby mi to przykro! Nam wszystkim byłoby przykro — mój brat nie mógł przewidzieć, że jego pismo wpadnie w tak godne ręce!

Kapitan usiadł napowrót na łóżku, a młodzieniec drżącą ręką rozłożył papier i wyprostował go na stole. Papier był podarty i pomięty widocznie przed pisanem i potem, było na nim mnóstwo plam, atrament zbladł i rozlał się miejscami, i wielu słów w skutek tego nie można było odczytać. Po długiem i mozolnem odcyfrowywaniu, kapitan i młody rybak odczytali tyle:

„Nim zajrę w oczy śmierci z przygotowanym na nią umysłem, wkładam tę notatkę oddawna dla własnej pamięci ułożoną, w butelkę, którą rzucam w morze. Kochany Alfredzie, gdyby ci to kiedy dostało się do rąk, uczyn, jak ja byłbym uczynił. Ostatnie myśli moje i wyrazy miłości posyłam drogiej żonie i matce i tobie Alfredzie.

Hugon Raybrook.

Not. dla własnej pamięci.

..... bardzo nieszczęśliwym w duszy.....
z powodu iż mi powiedział że..... biednego naszego ojca
500 funtów st. są kradzionemi pieniędzmi.....
.....
..... Także, z tej samej przyczyny, tu podanej.....
bez złej woli..... książki nie są właściwym dowo-
dem. Mówił, hym..... jeżeli bynam się udało wydostać
się ztąd..... pójść do Lanrean i..... tam między
starymi ludźmi.....

P. S. Nie wierzę nic złego o biednym ojcu.....
wydostawszy się, przy pomocy boskiej..... odkryć.....
zwrócić..... H. R.

Młody rybak niepokoił się i był bardziej poruszonym w miarę jak treść pisma stawała mu się jaśniejszą. Zostawił je na stole przed kapitanem, ponad którego ramię odczytywał je był ponownie, wrócił na swoje krzesło, i oparł się łokciami o stół, zakrywając twarz dłońmi.

— Co to, człowiecze, zawołał kapitan — nie poddawaj się! Rusz się i działaj, jak przystało!

— Jest to egoizm z mojej strony, przyznaję — ale jakże działać? Co robić?

— Co robić? krzyknął Jorgan. Cokolwiek! Poszedłbym raczej na groblę, tam na dół, porwałbym w zęby jeden z żelaznych pierścieni, służących do przymocowania łodzi, i wyrwałbym go, albo wyrwałbym sobie nim wszystkie zęby, i wołałbym to, niż siedzieć beczynnie z założonemi rękami. Nic nie robić! To potrafi każdy głupiec i tchórz, a z niczego, nic tylko powstać może. Jest to prawidło, które miał odkryć jakiś łacinnik — dodał kapitan z wyrazem największej pogardy — jak gdyby go Adam nie był odkrył, nim jeszcze ponazywał zwierzęta w raju!

Pomimo tych śmiałych słów swoich kapitan widział jednakowoż, że Alfred miał głębszy i silniejszy powód do smutku, niż on mógł wiedzieć. Przypatrzył mu się tedy ze współczuciem.

— No, no, chłopcze! Powiedz, o co chodzi?

— Widziałeś, sir, jaka ona piękna! rzekł młodzieniec, podnosząc głowę na chwilę, z zarumienioną twarzą i rozburzonemi włosami.

— Czy znalazł się kto, coby mówił, iż nie jest piękna? Jeżeli się znalazł, pójdz i obij go natychmiast!

Alfred uśmiechnął się gorzko i odpowiedział:

— Nie o to chodzi, niestety!

— O cóż? zapytał kapitan łagodniej.

Młody rybak z ponurą miną przystąpił do opowiadania. — Mielśmy pobrać się, od poniedziałku za tydzień...

— Mielście! przerwał kapitan Jorgan. Macie się pobrać, co, nieprawdaż?

Raybrook potrząsł głową, i wskazał palcem na papierze słowa: „Naszego biednego ojca pięćset funtów st.“

— Cóż dalej, rzekł kapitan. Pięćset funtów, czy tak?

— Ta suma, mówił Alfred poważnie, podczas gdy kapitan słuchał go w ten sam sposób — ta suma stanowiła cały majątek mojego ojca. Gdy umarł, nie zostawił długów, ale wszystkie jego oszczędności razem wynosiły tylko pięćset funtów.

— Hm, pięćset funtów! powtórzył Jorgan.

— Zapisał on tę sumę mojej matce. Ryzykował on ją raz, za swego życia, i zostawił nam to na piśmie. Później postanowił, nie ryzykować więcej tych pieniędzy.

— Nie był spekulantem. W mojej ojczyźnie, nie byłby miał co robić.

— Matka moja dotychczas nie tykała tej sumy. Na przyszły tydzień, za te pieniądze miał być nabyty piękny udział w tutejszej spółce rybackiej dla mnie i dla Kasi.

Twarz kapitana przybrała wyraz niezadowolenia, i pocierał swoje gładkie włosy niecierpliwie, wielką, brunatną dłoń.

— Ojciec Kasi ma zaledwie tyle, ile mu potrzeba do życia, nawet przy naszych skromnych wiejskich potrzebach. Jest on czemś nakształt poborcy danin w tych stronach, ale tych danin jest nie wiele, i urząd jego nie wiele mu też przynosi. Dawniej był w lepszym bycie, i niepodobna, aby Kasia, wyszedłszy za mąż, cierpiała niedostatek.

Kapitan ciągle jeszcze tarł czuprynę i wpatrywał się w młodego rybaka.

— Jestem pewnym, iż ojciec mój nie wiedział, by ktokolwiek pokrzywdzonym był o sumę, którą posiadał, i że należy ją zwrócić. Jestem tego tak pewnym, jak tego, że słońce świeci w tej chwili. Ale po uroczystym napomnieniu, które otrzymałem w tej chwili z grobu mojego brata, na dnie morza, że pieniądze te są kradzionymi pieniędzmi, mówił Raybrook, z trudnością wygłaszając te słowa — nie mogę ani wątpić, ani tykać tej sumy!

— Wątpić, mojem zdaniem, możesz, ale tykać, nie!

— Oto jest powód mojego smutku. Pomyśl, sir, o Kasi, i pomyśl, co jej powiem?

Brakło mu otuchy, gdy wspomniął o tem, i począł lekko tupać nogą o ziemię. Po chwili wszelako, odezwał się znowu, spokojnie i stanowczo:

— Ha, cóż robić! Dosyć tego. Powiedziałeś mi pan kilka mezkich słów przed chwilą, kapitanie Jorgan, i nie powiedziałeś ich na wiatr. Powiniennem działać. Przedewszystkiem zaś, powiniennem wyrozumieć znaczenie tego pisma, dla samej czci tego dobrego imienia, na którego straży nie ma komu stać, oprócz mnie. Oprócz tego, przez wzgląd na to imię, i na pamięć mojego ojca, ani Kasia, ani moja matka, ani nikt w świecie nie powinien wiedzieć ani słowa o tem wszystkiem. Zgadzasz się z tem, sir?

— Nie wiem, co sobie o nas pomyślą tam na dole, ale zgadzam się. Chodzi teraz o to, ażeby zrozumieć pismo.

Pochylili się obydwaj raz jeszcze nad papierem, i przeglądali go pilnie.

— Widocznem jest, rzekł kapitan, że gdyby słowa nie były zatarte i zamazane, stałoby w tem miejscu: „Pójść do Lanrean, i dowiedzieć się tam między starymi ludźmi o.... kogoś. Przypuszczam, że pójdziesz do Lanrean?”

— Pójdę! P. Tregarthen pochodzi z Kornwallu, i — ach! właśnie z samego Lanrean!

— Czy tak? rzekł kapitan spokojnie. Któż to taki ten p. Tregarthen?

— Jest to ojciec Kasi.

— A, teraz rozumiem. Tregarthen zna tedy wieś, zwaną Lanrean?

— Bez wątpienia. Wspominał mi o niej nieraz, ako o swoim miejscu rodzinnem.

— Czekaj-że. Wtem miejscu, na papierze, zatar-te jest nazwisko. Możesz się spytać pana Tregarthen, albo jeżeli ty nie możesz, to ja mogę, jakie nazwi-ska starych ludzi pamięta z czasów swojego pobytu w Lanrean?

— Mogę pójść natychmiast do niego, i spytać go

— Weź mnie z sobą, powiedział kapitan Jor-gan, powstając z miejsca z ruchem, który wskazywał, jak mocno można było polegać na nim. — Ale przed-tem, jeszcze jedno słowo. Los rzucał mną po świecie więcej i dalej niż tobą. Przez czas mojego życia że-glarskiego, z konieczności musiałem polerować moje władze umysłowe i utrzymywać je w takim stanie, w jakim utrzymuje się instrumenta na okręcie, za po-mocą kredy, octu, i tarcia. Będę ci towarzyszył w tej wyprawie. Otóż, ponieważ żaden z nas nie żyje z kra-somostwa, więc zamiast mowy, podaj mi rękę.

Podali sobie dłonie serdecznie, i kapitan Jorgan stanął na czele ekspedycji. Najpierw złożył papier starannie włożył go w butelkę, zakorkował ją i ob-winał ceratą, i oddał ją Alfredowi, poczem obydwaj zeszli na dół.

Tutaj, żegluga była nieco trudniejszą, niż na gó-rze. Ledwie weszli do pokoju, oczy kobiecie odgadły instynktem, że coś zaszło niedobrego. Kasia zawoła-ła z przerażeniem: — Alfredzie, co się stało? Pani Raybrook zwróciła się do kapitana: — Na miłość Boga, co pan zrobiłeś mojemu synowi, że tak się zmienił w jednej chwili? — A młoda wdowa, która znajdowała się tam ze swoją córeczką na rękach, by-ła tak poruszona, że dziecko przytuliło się do niej i poczęło płakać. Kapitan, czując, iż na niego spada odpowiedzialność za ten niepokój w rodzinie, stał w środku z miną winowajcy, i patrzył na młodego rybaka, jak gdyby od niego wyglądał pomocy.

— Kasiu droga, odezwał się Alfred — Kasiu, serce moje, muszę iść do Lanrean, i nie wiem, czy

nie dalej, i to dziś jeszcze. A co najgorsza, Kasiu, ślub nasz musi być odłożonym, i nie wiem, na jak długo!

Kasia wpatrzyła się w niego, z niewiarą, ze zdzi-wieniem, z gniewem, i odepchnęła go ręką.

— Odłożonym! krzyknęła pani Raybrook. Ślub musi być odłożonym? I ty idziesz do Lanrean! I dla czego, przez Boga?

— Matko kochana, nie mogę, nie wolno mi mó-wić, dla czego. Byłoby rzeczą niehonorową i niezgo-dną z obowiązkiem, powiedzieć ci, dla czego.

— Nie honorową i niezgodną z obowiązkiem! A to rzecz honorowa i zgodna z obowiązkiem, rozdzie-rać serce narzeczonej, i serce matki, z powodu ja-kichś czarnych tajemnic i rad złego, obcego człowie-ka! Po co pan przychodziłeś tutaj? zapytała nie-winnego kapitana. Czego panu było potrzeba? Zkąd pan przybyłeś? I czy nie mogłeś pan zostać w do-mu, zamiast zakłócać spokój ludziom, którzy panu nic nie winni?

— A cóż ja panu zrobiłam złego — jęła Kasia— niedobry, okrutny panie kapitanie, byś mi pan wy-rządzał taką boleść!

Poczem obiedwie zaczęły płakać żałośnie, a ka-pitan patrzył to na jedną, to na drugą, i chwycił się za kołnierz u surduta, jak gdyby się chciał ukarać za to, co zbroił.

— Małgorzato, zawołał Alfred, klękając przed Kasią, która zakrywała twarz dłońmi, aby nie wi-dzieć zdrajcy — Małgorzato, tyś cierpiała tak długo, tak wiele, tak cicho, i byłaś zawsze taką łagodną i wyrozumiałą. Przemów za mną, zaklinam cię na pa-mięć biednego mojego brata!

Odwołanie się to było skutecznem. — Wolala-bym była, rzekła Małgorzata, ażeby ten pan nie był ni-gdy pojawiał się u nas. (Tu kapitan silniej chwycił

się za kołnierza). — Ale pomimo to, przemówię za tobą. Jestem pewną, że musisz mieć ważne i dostateczne powody do tego dziwnego twojego postępowania i do odmawiania wszelkich wyjaśnień, jakkolwiek i to jest bardzo dziwnem. Ty zaś Kasiu, powinnaś także być mojego zdania, bo prawdziwa miłość wierzy i znosi wszystko, i nie traci nigdy ufności. I ty matko powinnaś zgodzić się ze mną, bo wiesz, że Niebo pobłogosławiło cię dobrymi synami, których słowo zawsze starczyło za przysięgę, i którzy wychowani byli w takim poczuciu honoru, jakim chlubić się może najpierwszy dzentelman naszego kraju. Nie masz przyczyny, droga matko, wierzyć twojemu żyjącemu synowi mniej niż temu, którego już nie ma, a ja dla pamięci jednego brata, ujmuję się za drugim, i uniewinniam Alfreda.

— To się u mnie nazywa mówić do rzeczy! zawołał kapitan z zapalem. I czy moje zdanie pochlebi pani, lub nie, oświadczam, że jesteś pani kobietą z sercem i z głową, i że w chwili niebezpieczeństwa wołałbym panią mieć u boku, niż połowę mężczyzn, z którymi miałem do czynienia w mojem życiu.

Małgorzata nie odpowiedziała nic na ten komplement, i nie zdawała się nawet w całej pełni odważniać zdań kapitana, ale jąla pocieszać Kasię i matkę Alfreda, i wkrótce przywróciła nieco spokoju w domu.

— Kasiu, odezwał się młody rybak do swojej narzeczonej, muszę pójść do twego ojca i błagać go, ażeby mi nie odmawiał swego zaufania pomimo tej nieszczęsnej a tajemniczej zmiany. Oprócz tego mam go prosić o niektóre objaśnienia, dotyczące wsi Lanrean. Czy pójdziesz ze mną?

Kasia nie odrzekła ani słowa, ale wstała, ocierając oczy końcem chusteczki, którą miała na głowie. Kapitan Jorgan udał się za narzeczonymi z po-

tulną nader miną — zatrzymując się tylko w sklepie dla dania kilku rozkazów p. Pettiferowi.

— Tomaszu, rzekł po cichu — masz tu coś, co wchodzi w twój zakres działania. Oto jest wiekowa osoba, zasmucona bardzo i upadła na duchu. Pociesz ją trochę, Tomaszu. Pociesz ich wszystkich.

P. Pettifer kiwnął głową, na znak, że zrozumiał, czego wymagano od niego. Natychmiast przybrał urzędową swoją minę szafarską, i spokojnym, pomoc niosącym, szafarskim *) prawdziwie krokiem wszedł do pokoju, gdzie, jak kapitan uważał przez szklanne drzwi z wielkiem zadowoleniem, Tom Pettifer wziął dziecko na ręce, bez opozycji z jego strony, i pochylił się nad panią Raybrook, pocieczając ją łagodnymi słowy.

— Nie mogę tylko pojąć, co on jej powie? pomyślał kapitan, odchodząc. — Chyba tyle, że to przeminie wkrótce, albo że to każdemu tak się wydaje z początku, albo że później, wyjdzie jej to na dobre....

Z domku pani Raybrook, potrzeba było tylko zejść po kilku kamiennych stopniach, aby się dostać do domu ojca Kasi. Pomimo tak niedalekiej drogi, kapitan miał czas spostrzedz że w całej wsi patrzano już na niego jak na ludożercę. Każda kobieta, co stała z robotą w ręku w drzwiach swojej chaty, każdy rybak idący w górę lub na dół, spostrzegłszy że młody Raybrook pogrążony był w smutku a Kasia we łzach, rzucali na kapitana wzrok pełen podejrzenia i niechęci, jako na człowieka obcego, który z pewnością był przyczyną tego niezwykłego widoku. Wskutek tego, gdy weszli do ogrodu p. Tregarthen, tworzącego ową tarasę, z której, jak kapitan widział po-

*) Na statkach handlowych i pasażerskich, szafarz (steward) jednocy w swojej osobie obowiązki kłęcznicy, garsona, intendent, i piwniczego, a oprócz tego niesie usługi i pomoc dotkniętym chorobą morską. To wyjaśnia miłą, poręczoną Pettiferowi.

przednio, Kasia przez mur patrzyła na Alfreda — kapitan pojął swoją rolę i trzymał się na uboczu, stojąc w bramie, podczas gdy Kasia pobiegła wypłakać się w swoim pokoju, a Alfred rozmawiał z jej ojcem, zajętym w ogrodzie. Był to człowiek słabowitej kompleksji, ale nie podeszłego jeszcze wieku, twarz miał przyjemną i pełną wyrazu obiecującego wyrozumiałość. Rozmawiał z Alfredem z razu wesoło i z dobrym humorem, po chwili jednak głos jego zaczął wyrażać nieufność, a wkrótce, gniew. Na to hasło czekał kapitan, ażeby wejść do ogrodu i wmieszać się w rozmowę.

— Dzień dobry panu, zawołał — jak się pan miewasz?

— To jest ten pan, rzekł Alfred, z którym mam udać się w drogę.

— Ach, odrzekł ojciec Kasi, oglądając kapitana z wyrazem wielkiej niechęci — nie mogę, przyznam się, powiedzieć, bym był rad widzieć pana.

— Nie, powtórzył kapitan, i jak mi się zdaje, jest to ogólne wrażenie, jakie sprawiam w tej okolicy. Ale nie bądź pan gorączką, a z czasem, będziesz pan lepiej sądził o mnie.

— Chcę mieć nadzieję, że tak będzie.

— No, ja mam tę nadzieję, zauważał kapitan Jorgan swobodnie — a co więcej, wierzę, że tak będzie, chociaż pan nie wierzysz. Panie Tregarthen, nie zechcesz pan zapewne rozpoczynać sporu ze mną, a gdybyś pan chciał, nie mógłbyś, bo ja nie chcę. Jesteśmy obydwa w wieku, w którym nie sądzi się nikogo z pozorów, a jeżeli pan w życiu swoim nie miałeś sposobności przekonać się, jak złemi i niesłusznymi bywają sądy tego rodzaju, to mogę pana nazwać szczęśliwym człowiekiem.

Uwaga ta, jak się zdawało, głęboko poruszyła p. Tregarthen, który odrzekł:

— Sir, miałem tę sposobność w moim życiu.

— A więc, rzekł kapitan, znacznie złagodzony — pokazuje się, że dobrze trafiłem. Otóż, panie Tregarthen, tu masz narzeczonego jedynej twojej córki, a tu masz mnie, który znam jego tajemnicę. Daję słowo, że jest to tajemnica uczciwa, której on nie wymyślił, jakkolwiek obowiązany jest dotrzymać jej. Chciałbym mu dopomóc w załatwieniu tej sprawy, i w tym celu prosimy pana, byś nam powiedział nazwiska dwóch albo trzech najstarszych mieszkańców wsi Lanrean. Ponieważ, dla zapisania tych nazwisk, wyjmuję moją książkę z notatkami, więc skorzystam z tej sposobności, ażeby zwrócić pańską uwagę, że na pierwszej jej kartce wypisane jest u góry moje nazwisko i mój adres: Silas Jorgan, w Salem, w państwie Massachusetts, w Zjednoczonych Stanach. Gdybyś pan kiedy miał ochotę zawitać do nas, rad będę powitać pana u siebie. A teraz, proszę o nazwiska.

— Był tam wiekowy człowiek, zwany Dawid Polreath. Kto wie, może już umarł.

— Mniejsza o to, odparł kapitan żywo, jeżeli Dawid Polreath umarł i jeżeli go pochowano, a mimo to może nam być użytecznym, to nie będzie miał nic przeciw temu, abyśmy go wykopali. Zapisałem: Dawid Polreath.

— Był drugi, nazwiskiem Penrewen. Nie wiem, jak mu było na imię.

— Mniejsza o imię. Piszę: Penrewen.

— Był jeszcze jeden, niejaki Jan Tredgear.

— Wcale przyjemnie brzmiące nazwisko. Mam go.

— Więcej nie przypominam sobie nikogo, oprócz starego Parvisa.

— Jeden z tych Parvisów, jak mniemam, utrzymywał w Nowym Jorku magazyn kosztownych towarów, i dorobił się majątku paląc swój dom ze szczególnem. To samo nazwisko, na każdy sposób. A więc: Dawid Polreath, bezimienny Penrewen, Jan Tredgear i stary Arson Parvis.

— Więcej nie przypominam sobie nikogo.

— Dziękuję panu, odrzekł kapitan. A więc, panie Tregarthen, w nadziei, iż pozyskam jeszcze dobrą opinię u pana i u pańskiej córki, tego pięknego kwiatka z Devonshire, podaję panu rękę, i żegnam pana.

Młody Raybrook poszedł za nim, ze spuszczoną głową, bo nie było Kasi w oknie, w które zaglądał, nie było jej w ogrodzie, gdy zamykał furtkę, nie było jej na stopniach, po których wracali.

— Słuchaj-no, młodzieńcze, odezwał się kapitan. Ponieważ obecność moja w tej chwili nie wnosiłaby harmonji w waszą rodzinę, więc nie wstąpię do was. Idź i zjedz obiad w domu, a ja zjem mój w zajeździe. Od ugiej przyjdź do mnie, zastaniesz mię przed oberżą, palącego cygaro. Powiedz Tomaszowi Pettifer, mojemu szafarzowi, że jest w służbie, i że ma zostać u was aż do naszego powrotu. Przekonasz się, że już teraz stał się użytecznym w domu, i że okaże się wcale znośnym.

Wszystko poszło podług wskazówek kapitana. Z uderzeniem drugiej południu młody rybak stawił się z pakunkiem swoim na plecach, i z uderzeniem drugiej, kapitan wyrzucał na bok ostatni koniuszek swojego cygara.

— Pozwól pan, bym wziął pański pakunek, kapitanie. Uniosę go z łatwością wraz z moim.

— Dziękuję ci, poniosę go sam. Składa on się tylko z jednego grzebieńca.

Wyszli wkrótce na szczyt góry, na którym kończyła się wieś, i zatrzymali się tam między drzewami i krzewami, ażeby wytchnąć i przypatrzeć się pięknemu widokowi morza. Nagle kapitan uderzył się po nodze, aż odgłos rozległ się w koło, i zawołał:

— Doskonale! To mi się podoba! — poczem odbiegł czempredzej.

Powodem tego nagłego odwrotu kapitana było pojawienie się Kasi między drzewami. Oddalił on się tak, aby nie był widzianym, i czekał, póki mu nie przyszło na myśl, dla zabicia czasu, zapalić jeszcze jedno cygaro. Wypalił je do ostatka, i jeszcze czekał daremnie. Nakoniec pojawił się i ujrzał młodą parę, chodzącą powoli między drzewami, z ramionami splecionymi z sobą i z głowami nawzajem ku sobie pochylonemi. Pora popołudniowa była nader piękną w tej chwili, i kapitan rzekł sam do siebie:

— Złote słońce, złote morze, złote żagle, złote liście, złota miłość, złota młodość: ze wszystkiem, złoty stan rzeczy!

Pomimo to, kapitan uznał za rzecz potrzebną, przywołać swojego młodego towarzysza, który też wkrótce nadszedł, poczem obydwa puścili się w drogę.

— Ta młoda wdowa z sierotą na rękę, rzekł kapitan po drodze, nie na wiatr rzuciła swoje słowa: albo dobre słowa nigdy nie są rzucone na wiatr. A teraz, kiedy cię zabieram od tego lubego małego stworzenia, które kocha, i ufa, i żywi nadzieję, mam takie uczucie, jak gdybym był ową figurą, którą malują z cienkimi nóżkami, z długim spiczastym nosem, z piórem na czapce i z wąsikami, których końce tem bardziej zbliżają się do oczu, im figura staje się złośliwsza.

Alfred nie słyszał nigdy o Mefistoflu, ale uśmiechnął się, gdy kapitan zgiął się znowu w dwoje, ażeby się uderzyć po nodze, i gdy szli dalej w najlepszej zgodzie.

Rozdział III.

NOC W KLUBIE.

Step w Kornwalii, gdy wiatr wschodni wieje po nim, przedstawia krajobraz tak zimny i ponury, z jakim podróżny nie często spotka się w ciągu całoro-

cznej podróży. Step w Kornwalii, po ciemku, jest taką samotnią, z jaką podróżny radby nie spotkać się nigdy więcej w swoim życiu. Step w Kornwalii, w mgle nocnej, jest pustynią, w której wędrowiec musi dobrze znać drogę, w przeciwnym razie bowiem, nie trudno mu tam będzie znaleźć koniec swoich wędrowek i swojego życia.

Kapitan Jorgan i jego towarzysz walczyli z wiatrem wschodnim i południowo-wschodnim od pierwszego wschodu słońca, który nastąpił po ich wyjściu z Steepways. Szli już trzy dni, a codziennie od rana do wieczora wicher ostry dał jak duch nieprzychylny, któryby chciał zwrócić ich z drogi. Ale kapitan Jorgan nadto był obznajomiony z wszystkimi wiatrami, nadto znał ich słabe strony i umiał je wyzyskiwać, ażeby go mógł pobić którykolwiek członek tej powiewnej rodziny. Jego zdaniem mało zależało na tem, jaki wiatr dał i jak mocno, był więc i przy tej sposobności tak obojętnym, jak mógł nim być człowiek, który utrzymywał, że go to „odświeża,” i który uważał wiatr jako starego swojego znajomego. Ze sposobu, w jaki sobie z nim postępował, możnaby nawet było wnosić, że między nim a tym wiatrem było coś nakształt braterskiego porozumienia, jak między dwoma szermierzami z profesji, którzy już bardzo często doświadczali nawzajem swojej zręczności. Alfred ze swojej strony przyzwyczajony był także lekceważyć niepogodę, i miał ważny cel przed sobą, a więc i jego wiatr mijał, nie zwracając jego uwagi na siebie, i wiał dalej, w stronę, gdzie została Kasia.

Z początku droga ich wiodła brzegiem morza, pieniacego się u załomów ciemnych skał, a potem w głąb kraju, gdzie puste niegdyś stepy poddane teraz były uprawie, poprzedzane samotne wioski, złożone z ubogich lepiarek, i przez parę miast, ze starymi kościołami i rynkami. Ale wędrując tak dalej mało zaludnioną okolicą, dostali się nakoniec na prawdziwy

step kornwalijski, opodal od Lanrean. Nie spotykali tu nic, oprócz robotników z kopalni, przesuających się jak upiory o kruszczowych maskach, okryte pyłem miedzi i cyny. Zakłady górnicze na odległych od drogi pagórkach i maszyny o skrzypiących kołach, zębach i łańcuchach, były jedynymi śladami ludzkimi, rozrzuconymi tu i owdzie, a potem znowu na długich, długich przestrzeniach wiatr tylko wiał i miotał się jak dziki jaki potwór w pustyni.

— Szczególna rzecz, rzekł kapitan, rozglądając się po ciemnym stepie, porośłym trawą i mchem — jak ta ziemia podobna jest do ludzi, którzy na niej mieszkają! Oto okolica, bogata w ukryte kruszce, a stroi się w łachmany, kuli się i trzęsie, i udaje że jest tak biedną, iż nie zdoła nawet wyżywić bydła. Zupełnie jak skąpy człowiek, nieprawdaż?

— Ale znaleziono skarby tego skąpca, odparł Alfred, wskazując milowe przestrzenie wzdłuż potoków i dolin, rozkopane w poszukiwaniu za kruszcami.

— Tak, znaleziono jego skarby, ale broni ich jeszcze i chowa z nich co może. Przebiegły to sknera!

Zmrok wieczorny padał już na ponurą scenę, a jeszcze cztery prawie godziny drogi dzieliły ich od miejsca, do którego dążyli. Kapitan wszelako, w swoim długim niebieskim surducie i z czworograniastym, szeroko wyłożonym kołnierzem od koszuli, i bez żadnej innej ochrony od zimna, szedł tak obojętnie z rękami włożonemi w kieszenie, jak gdyby mieszkał gdzieś pod ziemią, tuż w pobliżu i wyszedł tylko na chwilę, pokazać drogę swojemu przyjacielowi.

— Radbym był widzieć wówczas tę okolicę, rzekł, kiedy olbrzymie masy wody szumiały po niej, tocząc owe potężne skały z sobą i piętrząc je jedną na drugą, i tem samem, kładąc fundament rozmaitych zabobonów. Bajki! Starzy kapłani, jakkolwiek byli niepospolitymi mechanikami nie układali tak większej części tych kamieni. Woda była tutaj mechanikiem. Je-

żeli uważasz, iż kamienie te z jednej strony są grubo, a z drugiej cienko zakończone, możesz być przekonany, że temu Druidowi, który je tu przyniósł, było na imię Woda.

Kapitan mówił to o kilku ogromnych bryłach kamienia, dziwnie wspartych jeden na drugim, na szczycie samotnego wzgórza. Na jasnym tle zachodniego nieba, skały te wyglądały jak ptaki przedpotopowe, co posiadały kiedyś na wzgórzu i tam skamieniały.

--- Zajmujący to wszakże kraj, mówił dalej kapitan — od niepamiętnych czasów zapisany w rocznikach pomienionego starego Arcy-Druida, Wody, i od niepamiętnych też czasów wspominany w rocznikach, pomienionych niemniej, proboszczów keltyckich. Interesującą jest rzeczą stanąć, jak to mnie się dzisiaj wydarzyło, na takim starym podziurawionym kamieniu, na którym, oprócz powietrza, nikt nie wypisał swojego imienia, i pomyśleć, że uczeni co chodzą z młotkami i rozbijają niemi ziemię, odkrywają tam napis, proszący o pacierz za duszę jakiegoś panującego, który umarł przed tysiącami lat, i za życia gnębił podatnikami naród nawet z imienia nikomu nieznanego. — Tu kapitan zatrzymał się, ażeby się uderzyć po nodze. — Niezmiernie, w istocie, interesującą jest rzeczą natrafić na kilkanaście takich kamieni, dużych i małych, stojących i leżących, i pomyśleć sobie, że według ludowego mniemania jest to grupa Kornwalijczyków, przemienionych w taką formację geologiczną za to, że grali w jakąś grę w niedzielę. U nas w Ameryce nie byłiby grali — ale niemniej wszelako jest to interesującą rzeczą, bardzo interesującą!

Kapitana bawiła ta myśl, którą wypowiadał równie szczerze i otwarcie, jak następne swoje zdanie, wygłoszone po rozpatrzeniu się w okolicy:

— Ta mgła, która podnosi się od zachodu, okryje nas, i będziemy musieli szukać drogi do Lanrean po omacku.

Przez czas podróży, Alfred Raybrook nieraz wspominał kapitanowi o swoich zawiedzionych nadziejach, o Kasi, i o dobrej sławie swojej rodziny, o pieniądzach, które należało zwrócić nieznanemu ich właścicielowi, i o młodych swoich marzeniach i planach, pokrzyżowanych z tego powodu. W prostej swojej, dobrej wierze, był on widocznie niezdolnym wyobrazić sobie co innego, jak tylko to, że należało z badać do gruntu tajemnicę okrywającą ową sumę pięciu set funtów, a następnie zwrócić te pieniądze prawemu ich właścicielowi. Kapitanowi przyjemnie było słyszeć te zdania z ust młodego człowieka, i budziły one w nim nieklamane uczucie uwielbienia. Dlatego też, w tej chwili, wrócił znowu do tego przedmiotu, i wyciągał swojego towarzysza na rozmowę o Kasi, i o tem, ilu lat potrzebaby, ażeby bez udziału w spółce rybackiej, młoda para mogła pobrać się i zagospodarować. Czuł on, że ulży Alfredowi rozprawiając o jego kłopotach.

Tymczasem wszelako ściemniło się na dobre, mgła zgęstniała, a wiatr huczał i mroził naszych wędrowców, jak za dnia. Kapitan rozpoznał był poprzednio na mapie położenie wsi Lanrean, i miał przy sobie busolę — Alfred ze swojej strony, jako rybak i żeglarz z zawodu, umiał orjentować się w nieznannej okolicy. Pomimo to, jakkolwiek nie zblądzili ani na chwilę z głównej dyrekcji, zdarzyło im się nieraz zejść z bitej drogi, i musieli wówczas odszukiwać ją za pomocą busoli i światła, mozołnie zapalonego w głębokościach olbrzymiego kapelusza, którym kapitan Jorgan zdobił swoją głowę. W takich razach, brneli w gąbkowatym i mszystym trzęsawisku, rozlegającym się po obu stronach drogi, i najeżdżając po długiem szukaniu, dostawali się na drogę w tem samym miejscu, w którym z niej zeszli. Pomimo tych trudności, Alfred nie stracił kontenansu, co się zaś tyczyło kapitana, było widocznem, że z najzaciętszej walki ży-

wiołów byłby on wypłynął zwycięzko na umówionym punkcie, wraz ze swoim surdudem, kołnierzem od koszuli i grzebieniem. Dzięki tej okoliczności, spóźnili się tylko nieco w drodze do Lanrean, i przybyli tam około dziewiątej wieczór. O tej porze, kapelusz kapitana zsunął mu się był nieco na uszy i na kark, ale ręce jak zawsze trzymał w kieszeniach, i nie widać było na nim żadnych innych śladów trudnej przeprawy.

Omali nie trącili nosami o niski mурowany domek, z oknami o czerwonych frankach, nim spostrzegli, że przybyli do oberży „pod królem Arturem“ w Lanrean *). W gęstej mgle, po drugiej stronie wąskiej ulicy, widzieli oficyny i stajnie należące do tego zajazdu, a nad nimi, skrzypiał niewidzialny szyld, kołysany wiatrem.

— Czekażcie, rzekł kapitan. Kto wie, czy znajdziemy miejsce w oberży, albo czy nie zechcą zakwaterować nas w zimnym pokoju. Roztropność nakazuje tedy zorjentować się w sytuacji, rozpoznać, gdzie jest najcieplejsza izdebka, i wejść prosto do niej.

Najcieplejszym pokojem był oczywiście ten, w którego oknach widać było blask świecy i ognia na kominku. Kapitan wymiarkował położenie tego pokoju, powiedział Alfredowi: Chodź za mną i wszedł do pokoju, nim jeszcze oberża „pod królem Arturem“ domyśliła się, że mieści przybyszów w swoich murach.

— Do porządku, do porządku! krzyknęło kilka głosów, w chwili gdy kapitan pojawił się w drzwiach, z kapeluszem pod pachą.

— Panowie! rzekł, postępując naprzód panowie, wdzięczny wam jestem bardzo, iż daliście mi

*) Jak wiadomo, Kornwalia, w mniejszym wprawdzie stopniu od Walii, przechowuje jeszcze reminiscencje z czasów pierwotnych, celtyckich mieszkańców Brytanii. Lud nie używa tam już narzecza gaelskiego, ale nazwiska miejsc i rodzin wskazują pochodzenie celtyckie, a tradycje takie, jak „króla Artura“, do dziś dnia popularnymi są w odleglejszych zakątkach kraju.

sposobność przemówienia do was, nie chcę wszelako nużyć was dłuższymi uwagami z mojej strony. Jestem waszym kuzynem po stryju Samuelu *) a mój towarzysz jest jeszcze bliższym waszym kuzynem, z Devonshire. Obydwaj zmęczeni jesteśmy drogą, co się zowie, i niepospolicie głodni. Dziękuję panom za ich gościnność, i dumny jestem podać rękę panu dobrodziejowi, spodziewając się, że mu służy zdrowieczko?

Ostatnie te słowa skierowane były do nie źle wyglądającego jegomości, który prezydował przy stole, i miał przy sobie drewniany młotek, na znak swojej godności. Byłby on niezawodnie porwał ten instrument i zawezwał zgromadzenie do porządku, ale kapitan porwał go był za rękę i ścisnął ją po przyjacielsku.

— Jak się pan dobrodziej miewasz, powtarzał, potrząsając dłoń prezesa, który bezradnie spoglądał na swój młotek. — Jeżeli pan dobrodziej zawitasz do mego kraju, będzie to dla mnie wielkim zaszczytem, odwzajemnić się za gościnność pańską i całego tego szanownego towarzystwa.

Kapitan usiadł przy kominku, i wskazał obok siebie miejsce Alfredowi, ciesząc się głośno, iż udało im się наконец znaleźć schronienie.

Towarzystwo, złożone mniej więcej z tuzina osób, było w wielkim ambarasie, co począc z kapitanem, i jak się zachować wobec intruza. Nakoniec, stary człowieczek z wyłożonym szeroko kołnierzem od koszuli, tłusciutki i wygolony tak, że wśród obłoków dymu tytoniowego wyglądał jak podstarzały nieco Cherubim, odezwał się ostro:

— To jest klub, mój panie!

— To jest klub, rzekł kapitan do Alfreda, jak gdyby chciał specjalnie zwrócić jego uwagę na tę okoliczność.

*) *Uncle Sam*, idealny protoplasta Nowo-Anglików, tj. mieszkańców najdawniejszej części Zjednoczonych Stanów.

— To ciekawa historia! mówił kapitan dalej. Alfredzie, wszak podobno mówiłem ci po drodze, że z pewnością trafimy do jakiegoś klubu?

Kapitan Jorgan zgął się w dwoje i uderzył się po nogach z takim wyrazem wewnętrznego zadowolenia, że prezes klubu uczuł się zwyciężonym. Mięł on od samego początku, a teraz skapitulował zupełnie.

— Szanowni panowie z pod „Króla Artura“, przemówił, wstając — jakkolwiek nie jest u nas zwyczajem przypuszczać obcych do naszego grona, jednakowoż, zważywszy iż już raz dzisiaj naruszyliśmy to prawidło, na mocy mojej władzy, łamię je po raz wtóry. I podczas gdy szanowny gospodarz postara się o wieczerzę dla tych panów, dodał, spoglądając na oberżystę, który rozumiał tę alluzję i wyszedł zając się wieczerzą - poddaje na nowo pod rozprawę wasze, sprawę marynarza.

— Słyszysz, szepnął kapitan do Alfreda. — To coś, co nas może obchodzić. Ciekaw jestem, co to za marynarz?

— Widzę tu kilku starych ludzi, odparł młody rybak, któremu ciągle jedna i ta sama myśl tkwiła w głowie. — Kto wie, czy nie ma tu którego z tych, których nazwiska pan zapisałeś?

— Być może. Zwróciłem na nich moją uwagę. Ale nie wyrrywaj się z pytaniami, zobaczymy, czy nie dowiemy się i tak tego, co wiedzieć chcemy.

Szepcząc w ten sposób, odróżni nasi usiedli zagrząć się koło kominka, na którym palił się ogień. Klub jednocześnie odzyskał swoją swobodę i rozpoczął dyskusję w sprawie marynarza, a kapitan dał znak Alfredowi, ażeby uważał.

Był to wszelako rodzaj dyskusji, nie bezprzykładowy w zgromadzeniach tego rodzaju, to jest, wszyscy mówcy mówili naraz, i to w ten sposób, że jedna polowa nie wiedziała, od czego zacząć, a druga, na

czem skończyć to, co miała do wyjawienia. W skutek tego rozprawy były raczej obszernymi, niż zrozumiałymi. Nim więc pojawił się gospodarz i zastawił dla nowych gości osobny stolik wieczerzą, złożoną z pieczonych kurecząt i słoniny, kapitan wyrozumiał za ledwie, co następuje. Oto, pod noc, i o godzinę wcześniej od naszych podróżnych, przybył był do oberży pod Królem Arturem, jakiś marynarz. Dalej pokazało się, że klub przypuścił tego marynarza, jakkolwiek nieznanego, do swojego „sanctuarium“. Ze następnie zawezwano go, ażeby stał się godnym tego zaszczytu, opowiadając jaką ciekawą historję. Że, po niejakiem naleganiu, marynarz rozpoczął był niepospolicie zajmującą rzecz o przygodach na morzu, i o rozbiciu okrętu, a w najciekawszym miejscu urwał i na żaden sposób nie chciał dokończyć swojego opowiadania. Że, nakoniec, wziął lichtarz ze świecą, i poszedł spać na górę, do pokoju, w którym stały dwa łóżka.

Na zasadzie tego wszystkiego poruszono kwestję, ażali postępowanie pomienionego marynarza nie było w najwyższym stopniu niewłaściwem i nagannem, i ażali nie wypadało klubowi powziąć uchwałę w tym duchu. Przeciw wnioskowi temu podniosła się opozycja ze strony kilku członków klubu, mających żartobliwe nieco i mniej poważne usposobienie, którzy utrzymywali, że marynarz gotów wcale nie czuć się dotkniętym proponowaną przeciw niemu uchwałą.

Kapitan i Alfred zjedli kolację i wypili piwo, a dyskusji jeszcze nie było końca. Gdy nakoniec wstali ze swoich miejsc i wrócili do kominka, prezes uderzył w stół swoim młotkiem, i przemówił w ten sposób:

— Szanowni panowie z pod Króla Artura! Gdy na dworze tak brzydko, jak tej nocy, harmonja powinna panować w łonie klubu. Gdy na stepie tak ciemno, zimno i wietrzno, w pokoju tym powinno być

wesoło, towarzysko i zabawnie. Szanowni panowie z pod Króla Artura, wzywam was abyście byli tem, czem jesteście. Szanowni panowie z pod Króla Artura, czemu jesteście? Jesteście mieszkańcami, dawnymi mieszkańcami, przesławnej wioski Lanrean. Jesteście zgromadzonimi dokoła tego stołu. Stanowicie klub miesięczny, na czas wszystkich miesięcy zimowych, a tych jest nie mało. Jest to przywilejem, którym się chlubicie, że w razie przyjęcia nowego członka, albo w dzień urodzin którego członka, macie prawo wezwać go, ażeby za zaszczyt należenia do waszego grona odwdzińczył się opowiedzeniem jakiego zdarzenia albo jakiej przygody ze swego życia, albo z życia jakiego swojego krewnego lub przyjaciela. Następnie, ja jako wasz reprezentant, mam obowiązek, zakreślić „frygę*“, która wyznacza, na kogo przypada dalsza kolej. Szanowni panowie z pod Króla Artura! Przywileje, któremi się chlubicie, nie poniosą uszczerbku pod mojem przewodnictwem! Nie! Z tego powodu, ponieważ członek, którego urodziny przypadają dzisiaj, uczynił wam zadość, i ponieważ marynarz, który spi na górze, nie uczynił wam zadość, przeto wznowiam kolej zakreślając frygę, przywiązaną do mojego urzędu, i wzywam tego pana, przed którym ona upadnie, ażeby przemówił, skoro jego nazwisko będzie wygłoszone.

Kapitan i jego młody przyjaciel przypatrywali się ciekawie furkawce, gdy szybko biegła w kółko po stole, a jeszcze ciekawiej, gdy powoli, jak pijana, zaczęła zataczać się i tracić siły. Nakoniec trąciła o lichtarz, i upadła koło fajki owego starego jego-mościa z wielkim kołnierzem od koszuli, o którym wzmiankowaliśmy. Prezes uderzył w stół młotkiem, i zawołał:

— Pan Parvis!

*) Kostka o jednej nóżce, służąca za zabawkę dla dzieci.

— Czy słyszysz? szepnął kapitan, mocno poruszony. — Byłbym się założył o tysiąc dolarów pół godziny temu, że ten sędziwy cherubin w obłokach z dymu, nazywa się Arson Parvis!

Szanowny ten obywatel spojrzał jednym okiem w sufit, dla odświeżenia swej pamięci, i w tej chwili był w istocie bardzo podobnym do owych konwencjonalnych przedstawicieli angielskiej rasy, jakich malowali olejno rozmaici starzy mistrze. Rozpoczął on opowiadanie, którego interes skupiał się w kamizelce. Pokazało się że kamizelka ta była żółtą, z zielonym paskiem, z białemi rękawami, i miała gładki guzik mosiężny. Pokazało się także, że kamizelka ta zrobiona była na zamówienie, przez majstra Mikołaja Pendold z Penzance, który swojego czasu spadł z dachu czworokonnej karety, zjeżdżającej z pagórka na drodze wiodącej do Plymouth, i upadłszy na głowę, ale na taki jej punkt, w którym był mniej czułym, żył potem jeszcze lat trzydzieście i dwa, i twierdził zawsze, że przypadek ten posłużył mu — być może, że rozbudził jego drzemiący umysł. Dalej pokazało się, że kamizelka o której mowa, była własnością ojca obecnego p. Parvisa, i pewnego razu, wraz z parą kamaszów zdobyła go na dorocznej uroczystości górników w Saint-Just, gdzie wydarzyła się owa niesłychana okoliczność, dzięki której kamizelka została sławną w historii na wszystkie czasy. P. Parvis nie umiał wszelako wytłumaczyć ze wszystkiem powodów dla których to się stało i towarzystwo musiało mu wierzyć na słowo, że kamizelka była sławną, zważywszy, iż szanowny obywatel zapomniał z gruntu wszystkie okoliczności towarzyszące powstaniu tej sławy. W istocie, nawet po szczegółowej indagacji przedsięwziętej w celu wspomnienia jego pamięci, nie był w stanie wyjaśnić klubowi pod Królem Arturzem, ażali okoliczność, o którą chodziło, była okolicznością wynikającą z naturalnego, lub nad-

naturalnego porządku rzeczy. W ten sposób spełniwszy swój obowiązek klubowy, p. Parvis rozglądał się w koło z poza swoich obłoków, jak gdyby rad był widzieć tego, co by mu sprostaał w talencie opowiadania, i spoczął.

Klub zostawał jeszcze pod wrażeniem tego sukcesu p. Parvisa, a prezes chciał na nowo puszczać w bieg swoją furkawkę, gdy Alfred dotychczas z trudnością powstrzymywany przez kapitana, powstał, i zapytał, czy wolno mu zadać jedno pytanie p. Parvisowi.

Członkowie klubu, głośnem wołaniem: do porządku! dali mu do poznania, że nie wolno, ale zaledwie wołanie ucichło, Alfred wygłosił swoje pytanie.

Czy okoliczność, której nie mógł przypomnieć sobie p. Parvis, nie tyczyła się przypadku pewnej sumy pieniędzy? Takiej sumy, na przykład, jak pięćset funtów st. ? Sumy, której posiadacz mniemał, że jest jej prawym właścicielem, a która w rzeczywistości była nierzetelnie nabytą i skradzioną ?

Ogólne zdumienie zapanowało w klubie w skutek tej inkwizycji, i byłoby się przemieniło w oburzenie, gdyby kapitan nie był się wdał w sprawę.

— Jakkolwiek dziwacznie i podejrzliwie brzmią zapytania mojego przyjaciela, rzekł, zaręczam wam, szanowni panowie, że ma on uciechę i słuszną przyczynę, dla której je wypowiedział. Zaręczam także, że słowa jego nie dotyczyły nikogo, i nie mogły nikogo obrazić. Szukamy obydwaj informacji w sprawie, którą on poruszył, a informacji tej mogą nam udzielić najlepsi i najzacniejsi ludzie, tutaj lub gdziekolwiek. Spodziewam się, iż szanowny p. Parvis nie odmówi mojemu przyjacielowi odpowiedzi, składającej się ze słowa: tak lub nie.

Po niejakiem czasie i wielkich kłopotach i trudnościach, pan Parvis dał się nakłonić do wygłosze-

nia słowa: nie! Kapitan wstał i podziękował mu za tę koncesję.

— Słuchaj-że teraz drugiego, szepnął Alfredowi. Może będzie miał co więcej do powiedzenia od tamtego starucha. Nie przerywaj mu — słuchaj spokojnie.

Prezes z zachowaniem wszelkich formalności urzędowych puścił w ruch swoją furkawkę, która zataczyła się ku szklance grogu, stojącej przed silnym, śniadym mężczyzną, mogącym liczyć lat sześćdziesiąt dwa. Był to pan Jan Tredgear, zarządca sąsiedniej kopalni. Skoro wywołano jego nazwisko, rozpoczął następujące opowiadanie tonem z początku nader cichym, a rozgrzewającym się w miarę jak mówił dalej.

Opowiadanie Jana Tredgear.

Za dawnych lat, droga mojego żywota wiodła mnie po różnych innych głównych i bocznych drogach we Francji, i zmuszony byłem często szukać schronienia w owych oberżach leżących na ustroniu, które używają jak najgorszej reputacji w francuskich powieściach i dramatach. Należałem do przedsiębiorstwa, od którego podróże tego rodzaju były nieodłącznemi. Jeden z moich przyjaciół osiadł był w Paryżu i założył tam handel hurtowny, mniejsza o to, czem. Zaproponował mi udział w tym interesie, a jednym z obowiązków moich jako spółnika firmy było zwidzać mniejsze miasteczka i wsie francuskie, zakładać w nich agencje, lub zawiązywać stosunki handlowe. Przyjaciel mój wolał powierzyć mi tę misję, niż jakiemu Francuzowi, bo ufał mi więcej, a przytem, będąc wychowanym we Francji, znałem dokładnie język tego kraju.

Przyjąłem propozycję i wziąłem się jak mogłem najenergiczniej do wykonania moich obowiązków. Czasem skuteczniałem moje podróże kolejami żelaznemi, albo dyliżansami, ale czasem zdarzało się, i to ku

największemu mojemu zadowoleniu, że musiałem zwidzać tak odległe zakątki i jeździć tak mało uczęszczanymi drogami, iż musiałem mieć własny powóz i własnego konia. Kupiłem rodzaj faetonu bez kozła, ze skórzaną budą do podnoszenia i spuszczenia, i z walizą z tyłu, w której mieściły się okazy towarów, jakimi handlowaliśmy. Konia musiałem mieć nieco kosztownego, bo mny nie byłby wytrzymał codziennej i natężającej drogi. Kosztował on mię dwa tysiące franków, i wcale nie był drogim za tę cenę.

Wiele bardzo podróży odbyłem tym faetonem i koniem po pięknej, wielkiej Francji. Nie zliczyłbym hotelów, oberż, złych obiadów, wilgotnych i stęchłych łózek, i pcheł, z którymi spotkałem się w drodze, ani niepoczesnych starych warownych miasteczek, do których wjechałem po zwodzonych mostach, ani nieopóźniejszych jeszcze miasteczek bez wałów i mostów zwodzonych, w których mi się wypadło zatrzymać.

Nie wiem jakim sposobem, opuszczając pewnego poranku miasto Doulaise, w zamiarze udania się na nocleg do Franczy-le-Grand, spóźniłem się był o godzinę z moim wyjazdem. Powiedziałem, że nie wiem, jak to się stało, ale to nie prawda. Wiem, jak to się stało. Oto poprostu, wszystko szło na wspak tego poranku. Dość, że wyjechałem o godzinę później niż należało, i otuliłem się skórzanym fartuchem mojego faetonu, usadowiwszy poprzednio obok siebie moją ulubioną suczkę, którą byłem przywiózł z Anglii. Nie ruszałem się nigdy bez niej, i byłem rad z jej towarzyswa.

Był to szkaradny dzień październikowy. Szare niebo, z jasnymi blikami u krańców widokregu, zapowiadało w sposób niedwuznaczny, że drobny a gęsty deszcz który padał, nie ustanie i za dobę. Powietrze było chłodne i nie mile, a na drodze nie spotykało się żywej duszy, chyba tu i owdzie jakiego włościanina

albo robotnika naprawiającego drogę. Droga była smutna i pusta, sadzona topolami po obu stronach, i zasłana ich zwiedłymi liśćmi do tego stopnia, że nie było prawie słycać tętetu kopyt mojego konia. Po obydwu stronach ciągnęła się niezmierna okiem równina, gubiąca się w melancholicznej perspektywie, a gościniec ciągnął się tak równo i prosto że przed sobą i za sobą mogłem widzieć dwa rzędy topol zwyżające się w jeden punkt, o parę godzin drogi odległy odemnie.

W pośpiechu, przy wyjeździe, wbrew zwyczajowi mojemu, zapomniałem był spytać się, gdzie mi najlepiej będzie stanąć na popas. Tak więc, gdy między dwunastą a pierwszą w południe znalazłem się na rozstajnej drodze, i ujrzałem stojącą na rozdrożu oberżę z szyldem pod „Czarną Głową“, nie zostało mi nic jak zatrzymać się tam nie znając zupełnie reputacji tego zajazdu.

Powierzchność jego nie podobała mi się wcale. Był to duży budynek, wyglądający pusto, czarno i brudno, przedstawiający się tak, jak gdyby nikt w nim nie mieszkał i jak gdyby w ogóle był większym niż potrzeba. Wszystkie drzwi i okna były pozamykane, nigdzie nie było widać śladu istoty żyjącej, a z framugi w murze nad głównymi drzwiami spoglądała niesamowito wyrzeźbiona w naturalnej wielkości postać jakiegoś katolickiego świętego. Przez chwilę wahałem się, czy mam zajechać na podwórze, czy poszukać jakiegoś weselszego popasu — ale koń mój był zmęczony, zrobiłem był więcej niż połowę drogi, i najlepiej wypadło zatrzymać się tutaj. Zresztą, dla czegożbym nie miał popasać w tym zajęździe? Wszak gdybym chciał stawać tylko w tych oberżach, które mi się podobały, wypadłoby mi było raczej ze wszystkim zaniechać podróżywania!

Na podwórzu także ani śladu życia. Wszystko było pozamykane. Charakterystyczną cechą stajen i

wozowni były zamknięte drzwi, ani jedno żdźbło słomy nie wskazywało, że budynki te służyły czasami do praktycznego użytku. Ani znaku nawozu, nierogacizny, kur, albo kaczek, jak to bywa w innych oberżach. Głucha cisza panowała w koło, a ponieważ był to jeden z tych dni, w których deszczu siecze prosto z góry, nie poruszany żadnym powiewem wiatru, więc milczenie stawało się prawie doprowadzającym człowieka do rozpacz. Począłem wołać głośno, i wyprzęgałem konia, oczekując czy się kto nie pojawi.

Pierwszą osobą, do której uszu, jak się zdaje, doszło moje wołanie, był chłopak mały, ale przedwcześnie rozwinięty. Otworzył on drzwi domu, wychodząc na dziedziniec, i szedł po schodach, ażeby mi pomódz. Odpinałem właśnie ostatnią sprzączkę u szorów, gdy obróciwszy się przypadkiem, spostrzegłem indywiduum, które się zbliżyło do mnie tak nieznacznie, że sama jego obecność w takim pobliżu byłaby już była zastanawiającą, gdyby nawet indywiduum to nie miało w swojej powierzchowności nic odrażającego. Zapewniam was, szanowni panowie, że w życiu mojem nie spotkałem figury, którejby tak źle z oczu patrzyło. Był to człowiek liczący lat około pięćdziesięciu, ale dzięki suchej i zawiedłej kompleksji, był lekkim i zwinnym jak młody chłopak. Brak ciała nie był atoli jedynym niedostatkiem, którym się odznaczał gospodarz oberży pod „Czarną Głową,” owszem, widać w nim było inne ważniejsze braki: brak sumienia, litości, brak wskazówki jakiegokolwiek lepszego ludzkiego uczucia. Gdy mój pierwszy spojrzał w oczy — w chwili gdy one szybko zdawały się oceniać wartość mojego konia, pakunku znajdującego się w walizie i tłumoka umieszczonego pod fartuchem w faetonie — oczy te wydały mi się prawie pomarańczowe. Za chwilę później, gdyśmy razem byli, w stajni, uważałem, że w

cieniu jakoby jakieś niebieskawe, fosforyczne światło igrało na tych oczach, zasłaniając ich właściwą barwę i nadając im pewien blask tygrysi. Nawiasem mówiąc, spostrzegłem to zjawisko właśnie, gdy przypatrywał się złotemu pierścieniowi, który miałem wówczas, równie jak go mam dzisiaj na tym oto palcu. Dwie jeszcze inne rzeczy uderzyły mnie w tej figurze: czerwona narość cielistą na jego tyłogłowie i głęboka blizna w twarzy, źle zakryta rzadkimi bokobrodami.

— Brzydki dzień, jak na podróż przedsięwziętą dla przyjemności — rzekł gospodarz, patrząc na mnie z satyrycznym uśmiechem.

— Może i nie dla przyjemności — odparłem suche.

— Mało się teraz zdarza takich podróży — ciągnął dalej. Kolej żelazna przemieniła kraj w pustynię, a drogi tak są dzikie, jak przed trzemaset laty.

— Drogi są dość dobre dla tych, którzy niemi jeździć muszą, a inni, jak sędzę, nie puszczają się niemi.

— Czy nie wejdiesz pan do oberży? zapytał gospodarz, patrząc mi w oczy.

Czułem ogromny wstręt do tego, ale cóż miałem począć? Koń mój zjadł już był połowę swego obroku, nie miałem więc pretekstu zostania dłużej w stajni. O przechadzce po deszczu nie było ani mowy, wsiąść do powozu i czekać tam nie mogłem, jeżeli nie chciałem otwarcie okazać nieufności i podejrzania. Oprócz tego, od kawy, którą rano piłem w Doui laise, nie miałem nic w ustach, byłem tedy głodny i spragniony. Nie zostawało mi tedy nic, jak tylko przyjąć zaproszenie gospodarza o podejrzaną minie, i iść za nim po schodach, którymi mnie prowadził.

Pokój, do którego wszedłem, wylazłszy na schody, należał do rzędu tych szczególnych lokali, w których nie tylko nie jest weselej, im więcej w nich światła, ale owszem, smutniej. Światło w istocie sprawia czasem taki skutek wprost przeciwny swojej naturze, i przypominam sobie, że nieraz widziałem salę w domu ubogich, albo pustą izbę szkolną, które wielką część melancholicznego swojego wejrzenia zawdzięczały zbytkowi rozlanego w nich, szarego światła dziennego. Otóż i ten pokój, w oberży pod „Czarną Głową“, w słotny dzień wydawał się nieco widniejszym od wolnego powietrza na dworze, a oprócz tego, wydawał się jeszcze także nieco więcej przestronnym od całego świata znajdującego się po za jego ścianami. Drugi apartament równie obszerny widać było przez drzwi szklane, znajdujące się na jednym końcu pokoju. Nadto, pokój ten nie był ani czworograniastym, ani podłużnym, ale raczej miał jeden bok węższy od drugiego, co, jak'ście panowie zapewne już nieraz w życiu swoim uważali, sprawia zawsze niemiłe wrażenie. Bilar stojący na środku, jakkolwiek wcale duży, wydawał się małym, a co się tyczy innych stołów tu i owdzie porozstawianych, gubiły się one prosto w ogromnej przestrzeni. Kredens, rząd kijów bilarowych, tablica do zapisywania partyj, i sztych przedstawiający zamordowanie arcybiskupa paryskiego, w czarnych ramach, były jedynymi przedmiotami urozmaicającymi jednostajność ścian. Wzdłuż sufitu ciągnął się belek z kołkami, obryzganymi wapnem, którem wybielono niedawno pokój, i umieszczonymi w tej wysokości jakoby dla dogodności samobójców. Moja suczka, którą musiałem wziąć na ręce z powodu, iż objawiała nieprzyjazne usposobienie względem tydek nieznośnego gospodarza, spoglądała w koło z wyrazem obawy i niepokoju, i trzęsła się cała.

— Hm, nie lubisz go, Nelly? Chcesz go kasać, tego szkaradnika? Zkąd on ma tę bliznę na twarzy? Czy oberwał ją przy zamordowaniu ostatniego swojego gościa? A co sądzisz o jego oczach, Nelly? A o jego tyłogłowi? Co też on robi teraz? Co knowa? Nelly, czy nie lepiejby nam było siedzieć w dorożce, i jechać dalej?

W odpowiedzi na te uwagi i zapytania moje, Nelly uderzała ogonem o podłogę i strzygła długimi swojemi uszami, co miało oznaczać, jak wiedziałem już po długiej naszej znajomości, że najzupełniej zgadzała się z mojem zdaniem, nie wdając się w jego rozbiór i ocenę.

Zamówilem był omlet i wino, i czekając na ten positek, uważałem, że gospodarz od czasu do czasu porzucał to, czem był zajęty w drugim pokoju, i podchodził do szklanych drzwi, aby mi się przypatrzeć ukradkiem. Raz także spostrzegłem, że wychodził na dziedziniec, i byłem pewny, że zaglądał do stajni, ażeby ocenić lepiej wartość mojego konia i dorózki.

Nie wychodziło mi z głowy, że mój gospodarz był skończonym łotrem, że interes jego nie wystarczał mu na utrzymanie jego życia, i że spostrzegł, iż mam cennego konia, jakoteż nie złą dorózkę i pakunki zawierające może kosztowne przedmioty. Oprócz tego, miałem przy sobie inne rzeczy, przedstawiające pewną wartość, i sumę pieniędzy, bez której nie mógłbym być puścić się w dłuższą drogę.

Podczas gdy zabawiałem się temi miłemi rozpałtewkami, weszła do pokoju dwunastoletnia dziewczynka, która wytrzeszczywszy na mnie oczy, otworzyła kredens, wyjęła z niego nie wielki pakiecik owinięty papierem, i wróciła znowu szklannymi drzwiami, któremi weszła, przypatrując mi się bez przerwy tak uważnie, że ku wielkiemu mojemu zadowoleniu nabiła sobie guza na czole o odzwieriek. Była to szka-

radna dziewczynka. Miała oczy, które unikając zapewne przez długi czas patrzenia się przed siebie, w końcu zdecydowały się nie patrzeć nigdzie, jak tylko na nos, znajdujący się między nimi — zwłaszcza, że był to nos bardzo szpetny, a tem samem, stanowił dla nich najodpowiedniejsze towarzystwo. Włosy jej były kędzierzawe i rozczochrane, była niezmiernie brudną i laziła nie patrząc przed siebie w sposób hałaśliwy i nieznośny.

Młoda ta dama pojawiła się wkrótce znowu, przynosząc mi omlet, który postawiła przedemną na stole bez obrusa. Ukroiła mi kawałek chleba, położyła go na najbrudniejszym rogu stoła, zaopatrzyła mię w nóż i widelec, i zniknęła. Za chwilę przyniosła mi wino i karafkę z wodą, poczem, gdy już w ten sposób wszystkie przygotowania do mojej biesiady były zrobione, zostawiła mię samego z temi przysmakami.

Muszę tu dodać, że dziewczynka ta nie podobała się mojej suczce tak, jak jej pan, i że Nelly byłaby rzuciła się na nią, gdy opuszczała pokój, gdybym był nie przeszkodził temu.

Doświadczony turysta, moi panowie, nabędzie w krótkim czasie przekonania, że należy jeść, aby żyć, zamykając oczy, zatykając nos i uszy, i usuwając na bok wszelkie niemiłe przypuszczenia i domysły. Trzymając się tej zasady, wziąłem się energicznie do omletu i do kwaskowatego chleba, i wypilem był właśnie pół lampki wina z wodą, gdy nagle przyszła mi do głowy myśl, która sprawiła, że odjawszy lampkę od ust, postawiłem ją na stole. Za chwilę pokosztowałem znowu wino, ale nie połykając go, wypłułem na podłogę.

— Brr! wymówilem głośno, zwracając się do Nelly, która przekrzywiwszy główkę na jeden bok, przypatrywała mi się uważnie. — Brr! Nelly, co za szalony nonsens!

Powodem tego dziwnego mojego postępowania było podejrzenie, które szybko jak strzała, i nie wiadomo z kąd, przez myśl mi przeszło. Wyobraziłem sobie, że wino, które wbrew zwyczajowi memu, zmieszałem był z wodą, było zatrute.

Są myśli, które wracają ciągle do głowy, jak dokuczliwe muchy. Nadaremnie zwalczamy je argumentami, wykazujemy, że są niedorzeczne, za chwilę brzęczą nam znowu w uszach, jak komary. To też nadaremnie zapewniałem Nelly, że to nonsens szalony, nadaremnie perswadowałem sobie, że nie gram roli w melodramacie francuskim, że takie historie, o jakich myślałem, wydarzają się tylko w romansach, nadaremnie nakoniec robiłem uwagę, że niedorzecznością jest podejrzawać uczciwego człowieka o zamiary skrytobójcze dla tego, że ma oczy dziwnego koloru i blizn w twarzy. Dwa stronnictwa niejako powstały we mnie, z których jedno walczyło potęgą rozumowań i zimnej krwi, podczas gdy drugie, nieracjonalne i opozycyjne, odznaczało się tylko zaciętym uporem, którego nie mogły przełamać perswazje przeciwnestrony.

Stronictwu opozycyjnemu przybyło wkrótce sił, dzięki niektórym objawom w moim wewnętrznym organizmie, stwierdzającym pierwotne moje podejrzenie. Pomimo wszelkich moich wysiłków, nie mogłem pozbyć się świadomości pewnych zmian, które działy się we mnie. Przedewszystkiem spostrzegłem, że coś zaszło niezwykłego z moją zdolnością oceniania odległości okiem, do tego stopnia, że kiedy podniosłem jakiś przedmiot i chciałem go potem postawić na stole, albo stukalem nim mocno z powodu iż zdawało mi się że stół stał niżej, niż w istocie, albo też puszczałem go z góry, bo mi się przywidziało, że stół jest o parę cali wyższym. Następnie głowa zaczęła mi się jakós bardzo lekko trzymać na karku, w rękach czułem drżenie, w nogach niezwykle zimno, i nadto zdawało

mi się, że ręce i nogi moje nabrzmiewają do kolosalnej objętości, i otoczone są mnóstwem kółek wirujących z wielką szybkością, jak kółka służące do pewnego rodzaju ogni sztucznych. Uważałem także, że kiedy mówiłem do mojej suczki, głos mój miał jakiś dźwięk dziwny, i że wymawiałem słowa bardzo niedokładnie.

Przez cały ten czas, gospodarz parę razy przypatrywał mi się z po za muslinowych firanek u drzwi, a dziewczynka jego weszła do pokoju bez celu, pokręciła się trochę i wyszła. Nakoniec gospodarz sam wszedł i przystąpił do mojego stołu, patrząc na wino, które stało przedemną zaledwie pokosztowane.

— Zdaje się, że nasze wino nie smakuje panu, powiedział.

— Nie złe, odrzekłem, ile możności obojętnie, a głos mój brzmiał tak, jak gdyby był wydany w sklepieniu kopuły św. Pawła i dochodził do moich uszu przez żelazne rury.

Byłem w dziwnym stanie — świadomy zupełnie, a niezdolny do panowania nad moimi myślami, słowami i ruchami. Zdaje mi się, że gospodarz wytrzeszczał oczy na mnie, równie jak ja moje wytrzeszczałem na niego, przypatrując się kółkom, które wirowały naokoło jego oczu, nosa i brody. Kółka te migotały i zdawały się wydawać szelest podobny do gwizdania, gdy mijały w pędzie bliznę na jego twarzy.

W tej chwili, jakieś hałaśliwe towarzystwo weszło do głównego pokoju oberży, i gospodarz musiał odejść i usłużyć nowym gościom. Wpadłem w lekką drzemkę, której opierałem się z początku ile mogłem. Po jakimś czasie Nelly zbudziła mnie swoim szczeniem. Ocknąłem się i spostrzegłem, że gospodarz był w pokoju, otwierał właśnie kredens i wyjmował właśnie z niego taką samą paczkę, jaką poprzednio

wzięła dziewczyna, poczem wyszedł. Przypominam sobie, że w stanie kompletnego oglupienia zastanawiałem się nad tem, gdzie się podziła dziewczyna? — Wtem, niemiła twarz gospodarza pojawiła się znowu we drzwiach.

— Zgotuję kawę — rzekł — może ona panu będzie lepiej smakować, niż wino.

Gdy znikł, zerwałem się na równe nogi. Nie mogłem łudzić się dłużej. Z szybkością i blaskiem błyskawicy, myśl ta stanęła mi przed oczyma: „Wino było zatrute, ale ponieważ piłem go mało i z wodą, więc gospodarz widzi, że nie sprawiło w zupełności swojego skutku. Kawa ma go dokonać. Kredens — paczka — nie ma najmniejszej wątpliwości! Wyjadę ztąd, póki mogę. Gdy towarzystwo, które słyszę, opuści oberżę, będzie za późno. Wobec tylu świadków, gospodarz nie będzie próbował sprzeciwić się memu wyjazdowi. Nie poddam się senności, ruszę się, zmuszę moje muszkuły do funkcjonowania, i wyjadę.“

Jakby dla zrównoważenia niesłychanej i opłakanej mojej drażliwości, natura, moi panowie, obdarzyła mnie niezwykłą siłą panowania nad moimi nerwami przez czas jakiś. Zatoczyłem się ku drzwiom, zatrzymałem je, nie chcąc, bardzo silnie za sobą, i zszedłem na podwórze, chociaż czułem, że sztywnieję mocno we wszystkich stawach pod wpływem świeżego powietrza.

Nim jeszcze zszedłem ze schodów, spostrzegłem że „dzika“ dziewczynka mojego gospodarza prowadziła przez podwórze kowala, niosącego młot i inne narzędzia należące do jego rzemiosła. Ujrawszy mnie, zwróciła się do niego i powiedziała mu szybko słów kilka, poczem oboje, zamiast iść prosto ku stajni, dokąd zmierzali pierwotnie, skrzyli w bok i weszli do oficyn. Pomyślałem sobie, że kowal sprowadzony był na to, aby zagwoździć mojego konia, i uczynić mi wyjazd niemożliwym, gdyby nawet zatrute wino nie

sprawiło żadnego skutku. Myśl ta pobudziła mnie do większych jeszcze wysiłków. Porwałem dorożkę moją za dyszle i z wielką trudnością wytoczyłem ją z podwórza na gościniec przed domem, czując że umieszczenie jej na drodze, w sposób wpadający w oczy, nie pozwoli stawiać tak wiele przeszkód mojemu wyjazdowi. Nim mi się to udało, upadłem dwa razy, o ile sobie przypominam. Następnie pospieszyłem do stajni. Koń mój miał jeszcze uprząż na sobie, z wyjątkiem kantaru. Powiodło mi się okiełznać go i zaprowadzić do dorożki. Trwało to bardzo długo, nim zdołałem wprowadzić potulne zwierzę między dyszle, a to z powodu, że jakby człowiek mocno pijany, nie mogłem zdać sobie sprawy z odległości żadnego przedmiotu, nie przypominam sobie także, jakim sposobem udało mi się sprowadzić na pomoc przy tej operacji owego chłopaka, którego widziałem, gdy zajmował do oberży. Z wielką biedą zapinałem ostatnią sprzączkę u uprząży, gdy usłyszałem głos za sobą:

— Pan odjeżdżasz bez kawy?

Obróciłem się i ujrzałem mojego gospodarza, obserwującego moje usiłowania, ale nie ruszającego się wcale, ażeby mi dopomóc.

— Nie chcę kawy, odparłem.

— Ani kawy, ani wina! Zdaje się, że pijasz pan bardzo mało? Nie dałeś pan także odpocząć długo swojemu koniowi.

— Spieszę się. Ile wynosi mój rachunek?

— Może pan jeszcze co spożyjesz — może kieliszek wódki na tę wilgoć w powietrzu?

— Nie, nie, proszę o rachunek.

— Może pan wejdiesz przynajmniej do pokoju, i ogrzejesz sobie nogi u pieca?

— Nie, proszę o rachunek natychmiast.

Gospodarz mój widząc, że nadaremnie usiłuje mnie zatrzymać, był zniewolonym uczynić zadość mojemu żądaniu.

— Cztery litry owsa — mruknął — pół wiązki siana, śniadanie, wino, kawa — ostatnie te dwa słowa wymówił ze złośliwym przyciskiem — razem, siedm franków, pięćdziesiąt centymów.

Koń mój w tej chwili zaprzęgnięty już był do dorożki, i nie zostawało mi nic, jak tylko dobyć sakiewki i zapłacić. Ręce miałem zimne, wzrok zaćmiony, i czułem mocny zawrót głowy, a w skutek tego otwierając sakiewkę, wysypałem z niej na ziemię kilka sztuk złotej monety.

— Złoto! krzyknął mimowoli niejako chłopak, który mi pomagał zaprzęgać konia.

Gospodarz zrobił ruch, jak gdyby chciał pozbiierać pieniądze, ale powstrzymał się natychmiast.

— Kto podróżuje dla swojej przyjemności, rzekł, musi mieć dużo złota z sobą.

Tymczasem, było mi coraz gorzej. Nie byłem w stanie pozbiierać pieniędzy, które rozsypałem. Upadłem na kolana, a głowa pochyliła mi się naprzód. Widziałem, gdzie leżała każda sztuka monety, ale nie byłem zdolny uchwycić ją palcami. Pomimo to, nie poddawałem się i pochwyciłem niektóre złotówki, chłopak stajenny, który pomagał mi tym razem bardzo gorliwie, podał mi parę innych sztuk — do dzisiaj nie wiem, ile ich schował dla siebie. Rozglądnąłem się w koło, i nie widząc więcej złota na ziemi, zerwałem się na nogi za pomocą rozpaczliwego wyteżenia sił, i wydrapałem się na moje siedzenie w dorożce. Wstrząsałem lejcami, instynktownie, i koń mój klusem ruszył z miejsca.

W tej chwili, jak to nam się czasem zdarza, gdy mamy usypiać, myśl jedna zelektryzowała mnie jak wystrzał z pistoletu, i sprawiła, że porwawszy lejce, szarpnąłem je tak, iż osadziłem konia na miejscu.

— Moja suczka! Moja maleńka Nelly! — Zostałem ją w oberży.

Opuścić ją, było mi niepodobnem. Muszę wrócić do tego okropnego domu, pomyślałem sobie — zawracając konia — chociaż gospodarz widział już teraz, że mam złoto przy sobie, a towarzystwo, które piło u niego, oddaliło się tymczasem, i chociaż, co najgorsza, trucizna, którą zażyłem, działała coraz silniej.

Gdy ponownie zbliżałem się do oberży, przypominam sobie, że mury jej wydały mi się jeszcze czarniejsze niż pierwsi, że deszcz padał mocniej, i że gospodarz wraz z chłopakiem stajennym stali przed gospodą, widocznie patrząc za mną. Zauważałem także, z daleka na drodze, punkt ciemny, jak gdyby jakiś wóz, zbliżający się w tę stronę, w której byłem.

— Wróciłem po mego psa, rzekłem.

— Nie wiem nic o pańskim psie, odparł gospodarz.

— To nie prawda! Zamknąłem go w pokoju na górze.

— Więc idź pan poszukać go, była zachęta odpowiedź gospodarza, który nie widział już snąć potrzeby zachowania przyzwyczajonych pozorów.

— Pójdę, powiedziałem.

— Wiedziałem, że gospodarzowi chodziło o to, ażeby mnie zmusić do wejścia, wiedziałem, że zginę, jeżeli wejść, ale nie dbałem o to. Zlałem z dorożki, i trzymając się poręczy, wyszedłem po schodach na górę. Gdy przechodziłem przez pierwszy pokój, usłyszałem w drugim, przez szklane drzwi, szczerkanie mojej Nelly. Otworzyłem drzwi, a psina wyskoczyła do mnie z radością. Wziąłem ją na ręce, i wyszedłem.

Teraz uczułem, że było już po mnie. U drzwi wychodzących na drogę, ujrzałem jak konia mego z dorożką prowadzono na podwórze, a w sieniach gospodarz zastąpił mi drogę. Chciałem go odepchnąć, ale nie dokazałem tego. Nelly upadła mi z rąk na

stopnie za drzwiami wehadowemi, które gospodarz zatrzasnął natychmiast. Bez zmysłów i bez przytomności, upadłem obok niego na ziemię.

Ciemno było. moi panowie — ciemno i bardzo zimno. Na małym kawałeczku nieba, który widziałem przed sobą, było dziwnie wiele gwiazd, które byłyby zapewne bardzo jasne, gdyby ich był nie zaćmiewał jakiś duży planet, rozpanoszony w nieobecności księżyca. Leżeć tak spokojnie, było pomimo zimna, rzeczą niezmiernie rozkoszną. Ruszyłem nieco głową, ażeby ją wyprowadzić z pozycji, w której snąć długo leżała, i czułem, że siedziała sztywnie na karku i była osłabioną. W tej samej chwili, coś ruszyło się koło mnie, i najpierw jakiś zimny nos dotknął mojej ręki, a potem, gorący język począł ją lizać. Oprócz tego słyszałem lekki turkot, i zdawało mi się, że jestem wieziony lub niesiony bardzo wolno, a od czasu do czasu czułem lekkie szturknięcia, z których jedno zapewne, nieco silniejsze od drugih, obudziło mnie ze snu.

Powoli, zacząłem rozróżniać wzrokiem różne przedmioty. Ujrzałem przed sobą uszy konia, poruszającego się bardzo regularnie, obok niego zaś, widziałem potężne barki jakiegoś mężczyzny, kaptur u jego bundy i duży kapelusz. Słyszałem, że mężczyzna ten od czasu do czasu zachęcał konia głosem, i słyszałem dzwonki u uprzęży. Po za nami, słyszałem także turkot i stapanie konia, jak gdyby drugi powóz toczył się w ślad za tym, w którym się znajdowałem. W odległości niejakej, widziałem migocące światła, widocznie zbliżaliśmy się do jakiegoś miasta.

Leżąc tak i obserwując to wszystko, czułem taką bezwładność, i takie osłabienie zupełne, chociaż nie ze wszystkiem niemiłe, że ani mi do głowy nie przychodziło zastanowić się nad tem, co się działo ze

mną. albo zapytać się gdzie jestem i zkąd się tu wziętem. Miałem jakieś uspakajające uczucie, że nie złego stać mi się nie może, a ciekawość rozwijała się we mnie tak powoli i stopniowo, że niezawodnie kwadrans upłynął nim zdecydowałem się usiąść prosto i nim poznałem zakapturzone plecy mężczyzny, który prowadził konia.

— Dufay? zapytałem.

Mężczyzna z kapturem, usłyszawszy mnie, zawołał: Prr! na konia, którego prowadził, następnie pobiegł w tył, za powóz, krzyknął tam: Prr! jeszcze raz, i stanęliśmy. Potem stanął na stopniu i wziął mnie serdecznie za rękę.

— Ha, więc zbudziłeś się pan na koniec? Bogu dzięk! Poczynałem już rozpaczać o panu!

— Kochany przyjacielu, co to wszystko znaczy? Gdzie jestem? Zkąd jadę? To nie jest moja dorożka, to nie mój koń!

— Pański koń, z pańską dorożką, idzie tuż za nami, odparł Dufay, a więcej nie powiem panu nic. póki się nie ulokujemy wygodnie i ciepło w oberży „pod złotym Lwem.“ O, widzisz pan te światła? To miasto. A teraz, ani słowa. — To rzekłszy, otulił mnie lepiej kocem, którym byłem nakryty, zeskoczył ze stopnia, zawołał: „Allons donc!“ na konie, trzasnął z bicia i ruszyliśmy dalej w drogę.

Castaing Dufay — człowiek, który prowadził konie — był to kolega mój z zawodu, jako podróżujący w sprawach handlowych. Nieraz, sprowadzał nas razem obowiązek, często jednakowoż zdarzało się oprócz tego, że mając cel wspólny w naszych podróżach, i stykając się jeden z drugim, polubiliśmy się — i ztąd, wywiązało się między nami pożyte przyjacielskie. W ogóle, Castaing Dufay, jako reprezentant zawodu *Komwojażerów*, był tem, coby nazwał „egzemplarzem na okaz.“ Pomiędzy porządnymi ludźmi, którzy wówczas zjeżdżali Francję wzdłuż i w szerz, szukając

nawiazania interesów handlowych, i wożąc się krzepkimi końmi i mocno zbudowanymi dorożkami, był to właśnie chłopak, który mi się podobał, i któremu w ciągu naszej znajomości, miałem sposobność wyświadczyć pewną ważną przysługę. Otoż, powtarzam, lubi tem go i sędzę, że on mnie lubił — jeżeli szanowni panowie przypuścicie, że ludzie, którym wyświadczyliśmy przysługę, lubią nas tak, jak my ich lubimy. (Jest to kwestją sporną u psychologów! *K. tłum.)**)

W istocie, jak już poprzednio zauważyłem, widać było niedaleko światła w mieście, a za chwilę, zajęliśmy do oberży pod „Złotym Lwem“ (*Le lion d'or*). Tam, już na samem podwórze, przywitały nas czarne, które w porównaniu z widzianymi w oberży pod „Czarną Głową“ wydały mi się anielskimi.

Póki nie próbowałem ruszyć się z miejsca, nie czułem i nie wiedziałem, jak dalece byłem osłabiony. O obiedzie, do którego mnie wzywano, nie było mowy. Jedynymi rzeczami, których pożądałem, były: ciepły pokój i dobre łóżko. Życzeniem, byłem pod stało się zadość. Nim się opatrzyłem, byłem pod kołdrą, i miałem głowę opartą o doskonałe poduszki. Nie jestem w stanie opisać, jak mi było dobrze. Nie spałem — byłem ledwie w pół przytomnym — ale było mi wygodnie, swojsko, dobrze, i przez powieki wpół otwarte przypatrywałem się polanom, gorejącym na kominku, niknącym wśród żaru, i popielejącym w moich oczach. Koło mnie, na dywanie, wyciągała się moja suczka, Nelly.

Powtarzam, że po walkach fizycznych i nerwowych, przez które przeszedłem, było mi dobrze, wy-

*) Tłumacz niniejszej powiastki miał parę razy w życiu sposobność przekonać się, że ludzie, którym wyświadczyło się przysługę, nie tylko nie lubią dobroczyńcy swojego, ale owszem, nienawidzą go. To tłumaczy jego nawias. (*Przyp. wydawcy.*)

godnie, i przede wszystkim, bezpiecznie i swojsko. W tej chwili pojawił się koło mnie mój przyjaciel, Dufay. Chciał mi opowiedzieć to, o co go pytałem przed chwilą. Ale już się czułem zdrowszym, i pamiętałem w skutek tego o moim piesku.

— Ani słowa, rzekłem, póki pan nie przyniesiesz nieco kostek dla Nelly.

Dufay zniknął, i za chwilę pojawił się, niosąc całą miskę kości z kurcząt i innych potraw z restauracji, a oprócz tego, dla mnie filiżankę doskonałego rosółu. Zmusił mnie do wypicia tego pocrzepiającego, gorącego płynu. Połykałem go chciwie, a podczas tego Dufay spojrzał na Nelly, gryzącą kostki, i rzekł:

— Suczka pańska zarobiła dzisiaj uczciwie na swój podwieczorek, bo gdyby nie ona, nie żyłbyś pan teraz.

— Hm — odezwałem się, budząc się do zupełnej przytomności.

— Mów pan dalej, słucham pana, rzekłem.

— Czy przypominasz pan sobie — zagadł mnie Dufay, że dziś rano wyjechałeś pan z Doulaise?

— Być może, odpowiedziałem. Zdaje mi się, że było to tydzień temu.

— Było to dzisiaj rano, odpowiedział. Otóż, panie Tredgear — opuściłeś pan zaledwie duże podwórze zajezdnego domu w tem miasteczku, kiedy tam zjechałem na krótki popas, i dowiedziałem się, którądy pan się udałeś. Zjadłem śniadanie w Doulaise, ażeby dać wytchnąć mojej szkapie, i puściłem się w ślad za panem. Pytałem się w zajezdzie, czy nie wiedzają, gdzie pan miałeś zamiar stanąć na popas. Kelner nie miał o tem ani wyobrażenia. — Poczekaj-no, rzekłem, czy nie w oberży pod „Czarną Głową“? — O nie, odparł, jest to karczma, która używa jak najgorszej reputacji — żaden podróżny tam nie staje. To „mordownia“, dodał. — No, pomyślałem sobie, jeżeli tak, to bądź co bądź, dopędzę pana Tredgear. I ruszyłem

w drogę. Tymczasem, dzień miał się ku schyłkowi, i jadąc w ślad za panem, ujrzałem zajazd pod „Czarną Głową“. Wiesz pan, że mam wzrok nieco krótki — pomimo to, zbliżając się do „Czarnej Głowy“ spostrzegłem, że zataczano na podwórze jakiś powóz, ale to nie byłoby jeszcze zwróciło mojej uwagi na siebie. Co mnie zastanowiło, to było szczekanie jakiegoś pieska, w chwili, gdy miałem mijać oberżę. Przypatrzyłem się, i poznałem pańską Nelly.

— Ach prawda, zawołałem — puściłem ją z rąk w chwili, gdy gospodarz zatrzasnął drzwi wchodowe przedemną!

— Pozwól-że pan — ciągnął dalej Dufay. Poznawszy psa, zatrzymałem moją szkapę przed oberżą. Nelly rzuciła się ku mnie i poczęła mnie witać i ujadac do mnie, jak szalona. To spowodowało mnie wysiąść i wejść do karczmy. Ledwie otworzyłem drzwi, gdy suczka pańska rzuciła się ku schodom. Z razu nie dostrzegłem nic, ale postąpiwszy za nią parę kroków, ujrzałem na schodach widok taki: Pan, mój kochany panie, leżałeś prawie martwy, w objęciach człowieka, który pana ciągnął na górę. Człowiekowi temu strasznie źle patrzyło z oczów, a w dodatku, była przy nim dziewczynka, jeżeli można, jeszcze gorzej od niego wyglądająca, i ta trzymała pana za nogi.

— Co pan robisz z tym panem? — zapytałem.

— Zachorował, i niosę go do łóżka — odparł człowiek, któremu źle patrzyło z oczów.

— To mój przyjaciel, rzekłem. Co się mogło stać takiego, że zachorował?

— A mnie co do tego! była odpowiedź. — Już nie jestem od tego, bym go pilnował i uważał na jego zdrowie!

— Otóż ja jestem od tego, zawołałem — i przede wszystkim żądam, ażeby ten pan nie został tutaj ani chwili dłużej.

Muszę panu powiedzieć, że wyglądałeś pan wówczas okropnie. Byłeś pan bladym, jak śmierć, i nie miałeś pan żadnej władzy w członkach. Pomimo to, usiłowałem pana podnieść i zanieść do mojego powozu.

— Pomóż-no mi pan, odezwałem się do człowieka, który pana ciągnął na górę.

— Ani mi to w głowie! odparł. On nie może ruszyć się ztąd, bo jest chorym. A zresztą, cóż on pana obchodzi?

— Obchodzi mię, bo jest moim przyjacielem.

— Albo-ż ja wiem!

— Powtarzam panu, że jest moim przyjacielem. Zresztą, widzisz pan, że jego pies mię poznaje, i łąsi się do mnie.

— Co mi do tego! Nie pozwolę, ażeby tego pana wzięto z mojego domu, skoro zachorował.

— E, nie pozwolisz pan! Musisz pan pozwolić.

— Dlaczego?

— Dla czego? Powiem panu. Dla tego, że pójdę do żandarmów, którzy mają posterunek w sąsiedniej wsi, i że im opowiem, w jakich warunkach zastałem tutaj mojego przyjaciela. A potem, dla tego, że pański dom wcale nie używa dobrej sławy.

Gospodarz pański milczał przez chwilę, jak gdyby się czuł pobitym, ale wkrótce zebrało mu się na odwagę.

— A gdybym zamknął drzwi, zagadnął mię, nie wypuścił ztąd ani jego, ani pana?

— No, odpartem spokojnie — sam nie potrafisz pan zatrzymać mię tutaj przemocą. Gdybyś pan zaś miał pomocników w pobliżu, to chciał pan dowiedzieć się, że czekają na mnie dzisiaj w Francy-le-Grand, i że gdybym tam nie przybył wieczorem, szukano by mię na drodze. Wiadomo moim znajomym, że rano wyjechałem z Doulaise, a wiadomo całemu światu, że po drodze, między Doulaise a Francy-le-Grand, znaj-

duje się niezmiernie lichej sławy używająca oberża pod „Czarną Głową.“ Otóż, mój panie, czy pomożesz mi pan zanieść tego pana do mojego powozu?

— Nie, odparł, ani się ruszę!

Skoro nie chciał, ale przynajmniej nie bronił, musiałem nieść pana sam. Nie było to łatwo, bo wżysż pan nieco, jak panu wiadomo. Ostatecznie wszelako udało mi się ulokować pana w mojej doróźnie, a co więcej, zabrać pańskiego konia wraz z pańskim faetonem, i prowadzić go tuż za moim ekwipażem. Otóż jesteśmy w Francy-le-Grand, w oberży pod „Złotym Lwem,“ suczka, której pan zawdzięczasz swoje ocalenie, zgryzła swoje kości i spi spokojnie koło pana, i możesz pan uczynić to samo, a jutro, da Bóg doczekać, ruszymy w dalszą drogę. Nauka: nie stać na popas pod „Czarną Głową.“

Na razie zdawało mi się, że jestem zbyt osłabionym, ażeby skorzystać z tej przestrogi. Ale prześpałem się jakoś, przeżyłem noc, i wiele lat potem, i nie bez przyjemności przypominam sobie całe to zdarzenie. Proszę zakreścić „furkawkę,“ niech następny opowiada coś ciekawego!

— Szanowny panie, rzekł kapitan Jorgan, podnosząc się i przytrzymując swojego towarzysza za rękaw, ażeby się nie odzywał — winszuję panu tego zdarzenia, które swojego czasu było nieprzyjemne, ale o którym, jak o wszystkich podobnych wypadkach, miło wspomnieć po latach. Panie Tredgear, chodziło w tej sprawie o pańskie pieniądze, których panu omal nie ukradziono. Czy nie była to przypadkiem suma, wynosząca pięćset funtów?

— Radbym był, gdybym był posiadał wówczas połowę tej sumy — była odpowiedź.

— Dziękuję panu. Czy wolno mi zadać panu pytanie, które już było postawionem tutaj poprzednio? Czy w Lanrean, lub w ogóle w tych stronach, nie

zdarzyło się panu słyszeć o jakiej okoliczności, mającej związek z podobnem pytaniem?

— Nie, nigdy.

— Dziękuję panu raz jeszcze za tę odpowiedź. Jak pan widzisz, wskazano nam Lanrean jako miejsce, gdzie możemy zasięgnąć wiadomości o pewnej sprawie. Dostawszy się przypadkiem między mieszkańców tego miejsca, korzystamy ze sposobności. W mojej ojczyźnie jest to obyczajem, korzystać ze sposobności.

— I jak sędzę, korzystacie z nich jak najlepiej, wychodzicie na tem dobrze?

— Faktem jest, rzekł kapitan, że idzie nam nieźle. Tak jest, idzie nam jako tako. Ale nie przeszkadzam furkawce.

Zakrecono ją i potoczyła się ku Dawidowi Polreath, szpakowatemu człowiekowi, o którym kapitan szepnął młodemu Raybrookowi, że wydaje się starym jak góry okoliczne, a twardym jak żelazo. — I ciekaw jestem, dodał, rozglądając się po pokoju, czy Bezimienny Penrewen znajduje się tutaj także?

Dawid Polreath odgarnął z czoła bujne szpakowate włosy, które mu spadały na ramiona, i rozpoczął swoją historję.

Pojedynek w Winglebury.

Winglebury jest to miasto oddalone o czterdzieści dwie mile i trzy ćwierci od Hyde-Park-Corner w Londynie, i posiada główną ulicę, ratusz nie wielki z czerwonej cegły i z wielkim zegarem, rynek, salę zgromadzeń, kościół, most, kaplicę, teatr, księgarnię, hotel i pocztę. Naprzeciw ratusza stoi zajazd, czyli główny hotel w Winglebury, zawierający salę zgromadzeń, pocztę i urząd akcyzowy, i służący przy każdych wyborach za punkt zborny „niebieskiej“ partji, a przy każdych rokach sądowych za pałac sprawiedliwości. Przed tym hotelem, pewnego razu, widzieć

można było cztery konie okryte kocami, i czekające na dyliżans z Londynu, i kilku pocztylionów, rozprawiających poważnie o chowie bydła, podczas gdy pół tuzina obdartych uliczników przysłuchiwało się ich konwersacji, i parę przechodniów nie mających nic lepszego do czynienia, oczekiwało przybycia dyliżansu.

Dzień był gorący i duszny, a z wyjątkiem tych kilku osób, nie widać było nikogo na ulicy. Narazem się słyszeć głos trąbki, i dyliżans nadjechał z niesłychanym turkotem po nierównym bruku. Zrobił się wielki ruch w hotelu, wybiegli garsony, stajenni, pokojówki. Jakaś dama wysiadła, zniesiono jej kufry, i dano jej pokój pod numerem dwudziestym piątym, z polecenia gospodyni.

— Tomasz! zawołała ta ostatnia.

— Jestem.

— Oto jest list do tego pana, który stoi pod numerem dziewiętnastym. Przyniósł go służący z pod „Lwa.“

Tomasz odniósł pismo panu Aleksandrowi Trott, Esq., bo tak zwał się gość pod nr. 19. Następnie Tomasz spuścił żaluzję, i podniósł ją napowrót — bo garson hotelowy musi koniecznie pokrzątać się trochę po pokoju, nim wyjdzie — posunął trochę szklanki na komodzie, otarł pył z miejsca, które wcale nie było zapyłone, potarł ręce i wyniósł się nakoniec.

P. Aleksander Trott musiał niezawodnie wyczytać w liście, który otrzymał, coś niespodzianego, a przynajmniej, bardzo niemiłego, bo kładł go na stole i brał go znowu do rąk, chodził po pokoju i stawał, a nakoniec usiłował gwizdać jakąś nutę, ale mu się to nie udało. Nakoniec, rzucił się na fotel, i odczytał list powoli i głośno.

„Winglebury, w oberży pod Niebieskim Lwem, w środe rano.

Panie!

Zaledwie odkryłem pańskie zamiary, opuściłem kantor i pospieszyłem za panem. Wiem co pana tu sprowadza. Nic z tego nie będzie.

Nie mam tu w Winglebury nikogo, na czyjej dyskrecji mógłbym polegać, ale to nie przeszkodzi mojej zemście. Emilia Brown nie padnie ofiarą zabiegów łotra, chciwego pieniędzy, którego ona nienawidzi, i którym wszyscy pogardzają, a z mojej strony nie myślę znieść spokojnie potajemnych zamachów podłego parasolnika.

Panie — od kościoła w Winglebury ścieżka prowadzi przez łąki w ustronie, zwane Grabarką. (P. Trott zadrżał). Czekam na pana tam jutro o w pół do szóstej rano, a gdybym czekał daremnie, będę miał przyjemność zrobić panu wizytę z nahajką w ręku.

*Horacy Hunter.**

P. S. Sklep ruśnikarza znajdziesz pan w głównej ulicy miasta. Zwracam uwagę pańską, że po zachodzie słońca nie sprzedają prochu.

„PPS. Nie zamawiaj pan śniadania, póki pan się ze mną nie rozprawisz. Mogłoby to być wydatek wcale zbyteczny.“

— Zbój nikczemny! zawołał p. Trott. — Wiedziałem, że tak będzie. Powtarzałem papie, że byłem się ruszył z Londynu w tej sprawie, Hunter będzie mię ścigał jak żyd wieczny. Już to samo jest nieznośnem, żenić się z rozkazu rodziców. i wbrew woli panny — a co sobie Emilia pomyśli o mnie, jeżeli wpadnę do niej zadyszany, uciekając przed tym zawziętym rozbójnikiem? Co począć? Jeżeli wrócę do Londynu, utracę pannę, a co najgorsza, utracę i jej pieniądze. Jeżeli pojedę do Brownów powozem, Hunter gotów ścigać mię ekstrapocztą, a jeżeli pójdę tam, na tę... Grabarkę, (tu p. Trott zadrżał znowu) zginąłem. Widziałem Huntera na strzelnicy w Pall Mall, gdzie na sześć strzałów, pięć razy trafiał czło-

wieka malowanego na tarczy w drugą dziurkę od guzika u kamizelki, a szósty raz, w głowę. Co począć?

P. Trott zakrył twarz dłońmi i wpadł w głęboką zadumę. Najmilej byłoby mu wracać do Londynu, ale bał się gniewu swojego ojca, i stracenia pięknej sumy pieniędzy, którą stary Brown obiecał staremu Trottowi dać swojej córce w posagu. Drogoskaz jego duszy wskazywał tedy: do Brownów, ale tutaj stawała mu w drodze groźba Huntera. Nie zostawało tedy, jak udać się chyba na „Grabarkę“, i p. Trott uczuł znowu dreszcz zimny na plecach. Nakoniec, rozważył i obmyślał plan, do którego wykonania przystąpił natychmiast.

Przedewszystkiem, wyprawił służącego hotelowego z kartką do oberży pod „Lwem“, wyrażającą p. Hunterowi, że p. Trott pragnie niesłuchanie jego krwi i z największą przyjemnością zastrzeli go nazajutrz o w pół do szóstej rano. Następnie zawołał drugiego służącego.

— Czy wiesz, gdzie mieszka burmistrz tutejszy?

— I owszem, odparł posługacz, dając do zrozumienia, że miał niejedną powód wiedzieć o tem.

— Czy mógłbyś zanieść mu ten list?

— Dla czegoż nie?

— Ależ bo, widzisz, jest to anonim — rzekł p. Trott, pokazując mu jedną ręką list, a drugą, pięć szylingów.

— Ano... jak? Co?

— Anonim, to znaczy, że burmistrz nie ma wiedzieć, od kogo list pochodzi.

— A, rozumiem, rzekł posługacz mrugając tajemniczo, ale nie okazując najmniejszego wstępu do podjęcia się posyłki. Rozumiem, to coś takiego — i tu zrobił giest, mający wyobrazić ogień. — Ale, dodał, uważasz pan, nasz burmistrz jest prawnikiem i asekuruje się od ognia. Jeżeli pan masz złość do

niego, nie radzę panu podpalać jego domu, bo wyświadczyłbyś mu pan największą przysługę.

Gdyby p. Trott nie był w tak rozpaczliwym położeniu, byłby niezawodnie zawołał gospodarza i byłby mu kazał zrzucić posługacza ze schodów. Zważywszy atoli, w jakim był położeniu, dał posługaczowi dziesięć szylingów, zamiast pięciu, i wyjaśnił mu spokojnie, że list tyczył się jedynie naruszenia spokoju i porządku publicznego. Posługacz odszedł, zobowiązawszy się uroczyście do milczenia, a p. Trott zasiadł uspokojony znacznie do wieczerzy złożonej z ryby, kotletów, madery i innych przysmaków.

Tymczasem, dama pod numerem 25. wysiadłszy zaledwie z dyliżansu i poprawiwszy nieco swój ubiór, wyprawiła była natychmiast do p. Józefa Overton, adwokata i burmistrza w Winglebury, bilet, żądając ażeby ją odwiedził natychmiast w nader ważnej sprawie. Zaczny ten dygnitarz uczynił natychmiast zadość temu żądaniu, i udał się do hotelu, gdzie gospodyni na czele całego oddziału kłaniających się nisko garsonów zaprowadziła do drzwi numeru 25go.

Dama wstała z sofy na jego powitanie. Była to osoba dobrej tuszy, licząca lat około czterdziestu, i wykwintnie ubrana.

— Panno Julio Manners, zawołał burmistrz, postępowanie pani zadziwia mię niezmiernie.

— To nie pięknie z pańskiej strony, panie Overton, wiem bowiem, że nie zadziwiało pana nigdy i nie zadziwia to, co pan sam robisz, i mógłbyś pan tedy być równie grzecznym dla drugih, jak dla siebie.

— Ależ uciekać, naprawdę uciekać, z młodym człowiekiem! — perswadował burmistrz.

— Przypuszczam, odparła dama zimno, że nie zechcesz pan, abym uciekała ze starym!

— Uciekać, i żądać odemnie, odemnie właśnie, od burmistrza tego miasta, ażebym był pomocny w ucieczce! jęknął p. Józef Overton, siadając i wymując list panny Julii z kieszeni, jak gdyby chciał udowodnić to, co mówił.

— Panie Overton, rzekła panna Manners zniecierpliwiona, potrzebuję pańskiej pomocy w tej materji, i mieć ją muszę. Za życia tego biednego, starego, poczciwego p. Cornberry, który.... który...

— Który miał zenić się z panią, i nie ożenił się z powodu, że umarł na suchoty i zostawił pani swój majątek bez ciężaru swojej osoby — mówił p. Overton sarkastycznym tonem.

— Otóż, za jego życia, na jego majątku ciążył pański zarząd, i rzecz dziwna, że majątek nie umarł na suchoty, zamiast swojego pana. Umiałeś pan wtedy pamiętać o sobie, chciaj pan teraz pamiętać o mnie.

Mr. Overton był światowym człowiekiem, a prócz tego adwokatem. Przeszło mu przez myśl wspomnienie jednego i drugiego tysiączka funtów, które sobie był przywłaszczył, odchrząknął, uśmiechnął się słodko i zamilkł. Po chwili zapytał:

— Cóż mam uczynić dla pani?

— Powiem to panu w trzech słowach. Kochany lord Piotr...

— A, to jest ów młody człowiek!

— Tak, to jest ów młody lord. Otóż kochany lord Piotr obawia się gniewu swojej rodziny, i dla tego postanowiliśmy pobrać się w sekrecie. Wyjechał tedy z Londynu, pod pozorem wizyty u p. Augusta Flair, trzydzieście mil ztąd, w towarzystwie swojego grooma. Ułożyliśmy się, iż przyjadę sama dyliżansem do Winglebury, poczem on, zostawiwszy swój faeton i grooma, przybędzie tutaj dziś po południu.

— Doskonale więc, skoro przybędzie: może wziąć pocztę i możecie państwo pojechać razem Grenado Green, bez niczyjej pomocy! Czy nie tak?

— Nie. Rodzina lorda Piotra ma złe wyobrażenie o jego roztropności i sprycie, i odkryła jego przywiązanie do mnie, skoro tedy spostrzegła jego nieobecność, puszczają się za nim w pogoń. Ażeby ich zbić z tropu, i zmylić wszelkie poszukiwania, chciałabym, ażeby przypuszczano w tej oberży, że lord Piotr cierpi, rozumiesz pan, na zajączki w głowie, chociaż jest zupełnie nieszkodliwym, jakoteż, że ja bez jego wiedzy czekam na jego przybycie, ażeby go odwieść pocztą do prywatnego zakładu obłąkanych, dajmy na to, do Berwick. Jeżeli się nie będę pokazywała za wiele, spodziewam się, że potrafię ujść za jego matkę.

Burmistrz musiał pomyśleć w tej chwili, że Miss Julia mogłaby była pokazywać się, ileby chciała, bez żadnej obawy, zwłaszcza że miała dwa razy lat wieku, co jej przyszyły. Uważał jednak za stosowne nie wyjawiać tego zdania. Panna Manners mówiła dalej:

— Lord Piotr wie o tem wszystkiem, od pana zaś wymagam tylko tyle, ażebyś dla nadania większego prawdopodobieństwa całej sprawie, poparł ją swoją powagą i opowiedział w oberży, dlaczego porywam przemocą tego młodego człowieka. Ponieważ zaś nie zgadzałoby się to z naszym opowiadaniem, gdybym się z nim widziała nim wsiądzie do powozu pocztowego, więc pragnę, ażebyś pan poszedł do niego i doniósł mu, iż wszystko idzie, jak ułożono.

— Czy już przybył?

— Nie wiem.

— A jakże ja mam to wiedzieć? Zapewne nie powie swego nazwiska w oberży.

— Prosiłam go, ażeby zaraz po swoim przybyciu napisał karteczkę do pana, a z obawy przed od-

kryciem, poleciłam mu napisać ją bezimiennie i w tajemniczych wyrazach donieść panu numer swojego pokoju.

— Mocny Boże! zawołał burmistrz zrywając się i przeszukując swoje kieszenie. To szczególna! Przybył już, przybył niewątpliwie! Przed chwilą, w tajemniczy sposób wręczono mi bardzo tajemniczą karteczkę. Nie wiedziałem, co to ma znaczyć, i byłbym prawdopodobnie nie zwracał dalszej uwagi na to pismo. O, otóż jest! — I tutaj p. Overton wydobyl z kieszeni karteczkę pana Aleksandra Trotta. — Czy to jest pismo jego lordowskiej miłości?

— O, tak, odparła panna Manners. Drogi chłopczyka! Widziałam jego pismo zaledwie raz w życiu, ale wiem, że pisze źle i dużemi literami. Ci panowie z arystokracji, jak panu wiadomo...

— O, tak, tak! Konie — psy — groomy — aktorki — szampan — cygara — stajnia — zielony stolik — a na koniec Izba parów... Ale przeczytajmy karteczkę. Oto, co pisze: „Panie! W hotelu „w Winglebury stanął pod nrem 19 młody człowiek „który jutro rano o wczesnej porze zamierza popełnić szaleństwo. (To dobre! Mowa o małżeństwie!) „Jeżeli pan dbasz o pokój tego miasta, i o ocalenie „życia ludzkiego, albo i życia dwóch ludzi.“ — Co to u licha ma znaczyć?

— To ma znaczyć, rzekła p. Manners, że gdyby się nie ożenił ze mną, umarłby z rozpacz, i że ja mogłabym umrzeć także.

— A, rozumiem! No, nie ma obawy... czytamy dalej: „każesz go pan wywieść jeszcze tej nocy. Nie „wahaj się pan ani chwili, jutro byłoby za późno. „Jeszcze raz, numer dziewiętnasty. Nazwisko: Trott. „Pamiętaj pan, że życie lub śmierć zawisły od pańskiego pospiechu.“ — A, to namiętny sposób wyrażania się, ani słowa! Czy mam pójść do niego?

— Idź pan, i poleć mu pan, ażeby dobrze odegrał swoją rolę. Boję się o niego. Niech będzie ostrożnym. Ułóż pan wszystko. Zamów pan ekstra-pocztę na pierwszą godzinę w nocy.

Burmistrz wyszedł rozmyślając nad zabawnym swoim położeniem i kazał się przez garsona zaanonsować lokatorowi pod nrem 19. Pan Trott, usłyszawszy, że jakiś pan chce się z nim widzieć, struchlał, postawił na stole niedopity kieliszek porteru, i zerwawszy się z krzesła, cofnął się ku oknu, jak gdyby sobie chciał zapewnić odwrót na wypadek, gdyby jego gościem był p. Horacy Hunter. Jeden rzut oka na burmistrza uspokoił go wszakże, skłonił się, i prosił swojego gościa, ażeby usiadł. Garson pokręcił się trochę po pokoju i wyszedł.

Mr. Overton pochylił się ku p. Trotrowi i szepnął:

— Milordzie...

— He? krzyknął p. Aleksander Trott, patrząc na burmistrza jak gdyby był w śnie magnetycznym.

— Pst, pst! Masz pan słuszość, precz z tytułami w takim wypadku. Nazywam się Overton, mój panie.

— Overton!

— Tak jest panie, jestem burmistrzem tutejszym. Pisałeś pan do mnie list bezimienny, dziś popołudniu.

— Ja panie? zawołał Trott ze zdziwieniem źle udanem. Pomimo całego strachu swojego przed Hunterem, za nic w świecie nie chciał przyznać się do autorstwa takiego listu.

— Pan, a któż inny? zagadnął burmistrz, zniecierpliwiony tym mniemanym zbytkiem ostrożności. Jeżeli list ten pochodzi od pana, możemy pomówić od razu o całym interesie, jeżeli nie, to nie mam co robić tutaj.

— Zostań pan, tak, to ja pisałem. Cóż miałem uczynić? Nie mam nikogo znajomego w tem mieście.

— Oczywiście, oczywiście: postąpiłeś pan sobie jak najrzęczniejsz. Otóż, mój panie, musisz pan wyjechać ztąd pocztą jeszcze tej nocy, i niechaj pan każe pocztyljonom dobrze zaciąć konie. Nie jesteś pan bezpiecznym tutaj.

— Mocny Boże! Co ja słyszę! Czy coś podobnego może dziać się w takim kraju! Taka nienawieść nieubłagana, sroga! — Tutaj p. Trott otarł zimny pot z czoła, i wlepił osłupiały wzrok w burmistrza.

— Smutna to rzecz zaiste, żeby człowiek w kraju wolnym i konstytucyjnym nie mógł ożenić się z kim mu się podoba, nie będąc gnany jak złoczyńca. Jednakowoż w tym wypadku, panna zgadza się, a to rzecz główna.

— Panna zgadza się! Jak to pan wiesz, że panna zgadza się?

— No, no, wolne żarty, rzekł burmistrz dobrodusznie, klepiąc naszego bohatera po ramieniu. Znam ją oddawna, i ani wątpię o tem, że się zgadza.

— No, proszę! medytował p. Trott pod nosem. No, to rzecz szczególna!

— A więc, lordzie Piotrze, mówił p. Overton powstając.

— Lordzie Piotrze!

— Ach, ach, zapomniałem: panie Trott tedy... Trott! chacha, to wybornie! Panie Trott, powóz będzie czekał o pół do pierwszej.

— Cóż ja pocznę do tego czasu! Czy dla zachowania pozorów, nie byłoby dobrze, gdybyś pan polecił, aby mię strzeżono?

— Wyborna myśl! Zaraz tu przyszlę kogoś! I... byłoby dobrze, gdybyś pan opierał się nieco, gdy pana będą wsadzali do powozu.

— O, to się ma rozumieć! Nie omieszkać.

— A więc, milordzie, szepnął znowu p. Overton — tymczasem, jestem sługą waszej Miłości.

— Lord! Wasza Miłość! zawołał p. Trott znowu, cofając się o parę kroków, i wytrzeszczając oczy na burmistrza.

— Chacha, milord, jak widzę, ćwiczysz się udawać warjata. Doskonale, wzrok obłąkany, jak należy — kapitalnie, milordzie, bardzo dobrze! Do widzenia!

— Ten burmistrz widocznie jest pijany, rzekł p. Trott sam do siebie po odejściu p. Overtona.

— Ten młody lord sprytniejszy jest, niż sądziłem, pomyślał burmistrz, udając się do gościnnego pokoju, w celu uzupełnienia przygotowań. Rzecz naturalna, że uwierztano mu na słowo wszystko co powiedział, i wysłano natychmiast na górę posługacza, który miał pilnować p. Trotta do pół do pierwszej rano. W skutek tego polecenia, indywiduum pomienione uzbroiło się w ogromną pałkę, weszło bez ceremonji do pokoju pod Nem 19, przysunęło sobie stółek do drzwi i usiadło na nim gwizdząc.

— Czego tu chcesz, łotrze? krzyknął p. Trott, udając oburzenie z powodu tej warty. Posługacz popatrzył na niego z litością, i gwizdał dalej, kiwając w takt głową.

— Czy pan Overton kazał ci przyjść tutaj?

— Et, mój młodzieńcze, siedź sobie cicho, i nie mów nic do nikogo! I posługacz gwizdał dalej, z naj-obojętniejszą miną pod słońcem.

— Słuchaj-no, zawołał nasz bohater, pragnący udawać do ostatka, że radby strzelać się, gdyby mu pozwolono. — Słuchaj! Protestuję przeciw temu, aby mię tu zatrzymywano, i zaprzeczam, jakoby miał zamiar bić się z kimkolwiek. Ponieważ atoli nie podobna walczyć z przemocą, będę siedział spokojnie.

— Radzę ci to, zauważył posługacz uprzejmie, potrząsając pałką.

— Ale protestuję! ciągnął dalej p. Trott z oburzeniem w twarzy a radością w sercu. — Słyszysz, protestuję!

— O, zapewne. Jak ci się podoba. Jeżeliś kontent, jestem uszczęśliwiony, ale nie gadaj wiele, bo ci to zaszkodzi.

— Zaszkodzi?! Nie, ten człowiek jest pijany!

— Cicho! ty, słuchaj! i tu posługacz znowu znacząco potrząsnął pałką.

— Albo obłąkany! zawołał Trott, przerażony tą myślą. — Wyjdź ztąd natychmiast, i powiedz im, niech przyszlą kogo innego!

— Ani mi się śni!

— Wychodź! wołał p. Trott, zdjęty strachem, i dzwoniąc z całej siły.

— A dasz ty pokój temu dzwonkowi, warjacie i huknął posługacz, porywając p. Aleksandra Trotta za kołnierz, sadzając go przemocą na krzesło, i wywijając pałką. — Cicho, ty nędzna kreaturo, niechaj przynajmniej ludzie nie wiedzą, że mamy warjata w domu.

— To warjat! Jak mi Bóg miły, warjat! jęczał p. Trott, patrząc z przerażeniem na posługacza, który był jednooki i rudy.

— Warjat! była odpowiedź. I to złośliwy warjat! A mówiłem ci, nie rusz dzwonka! — P. Trott próbował był uchwycić ten instrument, ale w tej chwili dostał był lekko pałką po głowie. — Nie rusz!

— Daruj mi życie, człowiecze! zawołał biedny p. Trott, padając na kolana.

— Po co mi twego życia! Chociaż, Bogiem a prawdą, byłoby dobrym uczynkiem odebrać ci je!

— Nie, nie, nie byłoby! Ja... ja wolę zostać przy życiu.

— Jak sobie chcesz — to rzecz gustu. Otóż słuchaj: Masz siedzieć cicho, a ja będę siedział naprze-

ciw ciebie. Póki się nie ruszysz, nic ci nie zrobię, ale jak tylko kiwniesz palcem nim wybiję pół do pierwszej, to ci tak wyporządzę fizjonomję, że zaglądawszy do zwierciadła zapytasz się, czy p. Trotta nie ma w domu, i kiedy powróci? Siadaj!

— Siadam! westchnął p. Trott i posłuchał rozkazu.

Nie było innej rady — p. Trott musiał usiąść spokojnie, a posługacz zabrał miejsce naprzeciw niego, nie spuszczając go z oka i trzymając pałkę w pogotowiu.

Długie i straszne godziny upłynęły w ten sposób, bo gdy się posiedzenie zaczynało, dziesiąta zaledwie biła na zegarze miejskim. Przez pół godziny trwał jeszcze łoskot na ulicy spowodowany zamykaniem sklepów i znamionujący jakie takie życie w mieście. Ruch ten czynił położenie p. Trotta od biedy znośniejszem — ale gdy i on ustał, i gdy nie było już nic słyszać wśród głuchoj ciszy, jak tylko od czasu do czasu turkot wozu pocztowego lub stapanie konia w pobliskiej stajni — położenie to było nie do wytrzymania. Posługacz ruszał się chwilami z miejsca, ażeby poprawić świece, które się topiły — ale siadał natychmiast a ponieważ słyszał, że oko ludzkie wywiera wpływ magnetyczny na obłąkanych, więc bez ustanku wlepił w p. Trotta jedyny swój organ widzenia. Nieszczęśliwiec ten ze swojej strony wpatrywał się w posługacza, póki nakoniec włosy jego nie zaczęły mu się wydawać mniej rudemi — rysy twarzy mniej wyraźnemi — a pokój mglistym i ciemnym. Jednem słowem, p. Aleksander Trott usnął twardo i dopiero po dłuższym czasie zbudził go turkot z ulicy, wraz z wołaniem:

— Powóz i cztery konie dla numeru 25!

Dał się słyszeć ruch na schodach, drzwi otworzy się i wszedł p. Józef Overton naczelnym czterech barczystych i silnych indywiduów należących do służby

hotelowej, i w towarzystwie pani Williamson, oberżystki.

— Panie Overton! — krzyknął p. Trott, zrywając się z krzesła w największej pasji — przypatrz no się pan temu człowiekowi! Wyobraź pan sobie, w jakim pan mię postawiłeś położeniu! Panie, ten człowiek, to warjat, istny warjat!

— Brawo — szepnął p. Overton.

— Biedny człowieczysko, — rzekła pocziwa oberżystka. — Ludzie obłąkani wszystkich zawsze biorą za obłąkanych.

— Biedny człowieczysko! krzyknął p. Trott. Moja pani, co to znaczy; biedny człowieczysko? Jak pani to rozumiesz? Czy pani jesteś gospodynią tujejszą?

— Jestem, jestem — odparła otyła jejmość — nie nateżaj się pan, mój drogi panie; miej pan wzgląd na swoje zdrowie, proszę pana!

— Nie nateżać się! wołał p. Aleksander. — Ależ to cud, że mi nie brakło jeszcze tchu do nateżania się — wszak przed trzema godzinami omal mię nie zabił ten jednooki potwór z rudą głową! Jak pani śmiesz trzymać warjata, ażeby napadał i strącał ludzi?

— Nie przyjmę już żadnego, odparła oberżystka, spoglądając z wyrzutem na burmistrza.

— Kapitalnie, kapitalnie! szeptał p. Overton, ubierając p. Trotta w ogromną bundę podróżną.

— Kapitalnie! Ależ mój panie, to wcale nie kapitalnie! Drzę na samo wspomnienie! Wolałbym raczej pojedynkować się cztery razy w trzech godzinach, niż przesiadzieć ten czas w towarzystwie warjata!

— Trzymaj się pan tak dalej, schodząc ze schodów, szeptał burmistrz. Rachunek pański w hotelu jest zapłacony, a tłumok pański w powozie. No —

dodał głośno, zwracając się do garsonów — ten pan już gotów!

Na to hasło, służba zgromadziła się około p. Trotta. Jeden wziął go za jedno ramię drugi za drugie, trzeci siedł ze świecą przed nim, czwarty z inną świecą, za nim, podczas gdy posługacz i pani Williamson tworzyli straż tylną. W ten sposób orszak schodził na dół, prowadząc p. Trotta, który naprzemian wyrażał albo udany opór przeciw temu, iż go uprowadzano, albo też, nieudane oburzenie z powodu, iż go zamknięto poprzednio z warjatem.

P. Overton poszedł był naprzód i czekał u drzwi-
czek powozu, pocztyljonowie siedzieli już na koniach, i tylko kilku stajennych tworzyło grupę ciekawą oglądać wyjazd „obłąkanego dżentlmana.“

P. Aleksander Trott postawił już był nogę na stopniu, gdy nagle spostrzegł w powozie postać ludzką, owiniętą, równie jak on, w płaszcz podróżny.

— Kto to? szepnął, zwracając się do burmistrza.

— Pst, odparł p. Overton — to jest druga strona, oczywiście.

— Druga strona! krzyknął głośno p. Trott usiłując odskoczyć.

— Tak, tak, szepnął burmistrz. Przekonasz się pan o tem, nim pan daleko odjedziesz. Ale krzycz pan, bo jeżeli będziemy tak szeptać, obudzimy podejrzenie.

— Ja nie chcę wsiadać do tego powozu! krzyczał p. Trott, którego obawy obudziły się na nowo z daleko większą siłą. — Zabijają mię, zamordują!

— Bravo, bravo, powtarzał po cichu p. Overton. Ja pana wepchnę do powozu.

— Ale ja nie pojadę! Pomocy! Gwałt! Pomocy! Porywają mię wbrew mojej woli! To jest spisek na moje życie! Ratunku! Gwałt!

— Biedny człowieczysko! wzdychała pani Williamson.

— No, chłopcy, ruszajcie żywo, zawołał burmistrz na pocztyljonów, wypychając p. Trotta do powozu i zamykając za nim drzwiczki. Poganiajcie tego i nie zatrzymujcie się za nic w świecie, aż na stacji.

— Konie zapłacone, Tomasz! dodała gospodyni i powóz ruszył z szybkością czternastu mil angielskich w godzinie, uwożąc p. Aleksandra Trotta i pannę Julję Manners.

Przez pierwsze dwie lub trzy mile, p. Trott wciśnięty był w kąt powozu i uważał, że tajemniczy jego towarzysz czynił to samo. W miarę jak się oddalali od Winglebury, towarzysz ten przysuwał się, a p. Trott odsuwał się ile możności, usiłując przytem wśród ciemności przypatrzeć się srogiemu obliczu mniemanego Horacego Huntera.

— Możemy rozmawiać, ozwał się nakoniec tajemniczy towarzysz podróży — pocztyljonowie nie mogą nas ani widzieć ani słyszeć.

— To nie jest głos Huntera! pomyślał p. Trott mocno zdziwiony.

— Drogi lordzie Piotrze, ciągnęła panna Julia, kładąc mu rękę na ramieniu, drogi lordzie Piotrze, jakże, ani słówka?

— E, to kobieta! wymówił p. Trott półgłosem w niesłychanem zdumieniu.

— Ach, czyżże to głos, rzekła panna Julia. — To nie głos lorda Piotra!

— Nie, to mój — odparł p. Trott.

— Przebóg! krzyknęła panna Manners — obcy mężczyzna! Jakim sposobem pan się tutaj dostałeś?

— Jakim sposobem! Wszak widziałas pani, że wbrew mojej woli! Krzyczałem zdaje mi się nie mało, gdy mię tu wsadzano.

— Czy pan przybywasz ze strony lorda Piotra?

— Niech лихо porwie lorda Piotra! Nie znam żadnego lorda Piotra, nie słyszałem o nim nigdy, aż dzisiaj, kiedy mi nalordowano i napiotrowano na prawo i na lewo tak, że w końcu doprawdy myślałem, że oszalałem...

— Dokądże my jedziemy, zapytała dama tragicznie.

— Alboż ja wiem, moja pani! odrzekł p. Trott z szczególną zimną krwią, bo wypadki tego wieczora zrobiły go byłym nieczułym na wszystko.

— Stójcie, stójcie, zawołała p. Manners na pocztyljonów, spuszczać przodowe okna powozu.

— Pozwól pani, zauważył p. Trott, podnosząc jedną ręką okna napowrót, a drugą, przytrzymując pannę Manners. — Tu zaszło jakieś nieporozumienie, które wyjaśnimy po drodze. Stawać tutaj nie miało by sensu, wszak nie zechcesz pani wysiadać w polu!

Panna Julja dała się namówić, i nastąpiły wzajemne wyjaśnienia, które wykryły całe nieporozumienie. P. Trott był młodym człowiekiem, miał boko-brody, które przemawiały na jego korzyść, dobrego krawca i wcale niezłe ułożenie. Brakło mu wprawdzie męstwa, ale przymiot ten jest zbyt cennym, jeżeli się ma 3000 funtów dochodu, a właśnie tyle posiadała panna Manners, i więcej nawet. Chciała mieć młodego męża, a p. Trott, skompromitowawszy się tak mocno, nie mógł wracać do domu bez bogatej żony. Obiedwie strony przyszły tedy do konkluzji, że kiedy się miało tyle kłopotu i kosztów, i kiedy się zajęło tak daleko, szkoda by była wracać z niczem, najlepiej więc jechać dalej do Gretna Green i pobrać się — co też uczyniono. Gdy p. Trott i p. Manners pobrali się, spostrzegli, że tuż przed ich małżeństwem

w księdze metrycznej kował *) zapisał był ślub p. Huntera z panną Emilją Brown. P. Hunter wrócił z żoną do domu, prosił rodziców o przebaczenie, i otrzymał je — p. Trott wrócił ze swoją, prosił o przebaczenie, i otrzymał je także. Co się zaś tyczy lorda Piotra, przybył on za późno do Winglebury z powodu iż pił szampana i jeździł w *steeple-chase*. Nie zastawszy panny Julji, wrócił do p. Augusta Flair, pił dalej szampana, jeździł raz jeszcze w *steeple-chase*, skreślił kark, i umarł. P. Horacy Hunter, chlubił się niepospolicie, iż udało mu się nastraszyć p. Trotta, póki nie odkryto, że sam wyjechał z Winglebury, nie czekając na „grabarce“ na swego przeciwnika. Ktokolwiek zaś przybędzie do tego miasta, temu opowiedzą szczegółowo cały ten wypadek tak, jak ja go tutaj opowiedziałem.

Gdy Dawid Polreath skończył swoje opowiadanie, prezes z obawy jakiej przerwy zakreślił furkawkę tak mocno i raptownie, że potoczyła się pomiędzy wszystkie szklanki, znajdujące się na stole, obiegła go w koło, i w końcu zeskokczyła ze stołu, wpadając na kamizelkę kapitana Jorgan.

— Widoczne zrzędzenie losu! zawołał kapitan, podnosząc furkawkę. Cóż teraz począć? Nie umiem żadnej historii, z wyjątkiem jednej, a i ta nie wydarzyła się ani mnie, ani nikomu z moich znajomych, i nie moglibyście jej panowie słuchać bez zawrotu głowy. Na coś podobnego, szanowne towarzystwo nie jest może przygotowanym?

*) Gretna-Green, pierwsza stacja, dawniej pocztowa, a dziś kolejowa, na ziemi szkockiej, przy drodze z Liverpool do Glasgow. Ponieważ w Szkocji istniały dawniej śluby cywilne bez żadnych ograniczeń, więc zdarzało się bardzo często, że angielskie pary miłośne uciekały do Gretna-Green, stawały przed naczelnikiem tamtejszej gminy, którym był kował, i kazały się wpisywać w jego księgę — na czem kończyła się ceremonia ślubu. Śluby cywilne istnieją jeszcze, ale potrzeba jakiś czas zamieszkać w gminie, ażeby z nich korzystać. (P. tł.)

Prezes wstał i oświadczył, że należy to do zaszczytnych prerogatyw jego władzy, nie dopuszczać żadnych uwag przedwstępnych.

— Niech i tak będzie, rzekł kapitan — poddaję się władzy prezydjalnej, wbrew obyczajom mojej ojczyzny, gdzie każdy uważa za swój obowiązek sprzeciwić się tej władzy rękami, nogami i głową. Jeżeli ją ma. — Tu kapitan uderzył się po nodze. Pozwolę sobie wszelako zapytać panów o jedną rzecz. Pułkownik*) Polreath opowiadał z pamięci. Czy wolno mi będzie odczytać moją historję, i to, odczytać ją z fidibusa?

Prezes zażądał wyjaśnień.

— Historia tego fidibusa jest następująca: Pewien ziomek mój, spokojny człowiek o jowialnem wejrzeniu w powrocie do Ameryki, na moim statku, słyszał anegdotę, i spisał ją, używając barylki zamiast biurka. Następnie zachorował, i w braku lekarza, ja kurowałem go i wykurowałem. Z wdzięczności, przekopiował na czysto swoją historję, i darował mi manuskrypt, jak mówił, do zapalania fajki. Nie spaliłem go wszelako dotychczas, i oto jest!

— Czytaj pan, rzekł prezes.

— A więc, za pozwoleniem szanownych panów, odczytam, przepraszając, iż historja ta nie zawiera nic innego oprócz opowiadania pewnego cieśli, spisane pod jego dyktowaniem. Opowiadanie to nosi tytuł:

W drodze do Australii.

„Szanowni słuchacze zobowiązują mię sobie niezmiernie, jeżeli raczą usposobić się do słuchania bardzo patetycznej powieści, i jeżeli poprzednio wyobrażą mi sobie dzieckiem mającem pięć minut wieku.

*) Kapitan nazywa p. Polreath pułkownikiem, ponieważ, według humorystycznych spostrzeżeń Dickensa, w Ameryce trudno spotkać człowieka, któryby nie posiadał przynajmniej tego niskiego stopnia wojskowego. (Przyp. tłum.)

Niektórzy z panów powiedzą zapewne, że jestem za wielki i za ciężki na to, ażeby mię sobie mogli wyobrazić w ten sposób. Być to może, ale proszę bardzo nie wspominać o tem, ile mogę ważyć, ta kwestja wagi albowiem stała się powodem nieszczęsnego zwichnięcia mojego losu.

Było to trzydzieści i jeden lat temu, o jedenaściej przed południem. Historia moja zaczyna się bowiem od tego, żem się urodził, co było wielkiem *qui-pro-quo*, i wydarzyło się na morzu, na pokładzie statku „Adventure“, pod komendą kapitana Gillop, o pięciuset tonach pojemności, obitego miedzią i zaopatrzonego w doświadczonego lekarza.

Prezentując się panom jako nowonarodzony obywatel świata, i usuwając się następnie ze sceny aż do czasu gdy zacząłem ząbkować, nie potrzebuję dodawać, że to co mówię, wiem tylko ze słyszenia. Mimo to, informacje moje są autentycznymi, pochodzą bowiem od kapitana Gillop, który mi ich udzielił listownie, od doktora Jolly, lekarza okrętowego na pokładzie statku Adventure, i od pani Drabble, klucznicy tegoż statku, która mi ich udzieliła ustnie.

Okręt Adventure, w chwili gdy się zaczyna moja historja, płynął z Londynu do Australii. Wiecie panowie zapewne, że trzydzieście lat temu w Australii nie kopano jeszcze złota. W osadach tamtejszych zajmowano się głównie stawianiem budynków i chowem owiec, ztąd też pasażerowie na moim statku byli wyłącznie prawie albo cieślami, murarzami itp. albo owcarzami.

Statek o pięciuset tonach pojemności, dobrze naładowany, nie dostarcza podróżnym wiele komfortu, jeżeli ich liczba jest znaczną. Jużci panowie w kajutach nie mogli uskarżać się w tej mierze, bo za grubą pieniądze, wybrane ich grono miało się wcale dobrze. Było nawet miejsce do zbycia w tej części okrętu, bo parę łóżek było wcale nie zajętych, zwa-

żywszy, iż ze wszystkiem okręt wiózł tylko czterech podróżnych pierwszej klasy. Oto są ich imiona i rysopisy:

Pan Sims, człowiek średniego wieku, udający się do Australji jako przedsiębiorca budowy. Dalej, pan Purling, słabowity młodzieniec, którego lekarze wyprowadzili w drogę, ponieważ podróż morską miała wpłynąć korzystnie na stan jego zdrowia. Nakoniec pan i pani Smallchild, młode małżeństwo, posiadające pewien majątek, który p. Smallchild chciał powiększyć za pomocą chowu owiec. Obywatel ten, według twierdzeń kapitana, na lądzie miał być wcale dobrym towarzyszem, ale morze zmieniało go do niepoznania. Ile razy p. Smallchild nie cierpiał na chorobę morską, zajmował się tylko jedzeniem i piciem, a jeżeli nie jadł i nie pił, to spał jak kamień. Był zresztą wcale cierpliwym, dobrego humoru i niezrównanie zwinnym, ile razy porwały go nudności i potrzeba było spieszyć cofać się do kajuty — ale nie było z nim „ani mowy, ani rozmowy“ i przez cały czas podróży więcej jak dziesięć słów z ust jego nie słyszano. Jest to zresztą rzecz bardzo naturalna: nikt nie może rozmawiać, gdy je albo pije, i nikt nie może rozmawiać, gdy spi — a p. Smallchild nie robił nic innego, jak już mówiłem. Co się tyczy jego żony — nie wychodziła ona wcale z kajuty, ale o tem usłyszymy nieco za chwilę.

Czterej podróżni, których wymieniałem, umieszczeni byli, jak mówię, dosyć wygodnie. Inaczej działo się z biednymi ludźmi, których zepchano w ciasnej kwaterze sternika, jak owce na oborze, z tą różnicą, że owce mają tam przynajmniej świeże powietrze, a tu go nie było. Byli to rzemieślnicy i robotnicy ze swojemi żonami i dziećmi, którzy opuszczali Europę, szukając sposobu do życia. Nie wiem dokładnie ilu ich było i jak się nazywali, ale mniej-
sza o to, ponieważ chodzi mi tutaj tylko o jedną ro-

dzinę z pomiędzy nich, a mianowicie, o rodzinę Heavysides. Był tedy Szymon Heavysides, człowiek inteligentny i wykształcony, cieszący się z rzemiosła, Marta Heavysides, jego żona i siedmiu małych Heavysides, składających ich potomstwo. Mój ojciec, moja matka, i moje rodzeństwo — tak sądzicie panowie? Proszę się wstrzymać z wszelkim sądem, aż do nabycia zupełnej pewności!

Ja sam — ściśle rzecz biorąc, znajdowałem się na pokładzie, gdy okręt odpływał z Londynu, zdaje się wszelako, że natomiast moja zła gwiazda towarzyszyła statkowi i rozstrzygała o losach podróży. Najpierw, wszystkie rodzaje niepogody turbowały okręt: burze z każdego krańca busoli, i na przemian, zabójcza cisza. Trzy miesiące upłynęły już były od czasu, jak statek opuścił Londyn, i łagodne z natury usposobienie kapitana Gillop stawało się bardzo kwaśnem. Możecie sobie panowie wyobrazić, że nie osłodziła go bynajmniej wiadomość, którą otrzymał z kajuty rano dziewięćdziesiąt piątego dnia podróży. Panowała znowu cisza zupełna, a okręt kołysał się bezwładnie i bezporadnie w tę i w ową stronę, gdy jawił się przed kapitanem doktor Jolly i rzekł:

— Dowiedziałem się czegoś, co pana zadziwi. — Tu zaśmiał się i potarł ręce. Był to człowiek niezły i wesoły z natury, żaden rodzaj pogody nie wpływał na jego usposobienie.

— Jeżeli się pan dowiedziałeś, że będziemy mieli wiatr pomyślny — mruknął kapitan — zadziwiłoby mnie to w istocie, na pokładzie takiego przekłętą statku.

— Nie mogę powiedzieć, że będziemy mieli wiatr, ale natomiast będziemy mieli nowego pasażera. — Kapitan popatrzył w około na morze, które dzieliło nas przestrzenią tysiąca mil od najbliższego lądu, i na którego powierzchni nie widać było żadnego okrętu. Następnie wpatrzył się ostro w doktora, zczzerwienił się i spytał: co by to miało znaczyć?

— To znaczy, że w kajucie przyjdzie na świat piąty pasażer — odparł dr Jolly, uśmiechając się od ucha do ucha. — Wprowadzony będzie przez panią Smallchild. Przybędzie on prawdopodobnie dziś pod wieczór, będzie bardzo małego wzrostu, płci dotychczas nie wiadomej, a obyczajów i zwyczajów, jak się zdaje krzykliwych.

— Czy pan mówisz serjo? — zapytał kapitan, cofając się i blednac.

— Tak, serjo — odparł lekarz, potakując głową.

— W takim razie, mój panie, słuchaj pan — krzyknął kapitan Gillop, wpadając w gniew szalony — nie pozwalam na to! Ta piekielna pogoda dojadła mi już dosyć, wypraszam sobie wszelkie inne figle, nie pozwalam! Idź pan, panie Jolly, i powiedz jej pan, że na moim statku nie ścierpię podobnych nieporządków. Czyli ta pani nie wie, że postępowanie jej jest przeciwnie wszelkim przepisom, haniebne mój panie, haniebne!

— Nie, nie! — przedstawiał dr Jolly. — Nie miej jej pan tego za złe — będzie to pierwsze jej dziecię, nie mogła wiedzieć... Zresztą podróż przeciągnęła się rad miare...

— Gdzie jej mąż? — zawołał kapitan groźnie. — Gdzie mąż tej pani? Na wszelki wypadek wyrecytuje moje zdanie jej mężowi! Gdzie jest jej mąż?

Dr Jolly popatrzył na zegarek.

— Mamy pół do dwunastej — rzekł. — Pozwól mi pan rozpatrzeć się w sytuacji. J st to właśnie pora, o której pan Smallchild załatwia swoje rachunki z morzem. Za kwadrans będzie gotów. Potem za pięć minut usnie. O pierwszej zbudzi się, zje obfite śniadanie, i zaśnie znowu. O wpół do trzeciej zacznie da capo swoją konwersację z morzem, i tak dalej aż do zachodu słońca. Nie dojdiesz pan do końca z panem Smallchild, kapitanie. Nadzwyczajny człowiek. Traci soki

i odżywia się na nowo w sposób zdumiewający. Holla! Czego chcesz?

Pytanie to zwrócone było do zastępcy szafarza, który zbliżył się był na pokład oficerski, podczas gdy doktor mówił. Przez szczególny zbieg okoliczności, człowiek ten uśmiechał się także od ucha do ucha, równie jak dr Jolly.

— Jesteś pan potrzebnym w kwaterze sternika, panie doktorze — rzekł. — Kobieta imieniem Heavysides zasłabła.

— Bajki! — zawołał doktor. — Chachacha... wszak nie chcesz powiedzieć, że... tego... ej?

— Tak, tego, panie doktorze, tego! Nie ma najmniejszej wątpliwości! — skonstatował zastępca szafarza.

Kapitan Gillop spoglądał w koło z wyrazem niemej rozpaczki w twarzy. Poraz pierwszy od lat dwudziestu, marynarskie jego nogi odmówiły mu służby, i zatoczył się aż na sam kraj okrętu, gdzie uderzywszy silnie pięścią o parapet, odzyskał mowę.

— Ten okręt jest zaczarowanym, wrzasnął. Stój pan! dodał, wołając doktora, który spieszył do kwatery sternika. Jeżeli to prawda, panie Jolly, każ pan jej mężowi przyjść tutaj do mnie. Niech mię piorun trzaśnie, jeżeli przynajmniej jednego z tych małżonków nie nauczę dzisiaj rozumu! — Co wygłoszwszy, kapitan groźnie potrząsał pięścią w powietrzu.

Po upływie dziesięciu minut, pojawiło się na pokładzie oficerskim indywiduum, walczące mozolnie się ruchami kołyszącego się okrętu i zataczające się w skutek tychże na prawo i na lewo na swoich długich nogach. Indywiduum to było wysokie, chude, jasnowłose, miało rzymski nos, melancholiczną minę i mnóstwo piegów w twarzy. Był to Szymon Heavysides, ów inteligentny cieśla, posiadający na pokładzie statku „Adventure“ żonę i siedmioro dzieci.

— O, to waszmość jesteś mężem, waszmość? zapytał kapitan.

Okręt przechylił się mocno w tej chwili, i Szymon Heavysides potoczył się na przeciwną stronę, jak gdyby wolał prosto przez parapet skoczyć w morze, niż odpowiedzieć kapitanowi.

— To waszmość jesteś mężem, waszmość? powtórzył kapitan, biegnąc za nim, chwytając go za kołnierz i przypierając go do parapetu. — A to żona waszmości, czy tak? Przekłety łotrze, jak śmiesz robić zakład położnic z mojego okrętu? Jest to odtarty bunt słyszysz? A jeżeli nie bunt, to coś bardzo zbliżonego do buntu! Za mniejsze wykroczenia, nie jeden już brząkał u mnie kajdanami! Jestem zdecydowany wpakować cię w dyby! Trzymajże się na nogach, ty ślamazarny ciemiego! Jak śmiesz wprowadzać na pokład mojego okrętu pasażerów, o których przewóz nie było ugody? Co masz powiedzieć na twoją obronę, nim cię każę okuć w kajdany?

— Nie, szanowny panie, odparł Szymon Heavysides, z wyrazem najpotulniejszej rezygnacji matrymonialnej w twarzy i w ruchach. — Co się zaś tyczy kary, o której pan kapitan właśnie wspominałeś, chciałbym nadmienić — zważywszy, że mam już siedmioro dzieci, to jest, o siedmioro więcej niż wyżyć dołam i zważywszy, że ósme jest w drodze, i bynajmniej nie polepszy mojej sytuacji — chciałbym tedy nadmienić w pokorze, panie kapitanie, że dusza moja już dźwiga kajdany, i że nie wiem, czy mi to sprawi jaką różnicę, jeżeli mi pan każesz zakuć jeszcze i ciało.

Kapitan machinalnie puścił kołnierz cieśli, którego łagodna rozpacz rozbrajała go mimowoli.

— Pocóżes puszczał się w drogę morską? Cemu nie czekałeś, aż to się skończy.

— Nie przydałoby się na nic, czekać, panie kapitanie. W naszym rzemiośle, *sir*, ledwie się to skończy, zaczyna się na nowo. Nie widzę końca, jak mi Bóg miły, dodał po chwili melancholicznego rozpamiętywania — nie widzę końca, jak chyba w grobie!

— Któż by mówił o grobach! zawołał dr. Jolly pojawiając się na pokładzie — kołysek nam potrzeba na tym statku, a nie grobów! Kapitanie Gillop, ta kobieta, Marta Heavysides, nie może zostać w tym ścisku i tłoku w kwaterze sternika, ze względu na stan w jakim się znajduje. Potrzeba ją przenieść do jednego z próżnych łóżek w kajutach, i to im prędzej, tem lepiej.

Kapitan rozstrozył się znowu. Pasażer pokładowy w kajucie, był w jego oczach anomalią nautyczną, która mogła wszelki porządek wywrócić do góry nogami. Przypatrywał się cieśli, jak gdyby mu okiem brał miarę na parę kajdan.

— Przykro mi bardzo, rzekł Szymon grzecznie, bardzo mi przykro, *sir*, jeżeli nieostrożność z mojej strony albo ze strony pani Heavysides...

— Zabieraj mi ztąd twoje długie nogi i twój długi język, marsz! zagrzmiął kapitan. — Gdy gadanie będzie mogło co pomódz, poszlę po ciebie! A pan, panie Jolly, — dodał z rezygnacją — rób pan, co pan chcesz. Zamień pan cały okręt w ochronkę dla małych dzieci, nie żenuj się pan, proszę!

W pięć minut później, Marta Heavysides pojawiła się na pokładzie oficerskim w sytuacji poziomej, niesiona na matach i prześcieradłach przez trzech ludzi. Gdy procesja ta mijala kapitana zmierzając do kajuty, usunął się na bok z przerażeniem, jak gdyby go mijal rozjuszony byk, a nie obywatelka Wielkiej Brytanji.

Łóżka, a raczej framugi do spania, znajdowały się po bokach średniej kajuty. Na lewo, dr. Jolly umieścił panią Smallchild, na prawo, panią Heavysides.

des. Następnie zrobiono w kajucie przegrodę z żaglowego płótna, zostawiając dla reszty podróżnych mniejszą część kajuty od strony schodów wiodących na pokład. Większą część przeznaczono dla lekarza i dla tajemnie jego zawodu, i zanieśiono tam duży kosz, wyczyszczony i wyłożony prześcieradłami, który umieszczono między obydwojema łózkami. Przygotowania dr. Jolly były tem samem uczynione, a podczas gdy mężczy pasażerowie schronili się na pokład, lekarz i szafarka dodana mu do pomocy zostali w posiadaniu dolnych regionów.

Przed południem jeszcze, pogoda zmieniła się pomyślnie. Raz przecież powiał wiatr z tej strony, z której był potrzebnym, i okręt rażno pomykał naprzód, nie kołyszając się prawie bokami. Kapitan Gillop przyłączył się do grupy swoich pasażerów pierwszej klasy, i był już teraz w doskonałym humorze.

— Jeżeli ten wiatr potrwa — rzekł — nie będziemy potrzebowali zmniejszać naszych porcyj przy objedzie, a najdalej za tydzień ochrzczimy naszych małych pasażerów kajutowych, jeżeli ich matki zgodzą się na to. Czy nie jesteś pan niespokojnym co do swojej pani? — dodał, zwracając się do pana Smallchild.

Jegomość ten pod pewnym względem podobnym był do pana Heavysides. Nie był wprawdzie ani tak długim, ani tak cienkim, jak on, ale miał zarówno z nim rzymski nos, jasne włosy i wodnisto-niebieskie oczy. Ze względu na jego nawyczki morskie, umieszczono go tuż u parapetu, na kupie starych żagłów i poduszek, tak, aby mógł z łatwością wychylić się poza okręt w razie, gdyby tego było potrzeba. Jadła i napoje, za pomocą których odżywiał się, ile razy nie spał lub nie rozmawiał z morzem, stały tuż koło niego. Była właśnie trzecia po południu i chrapanie, którem pan Smallchild odpowiedział kapitanowi, dowodzą-

ło, że zegarek dr. Jolly szedł dobrze, bo zgadzał się na minutę ze snem pana Smallchild.

— Co to za nieczułe bydlę! — zauważył p. Sims, patrząc z pogardą na spiocha.

— Gdyby podróż morską wpływała na pana, jak wpływa na niego — rzekł chory młodzieniec, p. Purling — byłbyś pan równie nieczułym, jak on.

Pan Purling, który był z profesji człowiekiem sentymentalnym, nie lubił pana Simsa, który był z profesji kupcem. Z tego powodu obydwa ci panowie różnili się wzdaniach co do wszystkich możliwych kwestyj, poruszanych w ciągu podróży. Nim atoli tym razem wszczęła się między nimi dyskusja w przedmiocie nieczułości pana Smallchild, doktor pojawił się na pokładzie.

— Czy stało się co na dole? — zapytał kapitan zaniepokojony.

— Nic. Przyszedłem posiedzieć z panami i pomódz wam próżnować przez całe popołudnie.

Dr. Jolly próżnował akuratnie półtora godziny. Po upływie tego czasu szafarka, p. Drabble, pojawiła się z tajemniczą miną i szepnęła doktorowi — widocznie zirytowana:

— Chciej pan czempredzej zejść na dół!

— Któraż z nich? — zapytał doktor.

— Obiedwie? — odparła p. Drabble tragicznie

Doktor miał minę poważną, pani Drabble miała minę wystraszoną. Oboje zniknęli natychmiast na schodach.

— Jak sędzę, moi panowie — rzekł kapitan, zwracając się do pp. Sims i Purling, jakoteż do swojego porucznika, który przyłączył się był do ich towarzystwa — jak sędzę, byłoby właściwem, w obecnych okolicznościach, zbudzić pana Smallchild. I niewątpliwie wypada także zawołać tutaj i drugiego męża, grzeczność tego wymaga. Poruczniku, każ przywołać Szymona Heavysides. Panie Smallchild, wsta-

waj pan! Pańska żona... ach, choćby mi kto w łeb palnął, nie wiem, jak mu to powiedzieć!

— Tak, tak, dziękuję panu, — rzekł p. Smallchild, otwierając zaspane oczy. — Suchara i słoniny na zimno, jak zwykle, gdy będę gotów. Nie jestem jeszcze gotów. Dziękuję panu. Dobry wieczór.

Co wygłosiwszy, p. Smallchild zamknął oczy na nowo i usnął w najlepsze.

Nim kapitan wymyślił nowy jaki sposób przebudzenia tego niewzruszonego podróżnego, Szymon Heavysides pojawił się na pokładzie oficerskim.

— Powiedziałem panu parę słów ostrzych przed chwilą — rzekł do niego p. Gillop — bo byłem zirytowany tem wszystkiem co się dzieje na okręcie. Ale naprawię to, nie bój się pan. Pańska żona jest, jak to mówią, w interesującej sytuacji. Wypada, ażebyś pan był w pobliżu. Uważam pana jako pasażera pokładowego, przyciśniętego nadzwyczajnymi okolicznościami, i pozwalam panu zostać tutaj, póki się to nie skończy.

— Jesteś pan bardzo łaskaw, panie kapitanie, rzekł Szymon — i dziękuję panu i wszystkim panom. Ale proszę pamiętać, że mam już siedmioro dzieci w kwaterze sternika, i że oprócz mnie, nie ma ich komu pilnować. Moja żona przeżyła nadzwyczaj szczególnie siedm wydarzeń podobnych, spodziewam się, że i ósmy raz zachowa się tak samo. Będzie wołała wiedzieć, że pilnuję dzieci, i z tego powodu, z podziękowaniem i uszanowaniem, kłaniam się panom.

Po tych słowach, Szymon Heavysides ukłonił się i podeszedł.

— No, moi panowie, — rzekł kapitan — ci dwaj małżonkowie, na wszelki wypadek, biorą rzeczy dość zimno. Jeden z nich oswojony z tem, a drugi...

W tej chwili, otwieranie i zamykanie drzwi, i szybkie chodzenie w kajucie, przerwało kapitanowi i nastąpiła chwila głuchego milczenia.

— Skieruj prosto pod wiatr, Williamson! — zakomenderował kapitan na sternika. — Sądzę, moi panowie, że w tej chwili, im mniej okręt będzie się kołysał, tem lepiej.

Słońce zaszło i noc zastała nasze towarzystwo na pokładzie. P. Smallchild ze zwykłą punktualnością odbywał swoje funkcje. Gdy jadł suchara ze słoniną, udało się dać mu niejaki wyobrażenie o stanie jego żony, ale gdy nadszedł czas załatwiania rachunków z morzem, słaby ten połysk przytomności umysłu znikł znowu i pojawił się potem jeszcze tylko na pięć minut, póki szanowny obywatel nie usnął. Szymon Heavysides, za staraniem kapitana, otrzymywał także od czasu do czasu wiadomości o swojej żonie, z dodatkiem, aby się nie turbował, i odpowiadał na to, że nie turbuje się wcale i że dzieci są spokojne — osobiście atoli nie pojawiał się na pokładzie. Dr. Jolly pokazywał się od czasu do czasu, donosił, że nie zaszło nic nowego, posilał się czemkolwiek i wracał na dół w doskonałym humorze, jak zawsze. Wiatr pomyślny dał bez przerwy, w skutek czego kapitan usposobiony był jak najlepiej — sternik od czasu do czasu folgował statkowi, aby się nie kołysał, a o dziesiątej księżyce wszedł na widokrąg w całej pełni swojego blasku. Podano grogu podróżnym, którym kapitan dotrzymywał kompanji — i jeszcze nie słychać było nic nowego. Upłynęło jeszcze dwadzieścia minut oczekiwania, i наконец, ujrano dra Jolly wychodzącego z kajuty na pokład.

Ku wielkiemu zdziwieniu zgromadzonego tam towarzystwa, doktor prowadził za ramię szafarkę, panią Drabble, i nie zajmując się bynajmniej kapitanem ani jego kompanją, posadził tę damę na najbliższem siedzeniu, które znalazł. Gdy to uskutecznił, ujrano jego twarz w świetle księżyca — pełną największej konsternacji.

— Uspokój się pani, pani Drabble! wołał zaalarmowany. Uspokój się pani, odetchnij pani świeżem powietrzem! Zbierz pani zmysły, na miłość boską, zbierz pani zmysły!

Pani Drabble nic nie odpowiadała, i uderzała tylko machinalnie rękami po swoich kolanach, patrząc prosto przed siebie z wyrazem bezgranicznej rozpacz.

— Co się stało? zapytał kapitan, odstawiając swoją szklankę z grogiem. Czy wydarzyło się może coś złego której z tych biednych kobiet?

— Nie, odparł lekarz. Obiedwie mają się wybornie.

— Albo ich dzieciom? pytał kapitan dalej. Albo może ich jest więcej, niż przypuszczaliśmy? Może bliźnięta, co?

— Nie, nie! powtarzał doktor, zniecierpliwiony. Każda ma po jednym, jedno i drugie jest chłopakiem, i obydwaj mają się dobrze. Osądźcie panowie sami!

W tej chwili, obydwaj nowi pasażerowie kajutowi próbowali w istocie siły swoich płuc, i nabywali przekonania, że organa te odpowiadały wybornie swojemu przeznaczeniu.

— Coż u licha stało się panu i pani Drabble? wołał kapitan, tracąc na nowo wszelką równowagę umysłu.

— Pani Drabble i ja jesteśmy dwójgiem niewinnych ludzi, a wpadliśmy w najokropniejszy kłopot, jaki sobie panowie wyobrazić zdołacie! — była odpowiedź doktora.

Kapitan, p. Purling i p. Sims zbliżyli się do niego, przejęci zgrozą. Nawet sternik przechylił się przez swoje koło, ażeby mógł słyszeć, co się stało. Jedynym obojętnym człowiekiem na całym pokładzie był p. Smallchild. Przyszła była u niego kolej na

spanie, i chrapał spokojnie, z sucharem i słoniną pod ręką.

— Powiedz-że nam pan wszystko od razu, panie Jolly, zawołał kapitan niecierpliwie.

Lekarz nie zwracał uwagi na to żądanie. Zajmował on się wyłącznie panią Drabble.

— Czy masz się pani już lepiej? pytał ją z wyrazem obawy w głosie.

— Ani trochę lepiej, w duszy, owszem, gorzej! mówiła p. Drabble, bijąc się znowu po kolanach.

— Słuchaj mnie pani, rzekł lekarz, jak mógł najłagodniej. W kilku pytaniach, powtórzę pani wszystko, co się stało. Zobaczysz pani, że tym sposobem odzyskasz pani pamięć, jeżeli mnie pani będziesz słuchać uważnie, i jeżeli pani namyślisz się dobrze przed każdą odpowiedzią.

P. Drabble schyliła głowę, poddając się w milczeniu woli doktora, i wszyscy na pokładzie z wyjątkiem p. Smallchild, słuchali z natężoną uwagą, co będzie.

— Otóż, pani, kłopoty nasze zaczęły się w kajucie pani Heavysides, która znajduje się po prawej stronie okrętu?

— Tak, panie.

— Dobrze. Chodziliśmy tam i nazad, bez końca, od p. Heavysides, na prawo, do p. Smallchild, na lewo, ale kiedy zawołałem: pani Drabble, oto jest przecudny chłopak, bierz go pani, zawołałem to z prawej strony, nieprawdaż?

— Z prawej, panie, przysięgłabym na to.

— Dobrze. „Przecudny chłopak, powiedziałem, bierz go pani, i połóż go do kołyski, to jest, do kosza.“ Otóż gdzie stał kosz?

— W środkowej kajucie, panie.

— Doskonale! W środkowej kajucie, bo w żądnej z kajut sypialnych nie było miejsca. Położyłaś

pani tedy prawostronnego chłopaka, czyli innemi słowy, chłopaka pani Heavysides, do kołyski, zrobionej z kosza, i znajdującej się w środkowej kajucie. Teraz, jak stała ta kołyska?

— Na poprzek okrętu.

— Doskonale! Na poprzek, to znaczy, jedną dłuższą stroną do tyłu okrętu, a drugą, do przodu. Nie zapominaj pani o tem, i słuchaj mię pani dalej. Nie, nie, nie mów pani, że pani nie możesz, i że się pani w głowie maci. Następne moje pytanie wyjaśni pani wszystko. Zastanów się pani, że za pół godziny, zawołałem panią znowu, i mówiłem: Pani Drabble, masz pani tutaj drugiego przecudnego chłopaka, chodź pani i weź go sobie!... i przyszedł pani wziąć go z lewej strony okrętu, nieprawdaż?

— Z lewej strony, nie przeczę temu.

— Coraz lepiej! „Pani Drabble, masz pani tutaj drugiego przecudnego chłopaka, powiedziałem, weź go pani i połóż do kołyski, razem z pierwszym.” Więc wzięłaś pani lewostronnego chłopaka, czyli chłopaka pani Smallchild, i położyłaś go pani do kołyski razem z prawostronnym chłopakiem, czyli chłopakiem pani Heavysides. Otóż, co się stało dalej?

— Nie pytaj mię pan o to, zawołała pani Drabble, załamując ręce.

— Uspokój się pani! Wyłożę pani to jak na dłoni. Gdyś pani umieściła lewostronnego chłopaka w kołysce, posłałem panią do prawej kajuty po coś, czego potrzebowałem w lewej kajucie, i zatrzymałem panią tam przez chwilę, poczem wyszedłem do prawej kajuty, i zawołałem panią znowu, abys mi pani przyniosła z lewej kajuty coś, czego potrzebowałem, ale nim pani uszłaś połowę drogi, powiedziałem: „Nie, zatrzymaj się pani tam, gdzie pani jesteś, póki ja nie przyjdę.” Bezpośrednio potem, pani Smallchild zaniepokoiła panią, i przyszedł pani do mnie z własnego popędu, poczem rzekłem: „Pani Drabble, tra-

cisz pani głowę, siadaj pani i staraj się pani odzyskać zmysły.” Wówczas, usiadłaś pani i usiłowałaś odzyskać zmysły.

— I nie mogłam dokazać tego, wtrąciła pani Drabble. Ach, moja głowa, moja głowa!

— Usiłowałaś pani tedy odzyskać zmysły, i nie mogłaś, w skutek czego, gdy wyszedłem z kajuty pani Smallchild, zastałem panią w średniej kajucie, przed stołem, na który pani podniosłaś była kołyskę, wpatrując się w nią z otwartemi ustami, i z rękami we włosach. Otóż, kiedy spytałem: „Czy brakuje czego któremu z tych chłopaków?” chwyciłaś mię pani za kołnierz i zawołałaś pani: „Niech nas Bóg ratuje, panie doktorze, te dzieci pomieszały mi się w głowie, i nie wiem, które z nich jest pierwszym, a które drugim?”

— I nie wiem tego dotychczas, jęknęła pani Drabble. Ach, moja głowa, moja głowa!

— Kapitanie Gillop i wy moi panowie, przemówił doktor uroczystym tonem rozpacz — oto jest istota czynu całego tego kłopotu, a jeżeli kto z was słyszał kiedy o gorszym kłopocie, niechaj go opowie, ażeby uspokoić tę nieszczęśliwą kobietę.

Kapitan Gillop, p. Purling i p. Sims patrzyli jeden na drugiego, jakby rażeni gromem.

— Czy pan nie mógłbyś sam wyjaśnić tej kwestji? zapytał doktora kapitan, który pierwszy odzyskał przytomność.

— Gdybyś pan wiedział, co miałem do czynienia tam na dole, nie zadawałbyś mi pan takiego pytania. Przypomnij pan sobie, że ciężyla na mnie odpowiedzialność za życie dwóch kobiet i dwojga dzieci — przypomnij pan sobie, że w dwóch ciasnych kajutach, które mi wyznaczono, miałem zaledwie tyle miejsca, że mogłem się obrócić, i tyle światła od dwóch nędznych lamp, że nie widziałem prawie własnej ręki przed oczyma — przypomnij pan sobie specjalne, fa-

chowe trudności mojego zadania, powiększone kołysaniem się okrętu pod moimi nogami i konfuzją szafarki — a zważywszy to wszystko, powiedz mi pan, ile mi zostało czasu do przypatrywania się dwóm chłopakom, urodzonym w nocy, w pół godziny jeden po drugim, na pokładzie okrętu! Chacha! I to już rzecz szczególna, że doktor, matki i dzieci żyją wszyscy pięcioro po takim przejściu!

— Czy żadno z dzieci nie miało szczególnych jakich znaków na sobie? zapytał p. Sims.

— Musiałyby to być nielada znaki, bym je mógł obaczyć przy świetle, jakie miałem, i wobec zadania fachowego, które musiałem spełniać. Widziałem, że chłopaki jeden i drugi był zdrowi, silni i dobrze zbudowani — więcej nic nie widziałem.

— Czy fizjonomie dzieci rozwinięte są dostatecznie, ażeby można rozróżnić jakie podobieństwo familijne? zapytał p. Purling. Czy podobne są do ojców, czy do matek?

— Jedno i drugie ma jasne oczy i jasne włosy. Osądź pan sam.

— P. Smallchild ma jasne oczy i jasne włosy, zauważył p. Sims.

— P. Heavysides ma jasne oczy i jasne włosy, zauważył p. Purling.

— Radziłbym zbudzić p. Smallchild, i posłać po p. Heavysides, i niechajby ciągnęli losy, zauważył p. Sims.

— Nie można igrac z uczuciem ojcowskiem w tak nielitościwy sposób, zauważył p. Purling. Radziłbym odnieść się do głosu natury.

— Co to za głos? zapytał kapitan ciekawie.

— Instynkt macierzyński, kapitanie, odparł p. Purling. Matka pozna instynktem swoje dziecko.

— A, a, to dobra myśl, rzekł kapitan. Co pan mówisz o głosie natury, panie Jolly?

Kapitan niecierpliwie dał znak ręką, usiłował bowiem w tej chwili raz jeszcze odświeżyć pamięć pani Drabble za pomocą amatorskiego przesłuchania śledczego, które wprawiało ją w coraz gorszą konfuzję. Czy nie mogła w duchu wyobrazić sobie kołyski w pierwotnej pozycji? Nie. Czy nie mogła przypomnieć sobie, gdzie położyła prawostronnego chłopaka, od tyłu okrętu, czy od przodu? Nie. Czy nie mogła przypomnieć sobie tego o lewostronnym chłopaku? Nie. Po co podnosiła kołyskę na stół, i sprowadziła tym sposobem jeszcze większe bałamuctwo, skoro już była straciła głowę? Bo wpadło jej było na myśl, że wśród zamieszania, zapomniiała, które dziecko odebrała pierwiej, a które później, i chciała przypatrzeć im się lepiej, i nie nie widziała, i nie daruje sobie tego do końca życia, i niechaj ją każą wrzucić do morza, albo niechaj ją zgładzą ze świata w inny sposób, i tak dalej — aż nareszcie doktor zmęczył się i dał za przegraną.

— Nie ma innej rady, jak odnieść się do głosu natury, powtarzał p. kapitan, trzymając się pomysłu p. Purling. Spróbuj pan, p. Jolly!

— Coś trzeba zrobić, rzekł doktor. Nie mogę dłużej zostawiać tych kobiet bez opieki, a skoro się pokażą, obiedwie będą się upominały o swoje dzieci. Poczekaj pani tutaj, pani Drabble, póki się pani nie uspokoisz, a potem przyjdź pani na dół. Głos natury! dodał z pogardą, schodząc do kajuty. O, tak, spróbuję go, i wiele nam pomoże ten głos natury, moi panowie. Zobaczycie to sami wkrótce!

Dr. Jolly, pod pozorem, że światło szkodzi jego pacjentkom, przyćmił niezbyt i bez tego jasne lampy w kajutach. Następnie wziął jedno z nowonarodzonych niewiniątek, naznaczył atramentem pieluchy, w które było owinięte, i zaniósł je pani Smallchild. Drugie niewiniątko, nie znaczone atramentem, zaniósł pani Drabble do pani Heavysides. Jakiś czas

zostawiono dzieci w ten sposób u matek, a później rozłączono je z polecenia lekarskiego. Następnie, dano pani Heavysides dziecko znaczone atramentem, a dziecko bez znaku zaniesiono pani Smallchild. Rezultat był taki, że wśród ciemności, jedno dziecko okazało się każdej z matek równie miłym jak drugie, a głos natury okazał się zupełnie niekompetentnym do rozstrzygnięcia zachodzącej trudności.

Doktor zdał sprawę na pokładzie, jak dalece projekt p. Purling zrobił fiasco i przemówił w ten sposób:

— Póki noc nam sprzyja, kapitanie Gillop, będzie to jako tako. Ale w dzień pokaże się różnica między dziećmi, i musimy być przygotowanymi na ten wypadek. Gdyby matki powzięły najmniejsze podejrzenie co do rzeczywistego stanu rzeczy, nerwowe ich wzruszenie mogłoby mieć okropne następstwa. Póki nie będą zupełnie zdrowymi, nie można im wspominać o niczem. Nim dzień zaświta, musimy dla każdej z nich wybrać jedno dziecko, i trzymać się tego wyboru aż do ich wyzdrowienia. Zachodzi tylko pytanie, kto ma wziąć odpowiedzialność za wybór na siebie. Co do mnie, nie należę do ludzi lekających się lada bagatelki, ale wyznaję szczerze, że w tym wypadku cofam się z góry.

— Ja nie mieszam się do tej sprawy z powodu, iż jestem człowiekiem zupełnie obcym — rzekł pan Sims.

— A ja uchylam się od niej z tego samego powodu, rzekł pan Purling, po raz pierwszy od początku podróży, zgadzając się ze swoim przeciwnikiem.

— Czekaście panowie, ozwał się kapitan. Zdaje mi się, iż znalazłem właściwy sposób rozwiązania tej fatalnej kwestji. Musimy wyjawić wszystko mężom tych pań, i zostawić im całą odpowiedzialność.

— Sądzę, iż nie przyjmą jej, zauważył pan Sims.

— Ja zaś sądę, że przyjmą, twierdził p. Purling, popadając w dawniejszy swój nałóg.

— Jeżeli nie zechcą, rzekł kapitan stanowczo, to ja jestem panem na tym okręcie, i ja wezmę odpowiedzialność na siebie.

Smiałe to oświadczenie na razie załatwiło wszystkie trudności, i odbyła się narada co do dalszego postępowania. Uchwalono zostawić wszystko *in statu quo* aż do rana, w nadziei, że parę godzin snu odświeży pamięć pani Drabble. Przed wschodem słońca miano dzieci przenieść do małej kajuty, tak, aby ani pani Smallchild ani pani Heavysides nie mogła później poznać dziecka, które z nią noc przepędziło. Doktorowi i kapitanowi pp. Purling, Sims i porucznik okrętu mieli asystować w charakterze świadków, i naznaczono szóstą godzinę rano, jako termin zebrania się na nowo.

O szóstej godzinie tedy, przy pięknej pogodzie i sprzyjającym wietrze, rozpoczęły się operacje. Po raz ostatni dr. Jolle przesłuchiwał panią Drabble, przy pomocy kapitana i w obecności świadków. Niepodobna było wydobyć od niej najmniejszej informacji. Doktor oświadczył, iż konfuzja jej jest chroniczną, i wszyscy zgodzili się z jego zdaniem.

Przystąpiono tedy do eksperymentu, polegającego na wyjawieniu stanu rzeczy mężom. P. Smallchild załatwiał właśnie swoje poranne rachunki z morzem, i pierwsze jego słowa, po wysłuchaniu całej sprawy, były: „Suchar à la diable i parę anchois.“

Wytrwałym naleganiom obecnych udało się wszelako wydobyć z jego piersi dalsze życzenie, „ażeby go wrzucono do morza, i obydwaj bachory wraz z nim.“ Próbowano rozmówić się z nim na serjo, ale bez skutku. „Róbcie sobie, co chcecie,“ rzekł omdlewającym głosem. „Czy pan porucasz tę sprawę mnie, jako komendantowi okrętu?“ pytał kapitan. — Nie było od-

powiedzi. — „Kiwnij pan głową, jeżeli pan nie możesz mówić.“ — P. Smallchild poruszył dwa razy głowę na poduszce i usnął. „Czy to ma znaczyć, że upoważnił mnie do działania?“ zapytał się kapitan świadków. Świadkowie odpowiedzieli: Tak.

Tę samą ceremonję powtórzono z p. Heavysides, który, jako człowiek inteligentny, odpowiedział na zapytanie propozycją własnego pomysłu.

— Kapitanie Gillop i wy, moi panowie, rzekł w sposób melancholijnie grzeczny, — wolałbym, ażeby w tej mierze uwzględniono raczej p. Smallchild. Co do mnie, gotów jestem rozstać się z jednym dzieckiem i z drugim, i ośmielał się zaproponować, ażeby p. Smallchild wziął jedno i drugie, dla samej pewności, że jego własne znajdzie się w tej parze.

Genialny ten pomysł znalazł wszelako przeciwnika w doktorze, który sarkastycznie zapytał Szymona, co, jego zdaniem, pani Heavysides powie na jego propozycję. Cieśla przyznał, iż nie uwzględnił tego, i że pani Heavysides prawdopodobnie nie zgodzi się z jego planem. Wszyscy podzielali to zdanie, i odprawiono p. Heavysides wraz z jego genialną ideą, otrzymawszy wprzód od niego dla kapitana upoważnienie do działania podług swojej woli.

— Dobrze więc, moi panowie, rzekł kapitan. Jako komendant statku, pod względem odpowiedzialności, następuję zaraz po ojcach. Rozważyłem tę materję wszechstronnie, i podejmuję się załatwić ją stanowczo. Głos natury, który proponował p. Purling, okazał się zawodnym. Rzucanie losów, które proponował p. Sims, nie zgadza się z mojami pojęciami o tem, co się godzi dopuszczać w tak poważnej kwestji. Mam tedy własny mój plan, i proszę panów z sobą do komórki szafarza.

Świadkowie popatrzyli się jeden na drugiego w zdumieniu, i poszli za kapitanem.

— Saunders, rzekł kapitan do szafarza — przynieś tu wagę.

Była to zwykła kuchenna waga, z cynową szalą z jednej, do umieszczenia ważonego przedmiotu, i z żelaznym hakiem po drugiej stronie, do uczepiania ciężarków. Saunders postawił ją na stoliku, i z polecenia kapitana wyścielił szalę czystą ścierką.

— Doktorze — rzekł kapitan — zamknij pan drzwi od sypialnych kajut, ażeby kobiety nic nie sly-szały, i bądź łaskaw przynieść tutaj tych dwóch chłopaków.

— Ach, panie! zawołała p. Drabble, która z miną winowajczyni przypatrywała się tym operacjom. Nie rób pan nic złego tym biednym dzieciom! Jeżeli kto ma cierpieć za to, co się stało, to niechaj ja cierpię!

— Milcz pani, z łaski swojej — rzekł kapitan — i nie wspominaj pani nikomu o tem, co tu robimy, jeżeli pani nie chcesz stracić swojej posady. Gdyby która z tych pań chciała, ażeby jej przyniesiono jej dziecko, powiedz jej pani, że otrzyma je za dziesięć minut.

Doktor wszedł z koszem, zawierającym dzieci, a kapitan włożył okulary na nos i przypatrzył im się dokładnie.

— Jednego jest sześć, a drugiego pół tuzina, rzekł. — Nie widzę najmniejszej różnicy. Lecz nie! Jest różnica. Jeden bęben jest łysy. To dobrze. Zaczniemy od niego. Doktorze, połóż łysego bębna na wagę!

Łysy bęben protestował na całe gardło przeciw tej czynności, ale to nic nie pomogło. Doktor umieścił go na szali, a kapitan rozkazał:

— Zważ go dokładnie, Saunders, na ósmą część uncji, jeżeli potrzeba. I chciejcie panowie przypatrzeć

się dobrze temu, co się tu dzieje, jest to rzecz niezmiernie ważna.

Podczas gdy szafarz ważył a świadkowie doglądali go, kapitan rozkazał porucznikowi, ażeby mu przyniósł księgę, zawierającą dziennik okrętu.

— Ile waży, Saunders? — zapytał, otwierając księgę.

— Siedm funtów, uncję i ćwierć — była odpowiedź.

— Tak jest — potwierdzili świadkowie.

— Łyse dziecko, oznaczone numerem I., waga 7 ft. 1 unc. i ćwierć, *avoir-du-poids* — powtórzył kapitan, wpisując te daty w dziennik. — Doskonale. Teraz włóżcie łysęgo bębna do kosza, a bierzcie się do tego, który ma włosy.

Dziecko z włosami protestowało równie bezskutecznie jak pierwsze, i operacja powtórzyła się z niem co do joty.

— Ile, Saunders? — zapytał kapitan.

— Sześć funtów, czternaście uncyj, i trzy ćwierci.

— Czy tak, panowie?

— Tak — potwierdzili świadkowie.

— Dziecko mające włosy na głowie, oznaczone numerem 2, waga: 6 ft. 14 uncyj i 3 ćwierci, *avoir-du-poids*, — powtarzał kapitan, zapisując to wszystko w dziennik. — Dziękuję panu, panie Jolly, to wystarczy. Połóż pan drugiego bębna także do kołyski, i nakaż pan pani Drabble, ażeby żadnego z nich nie ruszała, aż do dalszego rozkazu, poczem chciej pan udać się za nami na pokład. Musimy teraz odbyć dyskusję, której kobiety słyszeć nie powinny.

Całe towarzystwo udało się tedy na pokład, dokąd przybył wkrótce i doktor, i dokąd porucznik zaniósł dziennik, jakoteż atrament i pióro.

— Teraz, moi panowie, porucznik odczyta nam z dziennika protokół, który opisuje całą tę sprawę, i który ja sam spisałem od początku do końca. Je-

żeli panowie uznacie, że wszystko podane tam jest zgodne z prawdą, będziecie łaskawi podpisać protokół jako świadkowie.

Porucznik odczytał protokół, a świadkowie zaświadczili go i podpisali. Poczem kapitan Gillop odchrząknął, i przemówił w te słowa:

— Zgodzicie się panowie ze mną, iż co słuszna, to słuszna, i że równe powinno iść z równem. Oto jest mój statek, mający pięćset tonów pojemności, i odpowiednie do tego maszty. Dajmy na to, że byłby to szoner o stu pięćdziesięciu tonach — czy najostateczniejszy sznur ziemny odważyłby się obciążać go takimi sośniakami? Z drugiej zaś strony, gdyby to był trzymasztowiec o pojemności tysiąca tonów, czy te maszty, jakkolwiek są wcale nie złemi patyczkami, nie byłyby za małe dla niego? To jest rzecz oczywista. Szoner musi mieć lżejsze maszty, a trzymasztowiec cięższe. Tej zasady, moi panowie, trzymam się w obecnej kwestji, i decyduję tak: damy cięższe dziecko cięższej z dwóch kobiet, a lżejszej, lżejsze. Za tydzień, jeżeli pogoda potrwa, zawiniemy przy pomocy boskiej do portu, a jeżeli się wówczas znajdzie lepszy sposób załatwienia tej sprawy, to niechaj go sobie przezemnie próbują popi i prawnicy. Skończyłem.

Zgromadzenie zgodziło się jednogłośnie z tym wyrokiem, jak to zwykle bywa, jeżeli nikomu nic innego nie przychodzi do głowy. Uproszono następnie lekarza, ażeby jako jedyna kompetentna powaga w tej mierze, osądził, która z kobiet więcej waży. Kwestję tę doktor rozstrzygnął bez wahania na korzyść cieślowej, pani Heavysides, zważywszy, iż przewyższała panią Smallchild o wiele wzrostem i tuszą. W skutek tego, łyse dziecko, czyli dziecko Ner 1, odniesiono pani Heavysides, a dziecko z włosami, czyli dziecko Ner 2, dano pani Smallchild, bez naj-

mniejszej opozycji ze strony „głosu natury.“ Przed siódmą rano jeszcze, p. Jolly zdał raport, iż matki i dzieci w prawej i lewej kajucie mają się tak wybornie i zadowolone są z siebie tak, jak sobie tego tylko życzyć można, a kapitan zamknął posiedzenie temi słowy:

— Rozpniemy teraz resztę żagłów, panowie, i pomknijmy żwawo do portu. Saunders, śniadanie, za pół godziny, a dużo! Musimy opowiedzieć pani Drabble wszystkim, cośmy zrobili, na razie, pozbyliśmy się kłopotu, i niechaj go sobie biorą na swoją głowę księża i prawnicy, jak mówiłem.

Księża i prawnicy nie mieli wszakże najmniejszego kłopotu, a to z tej przyczyny, iż nie było co począć w całej tej sprawie. Po dziesięciu dniach okret zawinął do portu, i opowiadano matkom co się stało. Po dziesięciodniowym doświadczeniu atoli, każda z nich przepadała za dzieckiem, które jej dano, a o tożsamości jego wiedziała tyle, co pani Drabble. Próbowano wprawdzie stwierdzić tę tożsamość na różne sposoby, ale bez skutku. Doktor powtarzał tylko to, co mówił kapitanowi. O dowodzie przez podobieństwo rysów nie było mowy, z powodu iż obydwaj ojcowie mieli jasne włosy, niebieskie oczy i rzymskie nosy, a obydwaj synowie jasne włosy, niebieskie oczy i nosy tak małe, że i mówić o nich nie warto. O zasięgnięciu decyzji sądowej nie było także mowy, bo brak było wszelkich podstaw do wyroku, a odwołanie się do ojców nie przydało się na nic, bo ojcowie nie mieli najmniejszego wyobrażenia o tem, czy pomieniano dzieci lub nie. Barbarzyński dowód kapitana Gillopa, uzyskany za pomocą wagi, był ostatecznie jedynym dowodem, i oto stoję tu, ja, biedny wyrobnik, bez fenika w kieszeni...

Tak jest, moi panowie, ja byłem owym nieszczęśliwym łysym bębmem, na którego losy półtrzeciej

uncji wagi wywarło taki wpływ fatalny! Rodzice zatrzymali jednego i drugiego z nas, na podstawie wyroku kapitana. Pan Smallchild, który był wcale sprytnym i rzutkim, gdy nie cierpiał na chorobę morską, dorobił się znacznego majątku. Szymon Heavysides, któremu co roku przybywało potomstwa, umarł w domu ubogich. Możecie się panowie domysleć, jak się powodziło w życiu dzieciom, narodzonym na pokładzie statku „Adventure.“ Ja, łyse dziecko, nie widziałem później w życiu nigdy dziecka z włosami. Być może, iż jest małego wzrostu, jak p. Smallchild, słyszałem wszelako, iż z twarzy przypomina dziwnie pana Heavysides. Ja, być może, że jestem słusznym, jak nieboszczyk cieśla, ale mam te same włosy i oczy, te same rysy i ten sam wyraz twarzy, co pan Smallchild. Bądź co bądź, Smallchild *junior* ma się dobrze, bo ważył 6 funtów 14 uncji i trzy ćwierci. Heavysides *junior* bieduje, bo ważył 7 funtów, uncję i ćwierć — i na tem koniec.

Jeszcze podczas czytania historii z „fidibusa“, pan Parvis zaniepokoił był członków klubu „z pod króla Artura“ chrapaniem połączonem z objawami apoplektycznemi, w skutek czego usiłowano namówić go, ażeby się przebudził i poszedł do domu. Odpowiedź jego na tę przyjacielską uwagę nie mogłaby być powtórzoną bez wykropkowania kilku wyrazów, i z tego powodu opuszcza się ją tutaj. Teraz atoli prezes klubu oświadczył, iż fryga na dziś skończyła swoją misję, i że posiedzenie jest zamknięte.

Alfred Raybrook nie mógł się powstrzymać i teraz od zapytania, czy kto z obecnych nie słyszał kiedy jakiej wzmianki o sumie 500 fst. jako o sumie skradzionej. Dzięki tej uporczywości w wypytывaniu się o jeden i ten sam szczegół, młody nasz rybak począł uchodzić w klubie pod „królem Arturem“ za

młodego rybaka, mającego zajaczki w głowie, i zostającego z tej przyczyny pod nadzorem kapitana.

Nikt nie miał tymczasem odwagi, obudzić chrapącego potężnie podtatusiałego cherubima, p. Parvisa. Po dłuższej naradzie udecydowano, że najotyłszy członek klubu miał — przypadkiem niby — upaść na niego, i odskoczyć natychmiast jak najdalej. Plan ten udał się wybornie, szanowny obywatel Parvis zerwał się bowiem na równe nogi najzupełniej przebudzony i tak pewny siebie jak może nim być człowiek śpiący lekko i każdego czasu czujnie. Twarz jego wyrażała uczucie najkompletniejszej swobody i rzeskości, a nieomieszkał nawet zwrócić się do najmniej sennego ze wszystkich członków klubu, dworując z niego i nazywając go szkaradnym spiochem. Następnie, rozeszło się całe towarzystwo, a kapitan i młody Raybrook zostali sami. Kapitan ściskając każdego z odchodzących za dłoń, użył tyle komocji, iż widocznie nie miał jeszcze ochoty iść do łóżka.

— Jutro rano, rzekł, musimy pójść do tutejszego prawnika i do księdza, są to jedyni ludzie którzy nam mogą pomódz w naszym interesie. Wstanę przed świtem i skorzystam z czasu, by zadać jak najwięcej pytań każdemu kogo spotkam — tym sposobem rozpowszechnię przynajmniej, w najgorszym razie, ojczysty mój obyczaj w waszej starej Anglii.

W chwili, gdy kapitan objawiał zadowolenie swoje z tej decyzji gwałtownym uderzeniem swojej dłoni po nodze, pojawił się gospodarz z świecami.

— Dam panu pokój sypialny na górze, przemówił do kapitana. Łóżko będzie pan miał dobre, ale wiatr będzie huczał w koło niepospolicie.

— Huczy on zwykle koło mnie, była odpowiedź. Przejdź się pan ze mną kawałek, a usłyszysz pan, jak wiatr huczy.

— Mówią wszelako, że huczy i tutaj.

— E, tutaj wiatr rodzi się zaledwie i nabiera siły, trenuje się, nim się dostanie na ocean Atlantycki. Wasze wiatry, moi panowie, to dzieci, które zaledwie raczkują. Jeżeli pan chcesz poznać wiatr dorosły i starający się już o zrobienie kariery w życiu, to powtarzam panu, przejdź się pan ze mną na zachód. Ale, nie powiedziałeś nam pan, gdzie będzie spał mój młody przyjaciel?

— W pokoju, do którego prowadzą pierwsze drzwi ze wschodów. Jest to pokój o dwóch łóżkach, bo nie mam innego.

— Pokój, w którym spi żeglarz?

— Tak, panie.

— Byle tylko nie dokończył we śnie swojego opowiadania! Alfredzie, czy chcesz ażebym ja spał w jednym pokoju z żeglarzem?

— Nie, kapitanie, nie ma najmniejszej racji do tego. Niech sobie przezemnie opowiada, co mu się podoba, mnie to nie przeszkodzi spać w najlepsze.

— Chciejże pan uważać — rzekł gospodarz — że żeglarz spi w łóżku, które znajduje się bliżej drzwi. Zaglądałem tam i przekonałem się, że spi jak zabity. Dobranoc panom.

Kapitan skorzystał z tej sposobności, ażeby z jak największym zapalem wyściskać i wytrząść dłoń gospodarza, a skuteczniejszy tę ceremonię narodową, jak gdyby już dawno nie miał był przyjemności oddawania się jej rozkoszom, poszedł na górę w towarzystwie Alfreda.

— Coś mi się widzi — rzekł po drodze — że ślub panny Katarzyny Tregarthen nie jest odłożony na długo, i że znajdziemy, czego szukamy.

— I ja mam tę nadzieję — odparł rybak. — Jak długo to potrwa, pańskim zdaniem?

— No, nie wiem, ale wiem, że nie długo. Oto jest twój pokój — dodał, otwierając drzwi pocichu i

zaglądając do środka — a tu spi żeglarz. Oddycha wcale regularnie i głęboko, nieprawdaż?

— Jak dziecko!

— Sni o swoim domu, bez wątpienia. Szkoda, że go nie widzę. Słyszę tylko, że ma sen zdrowszy ale nie mniej twardszy, jak p. Parvis. Dobranoc ci, towarzyszu podróży!

— Dobrej nocy, kapitanie, i dziękuję panu.

— Poczekaj z podziękowaniem, aż zasłużę na nie, i niechaj ci się przyśni, domyślasz się, kto.

Co rzekłszy, kapitan poklepał Alfreda po ramieniu, wsunął go do pokoju i zamknął za nim drzwi, poczem zatrzymał się przez chwilę na kurytarzu, nadśledzując czy nie rusza się żeglarz? Ale nie było słychać najmniejszego szmeru, i kapitan udał się na spoczynek.

Rozdział IV.

ŻEGLARZ.

Co to był za żeglarz? I co miał do powiedzenia? Odpowiada on na to, co następuje:

„Przedewszystkiem wspomnieć muszę, co mi się wydarzyło w drodze z Falmouth w Kornwalii, do Steepways w hrabstwie Devonshire. Ponieważ jestem z Lanrean, nie potrzebuję nadmieniać, że przybyłem do tego miejsca. Miałem interes, po części nader ważny, a po części, jak się panowie przekonacie, nader przyjemny, i ten interes był powodem mojej podróży.

Wylądowałem w Falmouth, i puściłem się w drogę pieszo, raz dla oszczędności, a powtórnie dla tego, że ruch pomagał mi znosić lepiej niepokój, który mi ciążył na duszy. Przez dwa dni, sprzyjał mi wiatr, prawdziwy zefir południowy, lub południowo-zachodni. Trzeciego dnia zabłądziłem, i musiałem zrobić nie-małe koło, nim napowrót znalazłem się na dobrej drodze. Pod wieczór wiatr się zmienił, i dmuchnął na ład tumanami mgły morskiej. Przebyłem tedy to, co

pozwolę sobie nazwać białą ciemnością, zostawiając troskliwie na lewo dolatujący mię huk bałwanów morskich, i czując zwiększający się we mnie mój niepokój wewnętrzny w miarę jak gęstniała mgła i otulała mię wilgocią.

Nie było jeszcze późno, gdy usłyszałem szczekanie psa, na prawo, w pewnem oddaleniu. Poszedłem w tym kierunku, odzywając się od czasu do czasu, ażeby pobudzić psa do dalszego szczekania, aż nakoniec trąciłem nosem o węgiel domu, z którego wnętrza dochodziły mię głosy. Udało mi się namacać drzwi, do których zapukałem, i które mi otworzyła młoda dziewczyna w zaniedbanym stroju. Od niej dowiedziałem się, że dom ten jest gospodą, a nim zdołałem dowiedzieć się czego więcej, wyszedł do mnie gospodarz, a wraz z nim, prąd powietrza przyniósł ku mnie miłe ciepło kominka, woń grogu i dymu tytoniowego.

— Ogień w gościnnym pokoju już zgaszony, rzekł gospodarz, i jak sądzę, wysuszysz się pan naj-
lepiej, jeżeli się pan położysz do łóżka.

— Jestem przeciwnego zdania, odparłem.

Nimeśmy zdołali poprowadzić dalej tę dysputę, jakiś wesoły głos zawołał z wnętrza domu:

— A co tam, panie gospodarzu, kto tam?

— Żeglarz, jak się zdaje, odparł gospodarz.

— Jeżeli żeglarz, była odpowiedź, to wpuść go pan do nas. Damy mu wolny wstęp do klubu na dzisiaj.

Poczem, uroczystym chórem, jak w kościele, ozwały się głosy: Słuchajcie! Słuchajcie! Poczem rozległo się uderzenie młotka, jak na licytacji. Poczem nakoniec gospodarz wsunął mię za ramię tu do pokoju, dając mi tym sposobem wolny wstęp do klubu.

Przejście z mgły do światła i ciepła chwyciło mię za oczy tak, że stanąłem wobec szanownego towarzystwa, mrugając na kształt sowy raczej, niż czło-

wieka. W skutek tego szanowne towarzystwo zawołało znowu: Słuchajcie! Słuchajcie! ja zaś odpowiedziałem także: Słuchajcie! Słuchajcie! przypuszczając, iż wyrazy te w znaczeniu klubowem używane są zamiast: „Jak się pan miewasz?” lub czego podobnego. Wówczas, gospodarz posadził mię przy okrągłym stoliku koło kominka, i dał mi jeść, zawiadamiając mię oraz, że jeśli zechcę spać, mogę to skutecznie na górze, w pokoju pod numerem czwartym.

Nim rozpocząłem operacje widelcem i nożem, zrobiłem spostrzeżenie, iż pokój był pełen gości, i że właściciel wesołego głosu, który mię kazał wpuścić, był prezesem klubu i bawił towarzystwo, opowiadając mu historję. Zająłem się wszelako wieczera moją więcej niż jego opowiadaniem, i wiem tylko tyle, że w końcu ja przestałem jeść, a on przestał opowiadać.

— Teraz, rzekł prezes, opowiedziałem panom historję dla zrobienia początku. Zobaczmy na kogo wypadnie kolej. — Wziął tedy furkawkę, i zakręcił ją na stole. Furkawka upadła niedaleko mnie, a prezes rzekł do mnie: „Na pana kolej. Do porządku! Żeglarz ma opowiedzieć drugą z kolei historję.” Co rzekłszy, zapukał w stół młotkiem, a klub jednogłośnie zawołał: Słuchajcie! Słuchajcie!

— Panowie — odezwał się prezes — zrobiłem początek, a teraz zakręcę furkawkę i zobaczymy, na kogo przyjdzie kolej.

Furkawka padła koło mnie i prezes zawołał, że kolej opowiadania padła na mnie, podczas gdy klub nie mając prawdopodobnie nic innego do powiedzenia, zawołał znowu: Słuchajcie! Słuchajcie!

— Chciejcie mię panowie uwolnić — rzekłem — bo nie umiem żadnej historji.

— Nie umiesz pan żadnej historji! Żeglarz, który nie umie żadnej historji! Czy kto kiedy słyszał coś podobnego? mówił prezes.

— Nikt! — odpowiedziano jednogłośnie.

Nie podobało mi się, że prezes mówił o mnie, jak gdybym był prostym majtkiem. Każdy człowiek lubi, ażeby go tytułowano jak należy, zwłaszcza w towarzystwie obcych ludzi. Dlatego też zwróciłem się do prezesa i rzekłem:

— Wszyscy ludzie, których rzemiosłem jest pływać po morzu, są żeglarzami, mój panie, ale żeglarz żeglarzowi nie równy. Ja mój panie, jestem drugim porucznikiem okrętu.

— W istocie? A gdzież pan zostawiłeś swój okręt?

— Na dnie morza, — odparłem i niestety, mówiłem prawdę.

— Rozbiłeś się pan! Otóż historja, która nas będzie bardzo zajmować! Opowiedz nam pan, jak to było! Do porządku, panowie, słuchajmy porucznika!

Wszyscy zawołali: Słuchajcie! i wpatrzyli się we mnie. Zrobiłem głupstwo, nie zastanowiwszy się, począłem opowiadać moje przygody. Gdyby mi byli kazali opowiadać jaką historję, byłbym tego nie potrafił, wyobrażam sobie bowiem, że historja jest to coś, wczem nie ma ani słowa prawdy. Ponieważ atoli towarzystwo kontentowało się opowiadaniem o rozbiściu mojego okrętu, które wcale nie jest historja, więc ni ztąd ni zowąd począłem opowiadać.

Szło mi to dość gładko, póki mówiłem o burzy i o zatopieniu się statku, i o przypadku, który jak się później okazało, ocalił mi życie. Wszyscy obecni, ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, słuchali mię z taką uwagą, jak gdyby nigdy nie podobnego nie słyszeli. Lecz gdy mi przyszło mówić o tem, co zaszło po mojem ocaleniu, a raczej o miejscu, na które byłem wyrzucony, i o towarzystwie, w jakim się znalazłem, słowa zamarły mi na ustach. Tej części moich

przygód nie chciałem i nie mogłem pod żadnym warunkiem opowiadać nieznanym, choćby mi każdy był dawał sto funtów za koniec mojej powieści.

— Mów pan dalej, wzywał mnie prezes. Co się stało potem, jakim sposobem dostałeś się pan na ląd?

Zamyśliłem się, jakimby sposobem ukończyć moje opowiadanie, a nie wspomnieć o okolicznościach, których właśnie dotknąłem. Nie było to tak łatwo, a tymczasem klub począł niecierpliwie się mojem milczeniem. Wszyscy spoglądali na mnie jak na raroga, tupali nogami i wołali, bym mówił dalej. Wśród tego gwaru, znalazłem nakoniec sposób skończenia mojej powieści i wstałem z miejsca.

— Słuchajcie, słuchajcie! zawołano — zaczyna już raz przecież na nowo!

— Panowie, odpowiedziałem, za pozwoleniem waszem skończę, życząc wam wszystkim dobrej nocy! Co rzekłszy, skłoniłem im się po przyjacielsku, i odszedłem. Rzecz trudna do uwierzenia, a jednak prawdziwa, że zabawni ci ludzie poczęli szemrać i sarkać na mnie, jak gdybym im wyrządził jaką zniewagę. Sądziłem, że ich uspokoję ich ulubionem hasłem, zwróciłem się tedy w drzwiach i zawołałem, jak mogłem najgrzeczniej: Słuchajcie! Słuchajcie! na co odpowiedzieli mi jednogłośnie: oho! Nie należałem nigdy do żadnego klubu, a po tem doświadczeniu przyznam się, że i na przyszłość nie mam ochoty należeć do żadnego.

Pokój mój sypialny był dość duży i miał dobre powietrze, ale był niezbyt czysty. Zawierał dwa łóżka, także niezbyt czyste. Położyłem się w to, które było bliżej drzwi, i zasnąłem.

Dzień świtał już, gdy się obudziłem. Gdy otwarłem oczy i przypomniałem sobie, gdzie jestem, zrobiłem dwa odkrycia. Najpierw, że było chłodniej w pokoju, niż wtenczas, gdy się kładłem spać, a po-

wtóre, że na drugim łóżku, które było próżne, gdy wszedłem, teraz widocznie ktoś spał, bo chociaż go nie widziałem, słyszałem jego oddech. Oczywiście rzeczą było, że wszedł do pokoju podczas gdy spałem, i położył się tak spokojnie, że mnie nie zbudził. Nie było w tem nic dziwnego, ani w tem, że gospodarz wynajął drugie łóżko, gdy mu się gość trafił. Obróciłem się do ściany i próbowałem usnąć na nowo, ale byłem czegoś nie swój, do tego stopnia nie swój, że nawet oddech śpiącego gościa był mi nieznośnym. Przewracałem się tedy niespokojnie, a nakoniec wstałem i nie wkładając trzewików poszedłem do okna, zobaczyć co się dzieje na dworze.

Dniało, a wiatr rozpedzał mgłę nocną w tumanach, nakształt kłębow dymu. Gdy przechodziłem koło drugiego łóżka, zatrzymałem się, ażeby się przypatrzyć gościowi, który w niem leżał, obrócony do okna, i spał głęboko, z twarzą po części przykrytą. Kolor jego włosów i czoło uderzyły mnie wszelako, nie wiem czemu, i jakkolwiek nie jestem ciekawym z natury, wyciągnąłem rękę i odkryłem jego twarz prawie mimowoli.

W świetle poranku leżał przedemną mój brat, Alfred Raybrook.

Nie wiem, co należało zrobić w tym wypadku, albo coby był zrobił kto inny na mojem miejscu. Co do mnie, odstąpiłem o krok i oparłem się o framugę okna, patrząc na niego. Przed trzema laty pożegnałem był moją żonę, moje dziecko, starą moją matkę i tego brata, który spał o parę kroków odemnie. Przez cały ten przeciąg czasu nie mieli oni o mnie żadnej wieści, a właściciele statku, którym odpłynąłem, musieli im byli donieść, że statek ten zatonął wraz z całą załogą. Serce mi się ścisnęło na myśl o rodzinie i o tem, jak długo czekali na mnie i tęsknili, nim sobie powiedzieli żem zginął. Dwa razy wyciągałem rękę, by zbudzić Alfreda i zapytać go

o żonę i dziecię, i dwa razy wstrzymała mię obawa, bo nie mogłem przewidzieć, co się stanie, gdy mię brat ujrzy stojącego przed sobą, wracającego z głębi morza!

Po raz drugi cofnąłem był rękę i poczekałem minutę. Po upływie tej minuty zbudził się Alfred. Nie ruszyłem się był, nie krzakałem, nie dotknąłem go, patrzyłem tylko na niego z natężeniem. Gdyby takie rzeczy mogły wydarzać się, powiedziałbym, że go mój wzrok zbudził. Oczy jego spoczęły na mnie i przybrały wyraz osłupiały, który wkrótce zniknął. Podniósł się, oparł się na łokciu i otworzył usta, ale nie mógł przemówić ani słowa. Patrzył i patrzył na mnie, i bladł jak śmierć.

— Alfredzie! zawołałem, czy nie poznajesz mnie? Zdawało mi się, że był zdjęty przerażeniem, i że go mój głos uspokoi. — Alfredzie! zawołałem raz jeszcze, biorąc go za rękę. Ach, panowie, zkad taki człowiek jak ja zdoła wziąć słów na powtórzenie tego, cośmy mówili, cośmy myśleli i czuli w tej chwili? Darujcie że nie potrafię tego opisać. Usiedliśmy na łóżku, jeden obok drugiego. Biedny chłopak rozplakał się, i to mu ulżyło. Trzymałem go za rękę i czekałem chwilę, nim się znowu odezwał. Było mi gorzej, niż jemu, bo łzy nie przychodziły mi w pomoc. Nie mam tak żywego umysłu, jak mój brat, a przegody moje zrobiły mię twardym i szorstkim na zewnątrz. Ale Bogu tylko wiadomo, co czułem i jak czułem w tej chwili, właśnie może dlatego, że nie mogłem objawić moich uczuć.

Po niejakiem czasie, zapytałem go o to, co tak pragnąłem wiedzieć. Czy wszyscy w domu mieli mię za straconego? Tak, po długiem, długiem oczekiwaniu, jedno po drugim straciło było nadzieję — ostatnią wszakże była moja żona, niech ją Bóg błogosławi! Chciałem spytać się o nią Alfreda, czy żyje i czy zdrowa, ale nie zdołałem wymówić nic więcej,

jak tylko: Małgorzata? i popatrzeć mu w oczy. Zrozumiał mnie i odparł że żyje, jest w domu, i chodzi w żałobie po mnie. Biedactwo! w żałobie po mnie? Głódziej poszło mi drugie pytanie, o dziecię, którego jeszcze nie widziałem. Czy urodziło się żywe? Tak. Chłopiec, czy dziewczyna? Dziewczyna. I czy żyje, czy urosło? Żyje i urosło, biedne maleństwo, ile mogło urosć w trzech latach. A matka? Matka pochyliła się nieco i stała się milczącą. Czasem płacze. Płaczą obiedwie, ona i Małgorzata, w nocy zwłaszcza, gdy morze huczy i wicher wstrząsa okna w małym domku, jak gdyby kto pukał do nich. Po tych pytaniach i odpowiedziach umilkliśmy, a ja w duchu dziękowałem Bogu, iż mię powrócił żywego żonie i rodzinie, i że wszystkich zastałem przy życiu.

Alfred otarł łzy i popatrzył na mnie przez chwilę. Potem obrócił się nagle, jak gdyby sobie co przypomniał, i sięgnął ręką pod poduszkę. Nie wyjął z tamtąd nic, oprócz czarnej chustki na szyję, którą począł wkładać powoli, patrząc mi w oczy z dziwnym jakimś wyrazem twarzy.

— Co ty robisz, zapytałem, czego tak patrzysz na mnie?

Zamiast odpowiedzi, wyjął z chustki kawałek pomiętego papieru, rozłożył go starannie, i pokazał mi go do światła. Wielki Boże! było to moje pismo — ten sam papier, który dawno, dawno temu powierzyłem był morzu. Tysiąc i tysiąc mil ztąd, oddałem był to pismo falom, i oto znajdowało się w rękach mojego brata. Obecnie, ten kawałek papieru był dla mnie jakby własnym moim duchem, który przebył niezmierzone przestworza wód i poprzedził mię w moim powrocie do domu.

Mój brat wskazał uroczyście na to pismo i zapytał:

— Hugonie, czy byłeś zupełnie przytomnym kiedy pisałeś te słowa?

— Powiedz mi najpierw, jakim sposobem i kiedy otrzymałeś ten papier? Póki tego nie będę wiedział, nie potrafię mówić.

Opowiedział mi, kto mu doręczył moje pismo, i że przyjaciel jego kapitan znajduje się pod jednym dachem z nami. Na tem urwał, i dopiero później dowiedziałem się, jak ta fatalna wątpliwość co do pieniędzy wpłynęła na jego żeniączkę.

Wiadomość, że pismo moje dostało się do Anglii przez ręce śmiertelnika, uspokoiła mię, przyznam się bowiem, że odchodziłem od zmysłów i nie mogłem z początku pojąć, by coś podobnego zdarzyć się mogło w sposób tak naturalny. Uspokoiwszy się, uspokoiłem i Alfreda, powiedziałem mu, że byłem wprawdzie bardzo skłopotanym, ale zupełnie przytomnym, gdy pisałem te słowa. Powiedziałem mu, że mogę uzupełnić ustnie to czego nie mógł wyczytać, i że o prawdzie tego, co pisałem, nie wiem więcej od niego, ale przez cały czas podróży do domu miałem w myśli postanowienie zbadania tej sprawy i ażebyśmy mogli wiedzieć, ile jest prawdy w plamie rzuconej na pamięć naszego ojca.

— Chodź teraz ze mną Alfredzie, a opowiem ci, jakim sposobem powstało to pismo i rzuconem zostało w morze.

Zeszliśmy na dół, gdy właśnie słońce wschodziło, i poszliśmy na brzeg morza. Tam powróciłem do opowiadania, które przerwałem był w klubie, ale tym razem, doprowadziłem rzecz do końca.

— Jak sobie przypominasz — rzekłem Alfredowi — odpłynąłem z Anglii jako drugi porucznik statku „Peruvian“, o pojemności dziewięćuset tonnów. Wzięliśmy ładunek złożony z rozmaitych towarów, a przeznaczeniem naszym było opłynąć przylądek Horn, i zawinąć do portów Truxillo i Quayaquil, na zachodnim wybrzeżu południowej Ameryki. Z tego drugiego portu tj. Guayaquil, mieliśmy wrócić do Tru-

xillo, i zabrać tam inny ładunek towarów, przeznaczony do Anglii. Tak brzmiały instrukcje, których mi udzielono, gdy przed trzema laty podpisywałem w City londyńskiej kontrakt z właścicielami statku „Peruvian“.

Byliśmy już od tygodnia na morzu, gdy pierwszy porucznik opowiedział mi, iż jak słyszał od kapitana, nasz „supercargo“ (agent domu handlowego, któremu statek oddany jest do dyspozycji) miał zostać się w Truxillo, zład wracać miał z nami do Anglii inny „supercargo“, który do tego czasu był agentem zamiejscowym tej samej firmy handlowej. Według instrukcyj danych kapitanowi, agent ten drugi nazywał się p. Lawrence Clissold. Nikt z nas nie znał go i wszyscy po raz pierwszy słyszeliśmy jego nazwisko.

Mieliśmy podróż przepyszną, zwłaszcza gdyśmy mijali przylądek Horn. W piekielnej tej okolicy nie widziałem i prawdopodobnie nie ujrzę nigdy tak cudnej pogody. Wypełniliśmy zlecenia nasze jak najakuratniej, oddaliśmy nasz ładunek w dobrym stanie i wróciliśmy do Truxillo po świeży towar. Tam miałem to nieszczęście, że dostałem febry panującej w tym klimacie, i leżałem chory przez cały czas pobytu naszego w porcie. Dopiero dziesiątego dnia podróży naszej z powrotem, zacząłem na nowo pełnić moją służbę. Z tego powodu, tego dnia zaledwie po raz pierwszy ujrzałem nowego naszego agenta, p. Lawrence Clissold.

Był to długi, chudy jegomość w niebieskich okularach, który na oko zdawał się liczyć pięćdziesiąt sześć lat, albo i więcej. Był przytem prawie zupełnie łysym, bo o tej kupce siwych włosów, którą miał na głowie, mówić nie warto. Twarz jego w okolicy oczu i ust liczyła tyle zmarszczek, że gdyby mu za każdej z nich dano funt st. mógłby był śmiało porzucić interesa i żyć wygodnie aż do samej śmierci. Spostrzegłem, że rano trzęsły mu się ręce, i że miał w

twarży inne charakterystyczne znaki, po których domyśliłem się, że musiał być nałogowym pijakiem. Jednem słowem, nowy nasz agent nie podobał mi się wcale, a on ze swojej strony dał mi do poznania zaraz pierwszego dnia po naszym poznaniu się, że ma jakieś powody, dla których odpłaca mi równą monetą.

— Pytałem się kapitana o pańskie nazwisko — były pierwsze słowa, któremi mnie przywitał, w odpowiedzi na moje grzeczne „dzień dobry panu“. — Nazywasz się pan Raybrook, nie prawdaż? Czy jesteś pan krewnym nieboszczyka Hugona Raybrook, z Barnstaple, w hrabstwie Devonshire?

— Bardzo bliskim krewnym, odparłem — jestem bowiem jego najstarszym synem.

Nie wiem, jak w tej chwili wyglądały jego oczy, bo zasłonięte były niebieskimi okularami, ale natomiast widziałem, że wykrzywił usta w sposób nieprzyjemny, gdy usłyszał moją odpowiedź.

— Ojciec pański zbankrutował, czy tak? zapytał mię pan agent.

— Kto panu to powiedział, odparłem ostro.

— O, tak, słyszałem o tem — rzekł w sposób taki, jak gdyby mu sprawiało przyjemność to, co słyszał, i jak gdyby był rad, by to było prawdą.

— Ktokolwiek panu powiedział, że mój ojciec zbankrutował, powiedział panu kłamstwo, rzekłem. Faktem jest, że ojciec mój w ostatnich latach swojego życia zmuszonym był zwinąć swój handel, ale spłacił wierzycieli swoich co do szeląga, nie naruszając nawet sumy, którą przeznaczył żonie i dzieciom. Chciej pan przypomnieć sobie te szczegóły, ile razy pan usłyszysz znowu twierdzenie, że mój ojciec zbankrutował.

P. Clissold uśmiechnął się na to złośliwie, a ja straciłem cierpliwość.

— Mój panie, odezwałem się, nie lubię uśmiechów tego rodzaju, i w ogóle nie podoba mi się sposób, w jaki pan wspomniałeś o mniemanem bankructwie mojego ojca. Powiedziałeś pan to tak, jak gdyby to panu sprawiało przyjemność.

— Być może, odparł p. Clissold sucho, i powiem panu, dla czego. Gdy byłem młodym człowiekiem, nie-szczęście moje chciało, że pożyczyłem od pańskiego ojca pewną sumę pieniędzy. Był on nieużytym, nie-litościwym wierzycielem, i zagroził mi więzieniem na wypadek, gdybym na termin nie uiścił się z długu. Nie zapomniałem mu tego, i przyznam się panu, że byłoby mi to sprawiło przyjemność, gdybym się był dowiedział, że jego wierzyciele obeszlą się z nim tak jak on ze mną.

— Ojciec mój miał prawo upominać się o to, co mu się należało. Jeżeliś mu pan był winien pieniądze i jeżeli pan nie zapłaciłeś...

— Przepraszam, nie mówiłem bynajmniej, że mu nie zapłaciłem, odezwał się p. Clissold równie zimno i sucho jak przedtem.

— Ha, w takim razie, nie poszedłeś pan do więzienia, i nie masz się pan na co uskarżać. Mój ojciec nikomu nigdy nie wyrządził krzywdy, i z pewnością nie wyrządził jej i panu. Był to człowiek uczciwy i słuszny, a ktoby chciał twierdzić co innego, to, mój panie...

— Dosyć, dosyć, rzekł p. Clissold, cofając się ku schodom, wiodącym do kajut. Zdaje się, że nie jesteś pan jeszcze wolnym od gorączki. Niechaj się pan przewietrzy cokolwiek, panie podporuczniku, a gdy pan ochłonie, możesz pan mnie przeprosić.

— Syn powinien bronić pamięci swojego ojca, odpowiedziałem, i czy mam gorączkę czy nie, wolę opuścić okręt niż przepraszać pana za to, iż wypełniłem moją powinność.

— Opuścisz pan okręt, rzekł agent, schodząc do kajuty. Nie omieszkać polecić kapitanowi, ażeby pana zostawił w najpierwszym porcie, do którego zawiniemy.

Oto był miły sposób, w jaki zrobiłem znajomość z panem Clissold. Od tego czasu trwały między nami stosunki nadzwyczaj naprężone. Dokuczał on mi wszakże we wszystkim, nie wspominając już więcej o zajęciu, które miał z moim ojcem. Ja z mojej strony postanowiłem zaraz po powrocie do Anglii udać się do notariusza w Barnstaple, u którego złożone są papiery naszego ojca, i przekonać się z nich, jak się właściwie miały rzeczy w tej sprawie z panem Clissold. Jak wiesz, Alfredzie, nie słyszałem w domu nigdy jego nazwiska, ojciec nasz nie lubił mówić o interesach w kółku rodzinnym, a matka nie nudziła go nigdy pytaniami w tej mierze. Być wszakże mogło, że ojciec nasz miał kiedy jakiś interes z panem Clissold, że ten ostatni usiłował oszukać go, i że mu się to nie udało. Miałem nadzieję, iż to, a nie co innego wyjdzie na jaw po wyjaśnieniu sprawy, bo prawdę mówiąc, szanowny agent irytował mnie był niezmiernie, i nienawidziłem go tak serdecznie, jak on mnie.

Przez cały ten czas statek nasz pomykał szybko ku południowi wzdłuż zachodniego brzegu Ameryki, i sędziliśmy, że i z powrotem towarzyszyć nam będzie pogoda, która nam sprzyjała w podróży z domu. Inaczej się to stało. Niedaleko przylądka Horn, zaniosło się nagle na zmianę. Barometer zaczął spadać raptownie, a wiatr zaczął nagle dąć od północy. Stało się to pod wieczór, a nazajutrz rano byliśmy zmuszeni ściągnąć wszystkie żagle. Tak dęło cały dzień i całą noc, dopiero drugiego dnia w południe burza ustała trochę, i rozwinęliśmy żagle na nowo. Wtem, pod wieczór, niebo pokryło się czarnymi chmurami, a uragan zerwał się z podwójną i potrójną siłą. „Pe-

ruvian“ był to okręt duży i silnie zbudowany, ale nie widziałem jeszcze statku tak trudnego do prowadzenia przy zwiniętych żaglach. Dość, że nalało nam się sporo wody przez parapet, i straciliśmy najlepszą łódź, jaką mieliśmy na pokładzie, a w końcu nie zostało nam nic do czynienia, jak skierować prosto z wiatrem i zdać się na jego łaskę. Trzy doby pędziła nas burza w ten sposób, a chociaż nieraz słabła, morze było tak wzburzone, że nie śmieliśmy zwracać statku na kurs właściwy. Od samego początku burzy, żaden z nas oficerów nie mógł przedsięwziąć pomiarów i obserwacji, widzieliśmy tylko, że wicher parł nas prosto na południe i zapędził nas o paręset mil od zwykłego traktu, którego trzymają się okręty okrażające przylądek Horn.

Trzeciej nocy, a raczej, czwartego poranku przed wschodem słońca, śmiertelnie znużony służbą, udałem się na spoczynek do mojej kajuty, zdawszy troskę o okręt kapitanowi i pierwszemu porucznikowi. Noc była ciemną jak piekło, deszcz, grad i wszystko co może padać z nieba, padało naraz, a „Peruvian“ miotany był bałwanami jak piłka. Zrzuciłem wszelako wierzchnią odzież i powaliłem się w łóżko jak kłoda, powtarzam bowiem, że byłem śmiertelnie znużonym.

Nie wiem, jak długo spałem, wiem tylko, co mnie zbudziło. Oto wyleciałem z mojej maty jak długi na ziemię, a w tej samej chwili, usłyszałem trzask belków i ścian przedniej części okrętu.

Jakkolwiek odurzony i potłuczony, zerwałem się na nogi i wybiegłem na pokład. Nim zdołałem zrobić dwa kroki, „Peruvian“ dał szalonego szczupaka na przód, zwrócił się trochę i znowu silnie zatrzeszczał od przodu. Liny pierwszego masztu poczęły pękać z łoskotem podobnym do wystrzałów pistoletowych, i wkrótce maszt sam z trzaskiem poleciał w morze. Wśród ciemności nie widziałem a wśród huku nie słyszałem nic, czułem tylko ruch koło siebie, po któ-

rym poznałem, że nasi ludzie w tej ostateczności, chronią się na łodzie. Nie przypuszczałem wprawdzie ani na chwilę, by łodzie mogły utrzymać się na morzu, tak jak było niepodobiestwem, aby okręt nie rozbił się w trzaski na rafie, o którą uderzył — ale ponieważ wszyscy próbowali ocalić się w ten sposób więc zdecydowałem się próbować szczęścia wraz z nimi.

Nim atoli skoczyłem za innymi ku łodziom, zbiegłem na minutę do kajuty, nie po pieniądze, ani po bagaże, bo na tych bynajmniej mi nie zależało wobec śmierci która mi zaglądała w oczy. Chodziło mi tylko o puzderko z przyborami do pisania, które mi matka darowała była wraz ze swoim ołogosławieństwem na drogę. W puzderku tem miałem włosy mojej Małgorzaty i wszystkie listy, które otrzymałem od niej w czasie dawniejszych moich podróży. Jeżeli miałem ocalać sam, chciałem ocalić i tę pamiątkę, jeżeli miałem zginąć, chciałem zginąć wraz z nią.

Przypadek chciał, że gwałtowne wstrząśnięcie okrętu zatrasnęło zamek u szuflady, w której miałem puzderko, musiałem więc odbijać ją dopiero i to zabrało mi prawdopodobnie więcej czasu. Bądź co bądź gdy się znalazłem znowu na pokładzie, na nic się nie przydało moje wołanie, i daremnie wśród ciemności szukałem po omacku głównej łodzi. Była ona już w morzu, a wraz z nią, cała załoga. Nim jeszcze miałem czas zastanowić się nad mojem położeniem, zwałała mnie z nóg fala, która przewaliła się przez pokład, a jednocześnie podniosła mocno okręt i wbiła go dalej na rafę, piętząc tylną jego część do góry jak dach kamienicy. W tej pozycji, przednia część statku, potrzaskana w kawałki, zatonała zupełnie, tylko zaś zatknięta storcem na rafę, utrzymywała się nad wodą. Jeżeliby się utrzymała w ten sposób do rana, mogłem być ocalonym, w przeciwnym razie, to jest gdyby ją fale zerwały z rafy, było oczywiście po

mnie. Próbowałem dojrzeć, czy jest ład w pobliżu, ale nie widziałem nic oprócz białej piany pochodzącej z bryzgania bałwanów o skały. Wcisnąłem się w kąt pod schody od kajut, i oczekiwałem dnia lub śmierci.

Powoli zaczęło się rozwidniać, a jednocześnie burza słabła i chociaż wstrząsała nieraz mocno moją połową okrętu, nie ruszyła jej z miejsca. Przed samym wschodem słońca, wicher i morze, jakkolwiek huczały sobie jeszcze na dobre, pozwoliły mi rozróżnić i inne jeszcze łaskoty oprócz swego własnego. Usłyszałem mianowicie, wtulony w mój kąt, że coś tłukło i tarło się o mój szczątek okrętu od strony wiatru. Gdy słońce zeszło, wydrapałem się w górę, i poznałem, co to było.

Pierwszy rzut oka poza parapet przekonał mię, że łaskot ten sprawiała główna łódź, na której nie-szczęśliwi moi koledzy oficerowie wraz z załogą puścili się byli na morze, gdy okręt uderzył o rafę. Łódź przewrócona była dnem do góry — więcej nie potrzebowałem widzieć, ażeby być pewnym, że żywa dusza nie ocalała z tych wszystkich, którzy się na nią schronili.

Główny i trzeci maszt trzymały się jeszcze. Wdrapałem się na ten ostatni, i o milę morską od okrętu, poza rafą, ujrzałem niską, zieloną, skalistą wysepkę. W tej chwili, życie moje wydało mi się cenniejszem o parę szylingów. Wylazłszy jak mogłem najwyżej, zmiarkowałem, którądy rwał główny prąd wody, i gdzie mogło być wolne miejsce wśród rafy. Okręt rzucony burzą przesunął się był, jak spostrzegłem, przez najgorszą część szkopułów, a morze między mną i wysepką, jakkolwiek łamało się i pienilo miejscami, człowiekowi i bez tego zgubionemu nie wydawało się nadto wzburzonem, owszem, nie mało szans było po mojej stronie pod warunkiem, że mi się uda spuścić do wody najmniejszą łódź, która jeszcze wisiała u ściany okrętu. Starałem się spamiętać dobrze drogę

wiodącą wśród raf do wysepki, i zląłem na pokład dla obejrzenia, co się da zrobić z łodzią.

Ledwie dotknąłem nogą pokładu, usłyszałem jakieś stukanie i pukanie od strony kajuty. Zdziwienie moje było z początku tak wielkie, że nie mogłem ruszyć się z miejsca ani wydobyć głosu z piersi. Dotychczas przez myśl mi nie przeszło, by ktokolwiek mógł być zostać na okręcie oprócz mnie jednego — teraz błysła mi nadzieja, że nie jestem osamotnionym. Ocknąłem się, i zszedłem na dół.

Stukanie dawało się słyszeć z kajuty sypialnej, której drzwi zaskoczyły były tak, jak zatrzasnęła się była moja szuflada.

— Kto tam? zawołałem.

Słaby, stłumiony głos odpowiedział mi przez dolny otwór, zostawiony w drzwiach dla przystępu powietrza do kajuty. Po poprzewracanych sprzętach głównej kajuty, dostałem się do drzwi, i przez otwór zobaczyłem — niebieskie okulary pana Lawrence Clissold, wyglądające uwolnienia.

Niech mi Bóg przebaczy, ale między wszystkimi, którzy znajdowali się wraz ze mną na statku, nie było ani jednego, którego bym nie był wołał widzieć żywego, zamiast p. Clissold. Z całej załogi my dwaj, najmniej przychylnie dla siebie usposobieni, sami jedni byliśmy ocalonymi!

Z mojej strony, łatwiej było podważyć drzwi, niż z środka — to też uwolniłem go w pięciu minutach z jego przypadkowego więzienia. Już przez otwór uczułem był mocną woń spirytusu, teraz zaś, zobaczwszy go, zrozumiałem, z kąd woń ta pochodziła. Obok jego łóżka stała otwarta skrzynka z fiaszkami, dwie fiaszki wypróżnione i stłuczone leżały na ziemi, a p. Clissold sam był pijany.

— Co to się dzieje takiego z tym okrętem? — pytał mnie, z trudnością mieląc językiem, ale z mocno nasrożoną miną.

— Zobaczysz pan sam, odpowiedziałem, i biorąc go za barki, wyciągnąłem go po schodach na pokład. Liczyłem na to, że widok, który się tam przedstawi jego oczom, wytrzeźwi go, i nie pomyliłem się bynajmniej. Upadł na kolana i oniemiał z przerażenia.

Podniosłem go i oparłem o poręcz od schodów, w oczekiwaniu, by mu świeże powietrze przywróciło użytek zmysłów. Widocznem było że od wielu dni pił, zamknięty w swojej sypialnej kajucie, przypomniałem sobie bowiem teraz, że od czasu jak się zerwała burza, nikt z nas nie widział go na pokładzie. Gdy okręt uderzył o rafę, musiał być nieprzytomnym, a gdyby nawet był trzeźwym nie byłby mógł wydobyć się z kajuty ani dowołać się pomocy wśród łoskotu i zamieszania. Ja sam, gdyby burza nie była ustała, nie byłbym go słyszał, gdy się zbudził rano i usiłował uwolnić się. Był on wprawdzie moim nieprzyjacielem, ale miał parę ramion, i z tego powodu wart był dla mnie swoją wagę złota w położeniu, w jakim się znajdowałem. Przy jego pomocy nie było wątpliwości, że zdołam spuścić łódź do morza. Za pół godziny przygotowałem wszystko co było potrzebnem do tej czynności, a p. Clissold wytrzeźwił się tymczasem o tyle, że pojął, iż życie jego zawisłem było od wypełnienia moich poleceń.

Niebo jeszcze było pochmurnem, i nie rozjaśniało się z żadnej strony, owszem, od strony wiatru, chmury gęstniały powoli ale widocznie. Agent zrozumiał, co chciałem powiedzieć, wskazując ręką w tę stronę, i pomagał mi chętnie we wszystkim. Nagromadziłem był poprzednio w łodzi taki zapas solonego mięsa, sucharów i wody do picia, jaki mogłem, oprócz tego włożyłem tam busolę, latarnię i parę świec, i wziąłem kilka pudełek z zapalnikami do kieszeni. W ostatniej chwili pomyślałem o broni palnej. Znalazłem proch i śrót, z broni zaś nie odkryłem innej, oprócz starego skałkowego pistoletu w kajucie kapitana, któ-

rym musiałem się kontentować, aby nie tracić czasu na dalszem szukaniu. Pistolet leżał na skrzynce z lekarstwami, którą zabrałem także, bo dała się łatwo transportować i mogła być przydatna. Po tych przygotowaniach spuściliśmy łódź po pochyłości pokładu w tę stronę, w której zatonała przednia część okrętu. Wziąłem wiosła do ręki, poleciłem p. Clissold ażeby siedział spokojnie w łodzi i puściłem się ku wysepce.

Parę razy nie wiele brakowało, byśmy utonęli, i to nim zdołałem oddalić się o dwieście kroków od szczytków okrętu. Na szczęście, agent oswojony był z żegluga tego rodzaju, i chociaż mu wódka jeszcze nie ze wszystkim była wyszumiała z głowy, miał tyle rozumu, że siedział cicho. Udało mi się wpłynąć w przesmyk między rafami, który zauważałem był z wierzchołka trzeciego masztu, a potem już mi nie trudno było dobić do brzegu.

Wyładowaliśmy w małej piaszczystej przystani. Agent od chwili gdyśmy opuścili okręt, nie przemówił był do mnie ani słowa, ani ja do niego. Teraz powiedziałem mu, ażeby mi pomógł wynieść zapasy na ląd, i złożyć je w pierwszym lepszym miejscu odpowiedniem, które znajdziemy. Wstrząsł się, popatrzył na mnie dziko, ale posłuchał. Znaleźliśmy opodal od brzegu niewielką wklęsłość, zasłoniętą od strony wiatru, i tam kazałem mu złożyć zapasy, podczas gdy sam poszedłem rozglądać się po wysepce.

Cały ten kawał ziemi, o ile mogłem ocenić na oko, miał milę (angielską) rozciągłości, a około trzy mile obwodu. Oprócz wysokich i gęstych burzanów i traw, rosły tam tu i ówdzie kupkami krzewy i inne małe rośliny, drzew nie było widać wcale, ani istot żyjących, ani też śladu wody przydatnej do picia.

Z małego wzgórza rozglądałem się na wszystkie strony, czy w oddaleniu nie zobaczę innych wysp, może zamieszkanych, ale z powodu pochmurnego nie-

ba i mglistego powietrza nie bardzo daleko mogłem sięgnąć wzrokiem. Znaleźliśmy się tedy na miejscu zupełnie pustem i nie dostarczającym najmniejszych środków do zaspokojenia głodu — daleko od drogi, której zwykły trzymać się statki. Gdym pomyślał, jak mały zapas żywności przywiozłem z sobą, począłem powątpiewać, czy nie zamieniliśmy po prostu śmierci w falach na śmierć głodową. Z tego powodu powziąłem rozpaczliwy zamiar powrócić do czółna i dopłynąć na niem raz jeszcze do okrętu — zamiar, jak powiadam rozpaczliwy, bo od strony wiatru podnosiły się coraz gęstsze i czarniejsze chmury, wiatr wzmagał się, i wszystko wskazywało, że zanosi się na nową i gwałtowniejszą jeszcze burzę.

P. Clissold, gdy go mijałem wracając do czółna, uporządkował już był nasze zapasy i nakrył je płachtą ceratową, którą wziąłem był z okrętu. Gdym zaglądnął do dołu, w którym znaleźliśmy schronienie, widziałem, że dobywał z kieszeni flaszkę wódki. Musiał on ją być wziąć z sobą, gdy go uwolniłem z kajuty.

— Utopisz się pan, i będę miał podwójny zapas żywności dla siebie — odpowiedział mi, gdy go zaawiadomiłem, że wracam do okrętu.

— Tak — odparłem — będziesz pan miał podwójny zapas, i umrzesz pan z głodu i z pragnienia, gdy się wyczerpie.

Straszna rzecz pomyśleć, że nawet w tem opłakanem położeniu żaden z nas nie mógł z drugim rozmawiać po ludzku!

Wsiadłem w czółno i puściłem się w drogę, ale gdy dopłynąłem do miejsca, gdzie woda łamała się o rafy, spostrzegłem, że już było zapóźno. Uragan zbliżał się, okręt ujęty był już w jego straszne objęcia. Obróciłem czółno i rozpocząłem odwrót, ale gdy dotarłem do końca rafy, dognała mnie burza. W okamgnieniu balwan morski zalał czółno wodą, i wypłu-

kał mię w morze. Prąd wody spieniony, z gwałtownym impetem tłukący o skały, porwał mię i uniósł. Dałem nurka, ale na szczęście moje fala bijąca w tej chwili o skałę wróciła się i rzuciła mię na brzeg wysepki. Miałem jeszcze akuratnie tyle siły, że rękami i nogami wryłem się w piasek, i gdy fala wróciła znowu, posunęła mię trochę, ale nie uniosła na głębinę. Nim wróciła po raz trzeci, uszedłem jej i na wpół omdlały, znalazłem się w bezpiecznym miejscu.

Gdy wróciłem do dołu, w którym przed odpłynięciem zostawiłem był moje suknie, aby ich nie przemoczyć, zastałem p. Clissolda skulonego w najsuchszym miejscu, i nakrytego płachtą.

— O, zawołał zdziwiony, więc pan nie utonąłeś?

— Nie, odparłem, nie będziesz pan miał podwójnej porcji.

— Ileż dostanę? zapytał zaniepokojony.

— Połowę wszystkiego, co mamy.

— Jakże długo wystarczy mi to do życia?

— Żywność, jeżeli pan będziesz miał na tyle sensu, by ją uzupełniać korzonkami które pan znajdzie na tej nędznej wyspie, wystarczy zaledwie na trzy tygodnie — a woda, jeżeli się pan zdecydujesz pić wodę, na dwa tygodnie najwięcej.

P. Clissold, usłyszawszy to, wyjął znowu flaszkę z kieszeni, i przytknął ją do ust.

— Przemarzęłem do szpiku kości, rzekłem, wskazując mu giestem, by mi się dał napić parę kropel.

— A mnie ciepło, do szpiku kości, odparł śmiejąc się i podał mi flaszkę wypróbną do dna. Porwałem ją i rzuciłem na bok, ażeby nie uleść pokusie rozbicia mu jej o jego głowę. Zaglądnąłem do skrzynki z lekami, w nadziei że znajdę tam flakonik z miętówką, albo coś podobnego, aby mię ogrzało. Były tam tylko trzy flaszeczki, obwiązane ceratą, jedna z

nich zawierała jakiś biały lek, rozpuszczony w spirytusie, a w dwóch drugich były proszki. Przeszukawszy atoli lepiej kryjówki w skrzynce, znalazłem na koniec flaszeczkę oplataną. „Ginger-Brandy“ (wódka imbirowa) stało na niej, i była pełna! Szczęśliwe to odkrycie sprawiło, że nie roztrząsałem się w kawałki od silnego dreszczu, który mię przejmował po mimowolnej kąpieli w falach. Łykawszy nieco płynu, który wlał we mnie nowe życie, schowałem flaszeczkę do kieszeni, podczas gdy p. Clissold przypatrywał mi się cheiwie, ale milczał.

Przez cały ten czas deszcz lał, wiatr huczał i morze szalało, jak gdyby się zanośliło na drugi potop świata. Siadłem tuż koło ajenta, i wciągnąłem na siebie połowę płachty, bez względu na to, czy mu się to podoba. Nie podobało mu się, bo po wypiciu swojej flaszki, był w tym stanie na wpół pijanym, w którym człowiek irytuje się łatwo dla lada bagatelki. Niezadowolenie jego objawiało się mruczeniem i sarkaniem, na które nie zwracałem uwagi, póki nie przyszło mu na myśl podrażnić mię na nowo ową historją o naszym ojcu, która nas poróżniła pierwszego dnia naszej znajomości. Gdyby był nieco młodszym, boję się, że byłbym go zmusił do milczenia, nabijając mu guza na głowie. Ze względu wszakże na jego wiek i na niewłaściwość bójki w takich okolicznościach, powiedziałem mu tylko, że mu nabiję guza, jeżeli nie zamilknie. Poskutkowało to, jak gdyby był wykonał groźbę i rad jestem dotychczas że poskutkowało.

Byliśmy tak blisko jeden drugiego, że kiedy mrucząc układał się do snu i kiedy usnąwszy, począł chrapać, mruczał i chrapał mi prosto w ucho. Sen jego, jak sen wszystkich nałogowych pijaków, był niespokojny i przerywany. Zgrzytał zębami, i mówił we śnie. Między słowami, które mruczał, dosłyszałem wyraźnie nazwisko naszego ojca. Gniewało mię to,

ale nie dziwiło, bo pamiętałem, że mówił o ojcu, nim usnął. Gdy jednak obok tego nazwiska, powtarzał ciągle słowa: „pięćset funtów“, rozciekawilem się i starałem się usłyszeć co więcej, ale nadaremnie, bo mruczał zbyt niewyraźnie.

Gdy się zbudził, powiedziałem mu wprost, że mówił we śnie, i to zelektryzowało go niepospolicie.

— O czym mówiłem? zapytał.

— O moim ojcu, i o pięćset funtach, i radbym wiedzieć, jakim sposobem pan mieszasz jedno z drugim?

— Nie mogłem tego mięszać, odparł szybko, nie nie wiem o tem. Taki człowiek, jak pański ojciec, w życiu swoim nie posiadał tak wielkiej sumy, jak sądę.

— Sądysz pan? Otóż powiem panu, że ojciec mój posiadał właśnie tę sumę, gdy był w moim wieku, i zachował ją, a następnie zostawił ją mojej matce, która jest teraz w jej posiadaniu. Jeszcze raz pytam się pana, zkąd pan, człowiek nieznajomy, możesz to wiedzieć i mówić o tem we śnie?

— Czy to było jedynym spadkiem, jaki zostawił ojciec pański po zapłaceniu swoich długów? zagadnął, zamiast odpowiedzi na moje pytanie.

— Czy pan jesteś bardzo ciekaw dowiedzieć się tego?

Nie uważał on wszelako na to, co mówiłem, i powtarzał ciągle swoje pytanie:

— Pański ojciec zostawił pięćset funtów, ani mniej, ani więcej, czy tak?

— Dajmy na to, i cóż z tego?

— O, nie, odparł, i obrócił się, chichocąc.

— Jesteś pan pijany! zawołałem.

— O tak, trzymaj się pan tej myśli, jestem pijany! I zachichotał znowu pod nosem.

Wszelkie usiłowania i groźby moje zostały bezskutecznymi, nie mogłem ani słowa więcej wydobyć

z niego co do tych pięćset funtów. Sprawa ta utkwiała mi wszelako w pamięci, jak bowiem powoli i z trudnością przychodzi mi pojąć cokolwiek, tak też znowu nie łatwo zapominam, co mię raz uderzyło, i rozmyślałem nad tem ciągle, ile razy mam czas po temu.

Tak płynęły godziny, a burza wyła sobie w najlepsze. Jedliśmy, gdy nam głód dokuczał — a mnie dokuczał więcej niż jemu — spaliśmy, mruczeliliśmy, klóciliśmy się i w ten sposób przerywaliśmy sobie nudy nawzajem. Nad ranem wiatr zmniejszył się, i gdy wyszedłem z dołu, spostrzegłem, że niebo zaczynało wyjaśniać się od zachodu. W ciągu tej długiej nocy jeszcze uważałem, że tu i owdzie gwiazdy pokazywały się nad nami, i niknęły, w miarę jak rozwierały się chmury i zsuwały się znowu. O świcie usnąłem na nowo, wiatr ustał był prawie zupełnie, i jeszcze tylko morze wełniło się i huczało wściekle. O ile mogłem wnosić, burza sterła była już własne swoje siły na teraz, i zamierzała spocząć.

Byłem tak przezornym, wiedząc kogo mam koło siebie, że położyłem się na tym boku, pod którym miałem flaszczykę z wódką w kieszeni na piersiach. O wschodzie słońca zbudziła mię ręka ajenta, który usiłował wykraść mi flaszczykę. Pchnąłem go tak, że poleciał pomiędzy skrzynki i baryłki z zapasami, ale byłem o tyle ludzkim, że pomogłem mu dźwignąć się potem na nogi.

— Słuchaj pan, rzekłem, gdybyśmy zostali razem, nie wytrzymałibyśmy w tak niemiłym towarzystwie. Jesteś pan starszy odemnie, zostań pan tedy tutaj, gdzie już wiemy, że można mieć jakie takie schronienie. Podzielimy się zapasami, a ja pójdę i ulokuję się na drugim końcu wyspy. Czy zgadzasz się pan z tem?

— Tak, odparł, i czem prędzej, tem lepiej.

Zostawiłem go samego na chwilę, i poszedłem popatrzeć ku rafie, na której się rozbiliśmy. Belki i deski, wyrzucone na brzeg, lub pływające w dali wśród białej piany morskiej, oto wszystko, co zostało ze statku „Peruvian”. Przysnam się, że serce ścisnęło mi się w piersiach, gdy spojrzałem w stronę, w której okręt uderzył był o skałę, i gdy nie ujrzałem nic, oprócz nieba i wody.

Daremne było wszakże stać i patrzeć. Wolałem rozerwać ciężkie myśli zajmując się czemś. Wróciłem do ajenta, i podzieliłem na dwie równe części wszystkie zapasy, nie wyjmując nawet zapalek. Jedną z tych części dałem mu do wyboru. Zostawiłem mu także całą płachtę, a natomiast wziąłem skrzynkę z lekami i pistolet, który nabiłem prochem i śrutem, w nadziei, że ubiję jakiego ptaka morskiego. Gdyśmy uskutecznił podział, i gdy odniosłem precz moją część zapasów, przyszło mi na myśl, że byłoby nieludzką rzeczą chować złość w sercu teraz, gdyśmy postanowili rozejść się. Byliśmy na pustej wyspie, i według wszelkiego prawdopodobieństwa, za trzy tygodnie czekała nas śmierć niechybna — ale z tego nie wynikało, byśmy nie mieli uprzyjemnić sobie ile możliwości tę resztę życia. Rozmyślałem nad tem długo, dzięki mojej trudności pojmowania rzeczy nie mających związku z żeglugą morską, ale nakoniec powziąłem tę decyzję, i przystąpiłem do jej wykonania.

— Podajmy sobie ręce przed rozstaniem, rzekłem ajentowi.

— Nie, odparł, nienawidzę pana.

— Niech i tak będzie, rzekłem, i takeśmy się rozeszli.

Zostawiłem mu zachodnią część wyspy, a sam udałem się na południowy wschód, gdzie łąd wyspy najwyżej wznosił się nad morzem. Tu znalazłem rodzaj jaskini w skałę i zniósłem tam moje zapasy, za-

tykając wejście kamieniami i trawą. W Anglii wstydzilibym się być psa umieścić w takiej dziurze, ale kiedy człowiek widzi przed sobą dni swoje policzone, bywa mniej wybrednym co do mieszkania.

Gdy skończyłem moją robotę, niebo wypogodziło się było zupełnie, słońce świeciło pięknie i było już popołudniu. Wyszedłem na szczyt skalistego wzgórza, pod którem wybrałem sobie był mieszkanie, rozpatrzeć się w okolicy. Od północy, wschodu i zachodu nie widziałem nic, oprócz nieskończonej przestrzeni morza, od południa atoli, teraz gdy mgła ustąpiła, widziałem jakiś łąd, wysoki, i na oko, oddalony odemnie o siedm do ośmiu mil morskich. Czy to była wyspa, czy łąd stały, nie mogłem rozpoznać, na wszelki wypadek musiał to być spory kawał ziemi, skoro widziałem go w takim oddaleniu, i musiały znajdować się tam żyjące istoty. Gdybym był nie stracił czołna przy usiłowanym powrocie na okręt, mógłbym być z łatwością dopłynąć do tego łądu. Obecnie atoli, było mi obojętne, czy ziemia znajduje się w pobliżu, czy nie — oprócz szczątków okrętu, które woda wyrzuciła na brzeg, nie miałem innego drzewa, a oprócz tego, brak mi było narzędzi, przy których pomocy dałoby się było zrobić czołno. Zostawała mi więc jako jedyna pociecha, słaba nadzieja, iż okręt jaki zawita w te strony. Ażebyśmy mogli skorzystać z takiego wypadku, wyszukałem na brzegu najdłuższy kawał drzewa, jaki mogłem znaleźć i wetknąłem go w ziemię na szczycie wzgórza, przywiązawszy do niego poprzecznie, na kształt flagi, jedyną koszulę, którą posiadałem. Wśród tej czynności spostrzegłem ku wielkiej mojej radości, że we wklęsłościach kamieni i skał na wyspie nazbierało się było nie mało deszczowej wody, co pozwalało nam oszczędzić nasz zapas i zachować go na później. Uważałem za rzecz godziwą, zawiadomić o tem ajenta, i dlatego też, zatknąwszy chorągiew, udałem się na

jego terytorjum. Nie pokazałem mu się, i zawołałem tylko z daleka, że odkryłem wodę.

— Zostań pan po swojej stronie — to były jedyne słowa, któremi podziękował mi za moją grzeczność. Wróciłem tedy do mojej jaskini, zadowolony, iż pozbyłem się jego towarzystwa, i w nocy nawet parę razy budziłem się z uczuciem swobody, iż nie było koło mnie p. Lawrence Clissold.

Ażeby nie stracić rachuby czasu, wiązałem co dnia węzełek na kawałku sznurka. Podług tego kalendarza, pobyt nasz na odludnej wyspie trwał już tydzień, i każdy z nas zostawał na swoim terytorjum, nie komunikując się z drugim. Pierwszą połowę tego czasu przepędziłem na łamaniu sobie głowy co do sposobów wydobywania się z p. Clissoldem z tego opłakanego położenia. Najpierw marzyłem o tem, czy nie da się zrobić tratwa z szczątków okrętu, wyrzucanych na brzeg wyspy, gdybym je powiązał sznurami ukręconymi z długiej trawy, rosnącej w koło. Na nieszczęście, nie znalazłem i sześciu kawałków drzewa, przydatnych do tego celu, a gdybym ich był nawet znalazł ilość dostateczną, szczupły zapas pożywienia nie byłby mi dał ani czasu, ani siły do zrobienia tratwy dość dużej, by uniosła dwóch ludzi. Potrzeba było zaniechać tego pomysłu, i zaniechałem go z żalem. Drugim sposobem było utrzymywać co nocy ogień nad brzegiem, w nadziei, że albo spostrzeże go jakiś okręt, albo też, w razie gdyby oddalenie nie było zbyt wielkiem, dostrzegą go mieszkańcy lądu, ciągnącego się na południu. Myśl ta była praktyczną i mogła wejść w wykonanie, skoro szczątki okrętu wyschną dostatecznie. Wyszły do tygodnia, bo albo skończyła się już pora deszczów w tych stronach, albo też wiatr stale zmieniał się na zachodni — bądź co bądź, dzień po dniu niebo było pogodnem a słońce piekło nieznośnie. Trawa na wyspie uschła, ale na nieszczęście, wyschła także woda w wydrążeniach

skał. Ponieważ zaś nieszczęścia chodzą zwykle gromadami, tego samego dnia odkryłem także, że pomyliłem się w rachubie co do zapasów żywności. Przy największej oszczędności, i gdybym się żywił głównie korzonkami, jakie znachodziłem na wyspie, zapas mój mógł wystarczyć mi jeszcze tylko na drugi tydzień, a w tym samym czasie widocznem było, że skończy się także i zapas wody do picia, pod warunkiem, że nie wypiję dziennie więcej jak pół kwarty.

Smutne to były widoki, zdaje mi się jednak, że nie tyle one przygnębiły mój umysł, ile to, że nie miałem nic do czynienia. Oprócz zbierania drzewa na brzegu i zapalania ognia wieczorem, nie miałem innej czynności, któraby mię mogła rozerwać. Starałem się myśleć jak najmniej o domu i o rodzinie, ażeby ze wszystkim nie upaść na duchu, i wytrwać mężnie do ostatka. Dla tej samej przyczyny, odpychałem wszelką nadzieję ocalenia, jako złudną. Ale o czemże miałem myśleć? Nie zostawał mi żaden inny przedmiot, oprócz mego towarzysza niedoli. Co za dziwne zrzządzenie losu, że nas sprzął razem w ten sposób!

Rozmyślałem o słowach, które wyrzekł był we śnie. Rozmyślałem, jak sobie radzi w samotności, i jak mu się podoba to, że nie ma nic do picia, oprócz wody, a i tej nie wiele; jak sobie dzieli zapasy żywności, czy sypia, czy mało, czy widuje nocami mój ogień, czy trzyma się lepiej odemnie, czy radby był widzieć mię, gdybym przyszedł pojednać się z nim, i наконец, który z nas pierwsi umrze, a gdybym ja umarł pierwszy, czy zrobiłby dla mnie to, co jabym zrobił dla niego, to jest, czy pogrzebał by mię ostatkiem sił swoich? Wszystko to snuło mi się po głowie tak, że dłużej wytrzymać nie mogłem. Osmego dnia rano, poszedłem na jego terytorjum, czując iż przyniesie mi to ulgę, jeżeli go zobaczę i usłyszę, choćbyśmy mieli kłócić się znowu.

Wyszedłem z jaskini na wzgórze, i dostawszy się tam, ujrzałem ze zdumieniem, iż supercargo szedł ku mnie, i błądził w trawach na mojem terytorjum, nie mogąc mię znaleźć.

Był on tak zmienionym, że cofnąłem się ze zdziwienia, spojrzawszy na niego. Postarzał się był o ośm lat w ośmiu dniach, skóra obwisała na chudych jego policzkach, a niebieskie okulary zsunęły mu się były na koniec nosa. Oczy podbiegły krwią i przybrały wyraz dziki, usta miał czarne a nogi drżały pod nim. Gdy mię ujrzał, przystąpił do mnie z roziskrzonym wzrokiem, i sięgnął obiema rękami do kieszeni na moich piersiach, z której usiłował być swojego czasu ukraść mi flaszkę z wódką.

— Czy masz pan jeszcze trochę? szepnął.

— Dwa łyki, mniej więcej, odparłem.

— Daj mi pan jeden, na miłość Boga, szepnął.

Dać mu łyk wódki znaczyło tyle, co dać mu jeden dzień z mojego życia. Gdyby było chodziło o człowieka, którego bym lubił, nie byłbym się wahał ani chwili, ponieważ atoli chodziło o p. Clissold, namyśliłem się, chociaż niewątpliwie byłoby rzeczą bardziej chrześcijańską, nie namyślać się wcale.

Sądził, że mu odmówię, i oczy jego przybrały wyraz chytry.

— Słuchaj pan, szepnął mi w ucho, opierając się obiema rękami na moich barkach — daj mi pan kroplę wódki, a opowiem panu wszystko co wiem o pańskim ojcu i o jego pięciuset funtach.

Zdecydowałem się dać mu, czego żądał, i wyjąłem flaszkę. Wziąłem go za rękę, i nalałem w dłoń tyle wódki, ile się zmieściło, ale nie puściłem ręki.

— Powiedz pan wprzód, co masz do powiedzenia, a napijesz się pan potem.

Rozglądał się w koło, jak gdyby kto mógł podsłuchać nas na tej wyspie.

— Pst! rzekł, mówmy po cichu o tej sprawie.

Mimo tego ostrzeżenia, zapytałem go podniesionym głosem:

— Co pan wiesz o tych pięciuset funtach?

— Są to... kradzione pieniądze, szepnął jeszcze ciszej, niż poprzednio.

Puściłem jego rękę i stanąłem skamieniały, podczas gdy on, jak dziki zwierzę głodny na kawałek kości, rzucił się na wódkę, i wylizawszy ją chciwie, patrzył na mnie, jak gdyby prosił o więcej. W twarzy mojej atoli było coś, co przeraziło go śmiertelnie. Nim zdołałem ruszyć się albo przemówić, upadł na kolana, i począł jęczeć i wic się w trawie przedemną.

— Nie zabijaj mię pan! wołał. Ja umieram... chciałbym pomyśleć o zbawieniu mojej duszy... chciałbym żałować, póki mam czas jeszcze...

Zaczawszy od tego, stękał strasznie, tarzając się w trawie, prosząc co chwila o jedną jeszcze kroplę wódki, i prawiać od rzeczy. Zdawało mu się, że jesteśmy w Anglii, i z jego jęków, z jego prośb o wódkę, i z tego, co plótł bez związku, zebrałem słowa, które spisałem na tym kawałku papieru, i z których ledwie dziesiąte zostało niestartem.

Najpierw wyrozumiałem, że żyje ktoś, kogo nazywał starcem, że mieszka w Lanrean, że miałem udać się do tego miejsca, i wypytać się tamtejszych starszych mieszkańców o niejakiego p. Tregarthen.

(Gdym wymienił to nazwisko, Alfred przerwał mi nagle moje opowiadanie, kazał mi powtórzyć parę razy ostatnie moje słowa, i wówczas po raz pierwszy opowiedział mi, że się kocha, i na jakie trudności napotkało jego małżeństwo. Pomówiliśmy dłuższy czas o tej kwestji, poczem ciągnąłem dalej moją historję w ten sposób:)

Otóż, z bałamutnych słów Clissolda wynikało, że mam iść do Lanrean, wypytać się o Tregarthena, i powiedzieć mu: „Clissold był sprawcą, Clissold nie

miał złego zamiaru, Clissold żałował za winę jako chrześcijanin, dla zbawienia swojej duszy.“ Nie! Miałem powiedzieć jeszcze coś więcej Tregarthenowi. Miałem mu powiedzieć: „Zagłównij do ksiąg, obacz kartkę o której wiesz, i przekonaj się, że nie jest to kartka, która tam być powinna.“ Nie! Miałem mu powiedzieć jeszcze co innego, Miałem mu powiedzieć: „Prawdziwa kartka jest schowana, ale nie spalona. Clissold miał czas na wszystko inne, ale nie miał czasu spalić kartki, bo Tregarthen wszedł do pokoju właśnie gdy on zapalał świecę, Clissold miał zaledwie czas wpuścić kartkę w wielką szparę, która znajdowała się w pulcie, a potem firma wysłała go w drogę, i nie miał już sposobności wykonania zamiaru.“ Nie! wołał znowu, niechajbym nie mówił Tregarthenowi nic z tego wszystkiego. Niechajbym mu powiedział tylko: „Zagłównij do pulpitu Clissolda, a jeżeli potępisz kogo, potępiaj tego skapca, Raybrooka, który go popchnął do tego czynu.“ I — ach, jeszcze kroplę wódki, na miłość Boga, jeszcze kroplę!

Tak plółt bez końca, póki ja nie odzyskałem głosu, i nie kazałem mu przestać.

— Wstań pan, i ruszaj, zawołałem. Idź pan na swoją stronę wyspy, albo zrobię panu co złego, mimo mojej woli.

— Daj mi pan kroplę wódki, a pójdę.

Rzuciłem mu flaszeczkę, którą porwał z rykiem, i odwróciłem się, bo nie mogłem dłużej patrzeć na niego. Wróciłem do mojej jaskini.

Usiadłem na piasku, i starałem się uspokoić o tyle, ażebym mógł myśleć o tem wszystkiem, co słyshałem. Gdy mi się to udało, rozważyłem przede-wszystkiem, że ojciec mój nie mógł nigdy uczynić nic niezgodnego z charakterem uczciwego człowieka. Powtóre, byłem pewnym, że nędzne stworzenie, z którem rozstałem się przed chwilą, nie było przy zdrowych zmysłach. Z tego wszystkiego, co widziałem u

pijaków na lądzie i na morzu, domyślałem się jego stanu. Wiedziałem, że człowiek, przez długie lata oddany pijaństwu, jeżeli mu się nagle odejmie możność zalewania się trunkami, upada raptownie na umyśle i na ciele. Słyszałem także, że lekarze okrętowi nazywali jakimś uczonym wyrazem szal, który napada opojów, kiedy to my prości ludzie w Anglii mówimy o nich, że dostali „horrorów“. Po niejakiem namyśle, zrobiłem wniosek, że widziałem ajenta w pierwszym z tych okresów choroby, i że wkrótce, jeżeli nam nie nadejdzie jaka niespodziana pomoc, ujrzę go w drugim. Natomiast, usiłowałem nadaremnie rozróżnić, co było majaczeniem, a co prawdą w tem wszystkiem co naplótł, jakoteż, co mogło znaczyć to, co zdawało się prawdą. Tepe moje pojęcie stało mi tu na zawadzie, i tam, gdzie człowiek bystrzejszego umysłu byłby się zorjentował od razu, ja medytowałem bez skutku do samego wieczora. Jedyńą decyzją, na którą się zdobyłem, było to, że mając przy sobie puzderko z przyborami do pisania, które mi darowała matka, spisałem dla własnej pamięci wszystko, co słyshałem z ust Clissolda, i postanowiłem w razie gdyby mi cud jaki zaprowadził z powrotem do Anglii, wyjaśnić całą sprawę, a jeżeli temu staremu człowiekowi lub komukolwiek innemu stała się krzywda w imieniu naszego ojca, chociaż z pewnością bez jego wiedzy, więc postanowiłem postarać się o jej naprawienie.

Przez cały ten dzień nie widziałem już więcej ajenta, a spisawszy moją notatkę, przepędziłem noc w walce z przykrą samotnością i z mojami własnymi myślami. Wspomnienie słów, zawartych w testamentie ojcow-skim, iż pewnego czasu ryzykował był ową sumę pięciuset funtów, którą zostawił matce, budziło we mnie domysły i podejrzenia, których się wstydzilem. O wschodzie słońca miałem takie uczucie, jak gdybym miał sam wpaść w delirjum, i wyszedłem na przechadzkę dla orzeźwienia się świeżem powietrzem.

Trzymałem się północnej strony wyspy, chodząc tam i nazad przez godzinę. Następnie wróciłem do mojej jaskini, i zbliżywszy się do niej, spostrzegłem oprócz moich, ślady innych stóp na piasku. Powziąłem podejrzenie, że agent podpatrzywszy mnie, zaszedł do mojego mieszkania i próbował kraść znowu.

Obejrzałem najpierw moje zapasy. Żywności nie ruszył, ale wodę albo wypił, albo wylał, bo nie było jej już i pół kwarty. Skrzynka z lekami była otwarta i brakowało w niej flakonu, który zawierał medycynę rozpuszczoną w spirytusie. Następnie spostrzegłem, że nie było pistoletu, nabitego prochem i śrutem, na ptaki, które jakoś nie nadlatywały. Po tem odkryciu, nie było nic innego do czynienia, jak pójść czempredziej i odebrać pistolet.

Puściłem się w pogoń za nim, ku zachodowi. Poranek był prześliczny i jasny, i kiedy przebiegałem wyspę, patrząc na prawo i na lewo za zbiegiem, stanąłem nagle — wszystka krew zbiegła mi do serca. Wyteżyłem wzrok z niedowierzaniem, ale nie mylił mnie — hen, na zachodzie, jak mi Bóg miły, płynął okręt, z żaglami rozpuszczonemi, jaśniejącemi w blasku słońca!...

Zapomniałem w tej chwili o mojej pogoni, i jak mogłem najprzedziej, popędziłem ku wzgórzu. Zebrałem drzewo, którego miałem podostatkiem, i za pomocą suchej trawy, roznieciłem ogień. Był to jedyny znak życia, jaki mogłem dać okrętowi w tem oddaleniu. Ognia nie pozwalało wprawdzie widzieć ztamtąd światło dzienne, ale dym wznoszący się w czarnych kłębach na jasnym widokregu musiał wpaść w oczy załodze, jeżeli miała straż na maszcie.

Gdy jeszcze rozniecałem ogień i cały byłem zajęty tą pracą, usłyszałem tuż za sobą głos agenta, który zbliżył się był do mnie ukradkiem. Popatrzyłem na niego — wywijając rękami w powietrzu i powtarzał sam do siebie:

— Okręt! Widzę okręt!

Za chwilę, zbliżył się do mnie, z miny jego wiadać było, że wypił był spirytus, i to go trochę zstaurowało. Prawą rękę trzymał za sobą, jak gdyby coś ukrywał. Podejrzywałem, że był to pistolet.

— Czy okręt przypłynie tutaj? rzekł.

— Przypłynie, jeżeli zobaczą dym, odparłem nie spuszczać go z oka.

Zatrzymał się i zmierzył mnie podejrzliwie wzrokiem.

— Co ja panu powiedziałem wczoraj? zapytał.

— To, co tutaj spałem, odrzekłem, wskazując na kieszeń, w której miałem puzderko — i co zamierzam zbadać, jeżeli nas okręt spostrzeże, i jeżeli wrócimy do Anglii.

Z szybkością błyskawicy wyciągnął ku mnie prawą rękę, w której istotnie trzymał pistolet. Broń nie wypaliła. Bez namysłu przyskoczyłem do niego, wydarłem mu pistolet z ręki i wzniosłem go w górę, ażeby mu zgruchotać czaszkę. Namysliłem się wszakże i opuściłem rękę.

— Nie, rzekłem, zaczekam, aż nas okręt znajdzie.

Odskoczył odemnie i wpatrzył się w ogień. Tak stał chwilę i spojrzał znowu na mnie z jakąś szatańską myślą w głowie, która iskrzyła mu się z oczu przez jego niebieskie okulary, i wykrzywiła mu usta.

— P a n a okręt nie znajdzie! zawołał, i odszedł w swoją stronę wyspy.

Chciał on mi tylko pogrozić, ale słowa jego były złowieszczemi, i ziściły się niestety. Nadaremnie podniecałem ogień — nie wiem, czy widziano dym z okrętu, czy nie, ale nim dziesięć minut upłynęło po odejściu agenta, okręt minął wyspę, a za godzinę znikł z widokregu.

Wróciłem do mojej jaskini, o której teraz z większym niż kiedy prawdopodobieństwem mogłem powie-

dzieć że miała być moim grobem. Gorąco wysuszyło było wszelką wilgoć na całej wyspie, nie miałem już i szklanki wody do picia, a siły moje zniszczone były niedostatkami jada. Czułem, że mogę żyć najdłużej dwa dni. W moim wieku, była to myśl ciężka, bo zostawiłem w domu wszystko, co człowiekowi może życie czynić drogiem. Boleść moją zwiększało jeszcze to, co zaszło między mną a agentem. Teraz nie było już wątpliwości, że było wiele prawdy w tem, co napłótł w swojej gorączce. Tajemnica, z której mi się wypowiadał po części, musiała być prawdziwą, skoro w chwili pojawienia się okrętu, wykonał zamach na moje życie. W tajemnicę tę wmięszana była cześć naszego ojca — a oto ja, zamiast wyjaśnić ją, unosiłem ją z sobą do grobu!

Smutne te myśli, połączone z tą tęsknotą za domem, stały się przyczyną, iż dopisawszy u góry nad moją notatką to, co wyczytałem, wrzuciłem ją z flaszką w morze. Tonący ludzie chwytają się żdźbła trawy, a takim żdźbłem była dla mnie nadzieja, że zdarzy się to, co się zdarzyć może raz na tysiąc wypadków, to jest, że ktoś wyjmie z morza posyłkę i odda ją tobie. Nadzieja ta mogła być zawodną, ale bądź co bądź uczułem ulgę, gdy wypróżniłem jeden zflakonów znajdujących się w skrzynce z lekami, włożyłem weń papier, zakorkowałem go starannie szklaną zatyczką i owinałem szczelnie ceratą — poczem zachowałem to wszystko w kieszeni, ażeby wrzucić posyłkę w morze, gdy będę czuł, że koniec mój się zbliża.

Słońce zaszło pięknie, niebo było pogodne i w powietrzu panowała cisza zupełna. Powierzchnia morza była gładką jak zwierciadło. Nim noc rozpostarła swoje cienie, zjadłem więcej suchara i solonego mięsa niż zwykle, nie było bowiem już teraz powodu do oszczędzania żywności, skoro nie miałem wody. Gdy gwiazdy zabłysły na niebie, według zwyczaju nagromadziłem paliwo i roznieciłem ogień. Nie miałem już

nadziei, ale ogień zastępował mi miejsce towarzystwa, a trzask jego rozweselał mnie w samotności. Nie pojmuję, dlaczego tej nocy właśnie głucha, niczem nie przzerwana cisza miała dla mnie coś strasznego w sobie.

Księżyc wzniósł się wysoko na niebie, a światło jego rozlane było szeroko przedemną na piaskach nadbrzeżnych, na skałach, które wznosiły się nad niemi, i na spokojnej powierzchni morza. Myślałem o Małgorzacie, myślałem, czy księżyc świeci w tej chwili nad naszą małą zatoką w Steepways, i czy ona czuwa także i patrzy na morze. Wtem cień ludzki przesunął się po przed moje oczy. Agent znowu snuł się w pobliżu. Za chwilę stanął przedemną. Światło księżyca odbijało się od jego okularów i łysiny. Pochylił się u podnoża skały, podniósł duży kamień i na palcach podszedł z nim ku mnie. Pokazałem mu się znienacka, tuż obok ogniska, z pistoletem w rękę. Opuścił kamień i odskoczył na ten widok, cofając się ku morzu. Gdy już był nad wodą, począł wołać: — Okręt! Okręt! Okręt pana nie znajdzie! — Widocznie dwa te pojęcia utkwily mu w głowie: okręt, i zamiar zamordowania mnie, nim pomoc nadejdzie. Odszedł tą samą drogą, którą przyszedł, wołając ciągle te same słowa. Z kwadrans jeszcze słyszałem go szalejącego w ten sposób, aż na koniec znowu nastąpiła głucha cisza, i wróciłem do moich myśli o domu.

Myśli te nie opuściły mnie do zachodu księżyca. Sciemniło się na koniec, i cisza była coraz głuchszą. Od pół godziny, nie dolożyłem był drow do ognia, wstałem więc teraz, aby to uczynić, gdy nagle konające na niebie promienie księżyca w oczach moich zmieniły bladą swoją barwę, i stały się czerwonymi. Czarne cienie, niby chmury nisko płynące, pomykały jeden za drugim na tem tle jaskrawem. Powietrze zrobiło się gorącym, a w koło rozległ się szmer po-

dobny do zmieszanego z sobą szumu wiatru i morza, słyszanego z daleka. Oglądałem się — wyspa stała w płomieniach!

Ogień posuwał się od strony ajenta, jednym płomienistym wałem, zajmującym całą szerokość wyspy. Lekki wietrzyk zachodni niósł go w moją stronę. Jedną ręką tylko mogła być wzniecić ten pożar — ręka nędznego ajenta, który opuścił mnie przed chwilą, z szaloną groźbą na ustach i z zamiarem zabicia mnie w głowie. Po jego stronie wyspy, na około dołu, który mu zostawiłem na mieszkanie, suche trawy i burzany znajdowały się w takiej ilości, że do tej pory, spalić się już musiał na popiół w ich płomieniu!

Płomień ten zbliżał się do mnie z zatrważającą szybkością, liżąc chciwie uschłą roślinność wysypki. Miałem zaledwie czas skoczyć do jaskini, wypić ostatnią kroplę wody, która mi została, i wziąć resztę żywności, gdy już usłyszałem pryskanie mchu i trawy nad moją głową. Wybiegłem ku odłamowi skały, sięgającemu w morze, i schroniłem się pod nią — oddzielała mnie od ognia przestrzeń, na której nie mógł on znaleźć pokarmu, a ponieważ dym ciągnął górą, więc mogłem oddychać, położwszy się na ziemi. Zdziwisz się zapewne, że widząc przed sobą śmierć głodową tak blisko, usiłowałem ocalić się od śmierci w płomieniach? Odpowiem ci na to, że i mnie to zadziwia, tak wszakże było, a nie inaczej.

Płomień dotarł aż do urwiska, pod którym się skryłem i sięgał po za nie swoimi językami, jak gdyby mnie szukał. Gorąco stało się nieznośnem, a dym począł kłębić się niżej niż przypuszczałem. Leżałem z twarzą pochyloną nad wodą, osłabiony i wpół omdlały. Gdy podniosłem głowę, wysepka czerwona była od żaru, dym wznosił się nad nią smugami, a powietrze było piekącym. Uczułem szum w głowie i dzwonięcie w uszach, jakieś śmiertelne osłabienie, połączone z dreszczem, poczęło mnie owładać.

Wyjąłem z kieszeni flaszkę, zawierającą pismo, i wrzuciłem ją do wody, poczem oddaliłem się pełzając od brzegu, i upadłem bez przytomności. Przypominam sobie tylko, iż usiłowałem zmówić pacierz, iż słowa modlitwy płątały mi się w myśli, iż wzrok mój ściemnił się, a wraz z nim, znikła wszelka świadomość tego, co się działo ze mną.

Dniało, gdy obudziły mnie chropawe ręce, które mnie dotykały. Otworzyłem oczy — dokoła mnie, na skałach, w wodzie, i w dwóch długich czółnach, pełno było dzikich ludzi, nagich, ruchliwych, wznoszących gwar ogromny. Związali mnie i zanieśli na jedno z czółen. poczem wsiedli wszyscy i wzięli się do wiosel. Czółna ruszyły w kierunku ładu, który widziałem był na południu. Śmierć minęła mnie tedy raz jeszcze, a zamiast niej przyszła niewola.

Historja mego pobytu między dzikimi ludźmi nie ma żadnego związku z przedmiotem mojego opowiadania, i zbędę ją kilkoma słowami. Spostrzegli oni byli pożar wysepki, a zdjęci ciekawością, przyплыnęli zobaczyć, co się stało, i znaleźli mnie przy tej sposobności. Zaden z nich nie widział przedtem białego człowieka, oprowadzali mnie tedy po swoich osadach i pokazywali mnie sobie jako osobliwość. Gdy im się to sprzykrzyło, nie zabili mnie, bo przekonali się, że umiem nie jedno, co im mogło być pożytecznem. W niewoli mojej straciłem wszelką rachubę czasu, domyślałem się tylko, że zostawałem w niej lat dwa niespełna. Dwa razy usiłowałem umknąć, na czółnie, ale mnie schwytano. Prawdopodobnie, nikt w Anglii nie byłby mnie nigdy oglądał, gdyby nie przypadek, iż okręt angielski przybił do pustej wysepki, szukając wody, a nie znalazłszy jej, podpłynął ku ziemi zamieszkaney przez dzikich, która także była wyspą. Gdy mnie wzięto na pokład, sam nie wiele różniłem się od dzikiego człowieka — zapomniałem był prawie po angielsku. Dzięki troskliwości, jaką mnie otoczono,

przyszedłem do siebie, nim spotkaliśmy pierwszy statek, wracający do ojczyzny. Na ten statek przesadzo-
no mię, i wróciłem na nim do Falmouth.

R o z d z i a ł V.

R E S T Y T U C J A.

Kapitan Jorgan, wstawszy rano, wyszedł był na wieś i zabrał znajomość z wszystkimi jej mieszkańcami, biorąc ich do protokołu w sposób przyjacielski — ale nie dowiedział się nic nowego. Wracał tedy na śniadanie do oberży pod królem Arturem, gdy spostrzegł młodego rybaka, który szedł na jego spotkanie w towarzystwie jakiegoś obcego człowieka. Jeden rzut oka przekonał kapitana, że nieznajomy ten nie może być nikim innym, jak tylko owym żeglarzem, o którym tyle mówiono wczoraj wieczór. Chciał go już powitać jako kolegę, gdy bracia w milczeniu zatrzymali się przed nim, a kapitan wypatrzył się na nich uważnie.

— Ej, co to jest? zawołał. Jesteście podobni do siebie. Jesteście bardzo podobni! Co to jest? — Bracia nie odrzekli ani słowa, póki żeglarz nie wziął kapitana za prawą rękę, a rybak za lewą. Jeżeli kapitan od czasu swojego urodzenia nie miał dosyć sposobności oddawania się ulubionemu swojemu ćwiczeniu uściskania dłoni, mógł powetować to sobie tym razem. Po tej ceremonji, bracia zaczęli mówić, jeden, dwóch naraz, dziesięciu, dwudziestu naraz, biorąc miarę z szumu w uszach kapitana, i z tego jak mu trudno było zrozumieć, co mówili. Nakoniec wszelako opowiedzieli mu, w jaki sposób Hugon Raybrook uszedł śmierci, jako też, że człowiekiem, o którego przyszli wypytywać się w Lanrean, był sam p. Tregarthen.

— Kasia i ojciec jej, kapitanie — rzekł Alfred, sprowadzili się z Lanrean do Steepways po wyjeździe Hugona.

— Aj, aj, odparł kapitan, bijąc się ręką po nodze, teraz rozumiem! Więc twój brat nie zna przyszej swojej bratowej, nawet z imienia?

— Nie widział jej nigdy, i nie słyszał o niej.

— Aj, aj! Więc nie zostaje nam tedy nic, jak zabrać się z powrotem do Steepways, wziąć z sobą list i jego autora, i przypuścić Tregarthena do tajemnicy, którąśmy przed nim ukrywali?

— Nie ma innej rady, odparł Alfred. Musimy spełnić naszą powinność.

— Oczywiście! Podajcież mi rękę, jeden i drugi, i ułożymy to zaraz.

I tak, podczas gdy mroźny wiatr dał po kornwalijskim stepie, a w oberży stygło śniadanie, kapitan w towarzystwie obydwu braci ułożył plan dalszej akcji.

Plan ten opiewał, by jak najprędzej udać się do Barnstaple, i przejrzeć tam książki i papiery, złożone u notariusza — co zresztą postanowił był oddawna Hugon Raybrook na wypadek, gdyby wrócił do Anglii. Następnie dowiedziawszy się czego z tych papierów, lub nie dowiedziawszy się niczego, mieli wrócić do Steepways i udać się wprost do pana Tregarthen, opowiedzieć mu wszystko, zobaczyć, co z tego będzie, i stósownie do tego, ułożyć dalsze postępowanie. Nakoniec postanowiono przy wejściu do Steepways zachować wszelką ostrożność, ażeby nie poznano Hugona, i polecić kapitanowi staranie o to, by żonę i matkę ocalonego żeglarza przygotować na jego powrót.

— Bo to, widzicie, mówił kapitan, ostrożność w tej mierze jest konieczną; wielka radość jest tak niebezpieczną, jak wielka boleść, a nawet niebezpieczniejszą, bo rzadziej się wydarza i dlatego mniej jesteśmy

na nią przygotowanymi. Oprócz tego, radbym postawić się na dobrej stopie z paniami, które mają żal do mnie.

Obydwaj bracia pochwalili niezmiernie przezorność kapitana i podziękowali mu za jego dobroć.

— Poczekajcie-no jeszcze, odparł, przypatrując im się kolejno, i mrużąc oczy w jakiś nowy sposób. Pan mówisz, rzekł do starszego brata, że masz cokolwiek tępe pojęcie.

— Bardzo tępe, zapewniam pana, odrzekł poczciwy Hugo.

— Otóż zapewniam pana, że o ile wiem, mogę się uskarżać na przymiot wprost przeciwny. Przyznasz pan, że człowiek z tępem pojęciem złym jest do interesów?

To było jasne dla obydwu braci.

— Ty, rzekł kapitan do Alfreda, jesteś trochę zakochanym?

— Nie trochę, kapitanie.

— Trochę, czy wiele, dość, że masz głowę poniekąd czem innem zajętą?

To także nie dało się zaprzeczyć.

— A człowiek, mający głowę poniekąd czem innem zajętą, złym jest do interesów?

I to było również jasne.

— No, a teraz ja nie jestem zakochanym, i mam pojęcie wyostrzone różnemi przygodami. Radbym wziąć waszą sprawę na moją głowę i załatwić ją jak najprędzej. Czy zgoda?

Bracia uszczęśliwieni byli tą propozycją i podziękowali mu serdecznie.

— Dobrze, rzekł kapitan, wyjmując zegarek. Mamy piątek, godzina pół do dziewiątej rano. Zanotuj to, i policzymy później, ile godzin zajęła nam ta sprawa, gdy zawiniemy do biura pocztowego waszej matki. Tak. Notatka zrobiona, a teraz do dzieła!

Wzięli się do dzieła tak energicznie, że nazajutrz rano biuro prawnika w Barnstaple było jeszcze zamknięte, gdy kapitan siedział już na progu gwiżdżąc i oczekiwał pisarza z kluczem, aby mu otworzył. Zamiast pisarza przybył atoli sam notariusz, z którym kapitan fraternizował natychmiast za pomocą tak kordjalnych i długich uściśnień dłoni, że szanowny prawnik nie posiadał się ze zdumienia.

Znał on osobiście Hugona i Alfreda, bez wszelkiej trudności przeto dał im do przejrzenia książki i papiery ich ojca, które przechowywał. Były to po największej części stare listy i rachunki, z których kapitan z szybkością i zręcznością, na jakąby się nie zdobył i prawnik, do południa wydobył następujące fakta:

Jako, gdy nieboszczyk był jeszcze młodym i przedsiębiorczym kupcem w Barnstaple, niejaki Lawrence Clissold pożyczył od niego sumę 500 ft. st. Jako pożyczył on ją na podstawie aktu tej treści, iż zamierza włożyć ją w spekulację, która przyniesie mu ma w zysku byt niezawisły, podczas gdy w chwili zaciągnięcia pożyczki, był tylko kontoarzystą u braci Dingworth, America-Squire, w Londynie. Jako pożyczka zawartą była na czas umówiony, po którego upływie atoli spekulacja pana Clissold nie powiodła się, i tenże nie posiadał środków do uiszczenia się z długu. Jako tenże p. Clissold napisał wówczas list do swojego wierzyciela, w treści i formie niezbyt przekonujący, i żądający nieokreślonego przedłużenia terminu. Jako wierzyciel odmówił mu, i oświadczył iż dłużej czekać nie może. Jako, następnie; Clissold, zapłacił dług, dołączając do pieniędzy list pełen żółci z którego wynikało, iż jeden z jego krewnych, dla ocalenia go od ruiny, pożyczył mu potrzebną sumę, poczem Raybrook odpisał, by p. Clissold nie udawał się do niego już nigdy o pożyczkę, bo nie myśli ryzykować pieniędzy w ten sposób.

W obecności notariusza, kapitan nie rzekł ani słowa co do doniosłości tych odkryć. Gdy jednak złożono papiery napowrót do szafy, a nasi trzej podróżni wyszli z biura, prawa noga kapitana ucierpiała na tem długim milczeniu, uderzył bowiem o nią potężnie, mówiąc:

— Wiatr sprzyja dotychczas naszej żegludze, widzicie bowiem, że to wszystko zgadza się z synowską wiarą w uczciwość ojca, jaką wyznawał i wyznaje ten oto ciężko myślący członek waszej rodziny?

Czy bracia zrobili przedtem to spostrzeżenie, czy nie, dość, że teraz zgodzili się z uwagą kapitana, chociaż nie dał im wiele czasu do namysłu, bo natychmiast wsadził ich znowu do wozu pocztowego, i ruszył z nimi do Steepways. Jakkolwiek dzień był jeszcze jasny, gdy tam przybyli, udało im się dostać do pomieszkania p. Tregarthen tak, że nikt ich nie spostrzegł, i nikt nie poznał Hugona. Kasi nie było widać, a ojca jej zastali piszącego w swoim pokoju.

— Panie, rzekł kapitan, ściskając go za rękę, rad jestem niezmiernie, że pana widzę. Jak się pan miewasz? Mówiłem panu, że z czasem będziesz pan miał o mnie lepsze wyobrażenie, i winszuję panu, bo ten czas już przyszedł.

W tej chwili, kapitan spostrzegł, że Tom Petti-fer Ho znajduje się w pokoju, i zajęty jest gotowaniem wieczery na kominku.

— Ten człowiek, rzekł kapitan, bijąc się po nodze, urodził się na szafarza, i nigdy nie powinien był oddawać się innemu zawodowi. Zostań, gdzie jesteś, Tom, i staraj się być użytecznym. Panie Tregarthen, spróbuję usiąść.

I bez żadnej ceremonji, kapitan przysunął sobie krzesło, prawiąc dalej:

— Znasz pan tego zakochanego członka rodziny Raybrooków. Tego tępo pojmującego członka nie

znasz pan. Otoż, są oni braćmi, faktycznie. Hugon zmartwychwstał, i oto stoi tutaj. Otóż uważaj pan, mój przyjacielu. Mniejsza o to, że Hugon wyrzucony był na odludną wyspę, ale natomiast zajmie to pana, iż wyrzucony był w towarzystwie drugiego człowieka. Ten drugi człowiek nazywał się Lawrence Clissold.

Na wspomnienie tego nazwiska, Tregarthen rzucił się i zmienił wyraz twarzy.

— O cóż chodzi? zapytał kapitan.

— Ten Clissold był moim kolegą w kantorze tej samej firmy, trzydzieście pięć lat temu.

— Tak jest, odparł kapitan, podchwytyjąc, w kantorze braci Dingworth, w Londynie, America-Square.

Tregarthen z nieutajonem zdziwieniem potwierdził, że tak w istocie nazywała się firma.

— Między tymi dwoma ludźmi wyrzuconymi na odludną wyspę, mówił dalej kapitan, powstała sprzeczka o nie wyjaśnioną, ale okrągłą sumę 500 ft. st.

Tregarthen rzucił się znowu, jeszcze bardziej zdziwiony.

— O cóż chodzi? zapytał ponownie kapitan.

— Chciej pan mówić dalej, odparł Tregarthen, poczem kapitan zwięźle i sucho opowiedział mu to wszystko, co Hugon Raybrook spamiętał był i spisał z bałamutnych zeznań Clissolda, poczynionych na odludnej wyspie. Wśród tego opowiadania, Tregarthen był mocno poruszonym, a nakoniec zawołał:

— Więc to w istocie Clissold był powodem mojej ruiny! Przez długie lata żywiłem podejrzenie, a obecnie, mam pewność!

— Jakimże sposobem nabyłeś pan tej pewności, rzekł kapitan, przysuwając swoje krzesło i uderzając Tregarthena po ramieniu — mów pan!

— Gdyśmy byli kolegami w owym kantorze, moją czynnością było zaciągać codziennie do pewne

księgi sumy, które odbierała firma, i które następnie odsyłano do banku. Pewnego dnia, była to środa — feralny dzień w moim życiu — między sumami, które wciągnąłem w ten sposób do księgi, była jedna, wynosząca pięćset funtów.

— Zaczynam pojmywać, zauważył kapitan. Mów pan dalej.

— Czynnością Clissolda było odkopjować z mojej księgi wypis sum, które odnosił do banku trzeci nasz kolega. Ja doręczałem pieniądze Clissoldowi, a ten doręczał je trzeciemu koledze. Owey środy, zaciągnąłem sumę pięciuset funtów jako otrzymaną. Doręczyłem ją wraz z wieloma innemi Clissoldowi. Byłem tego zupełnie pewnym naówczas, i jestem dotychczas zupełnie pewnym, iż zaciągnąłem i oddałem tę sumę. Otoż później, szefowie naszego domu handlowego doszli, iż tego dnia brakło sumy pięciuset funtów między pieniędzmi odniesionemi do banku, i że nie było jej w wypisie, sporządzonym przez Clissolda. Ten ostatni, gdy go zapytano, oświadczył z emfazą, iż żąda, ażeby dla sprawdzenia rzeczy porównano jego wypis z moją księgą. Zbadano moją księgę, i brakowało w niej istotnie pozycji, wynoszącej pięćset funtów.

— Jakto, skoro ją pan sam zapisał? zawołał kapitan. Tregarthen ciągnął dalej:

— Wypytano mię, czy zaciągnąłem sumę do księgi? Odparłem że zaciągnąłem ją z pewnością. Okazało mi księgę — brakowało tej pozycji. Nie mogłem wyprzeć się księgi, nie mogłem wyprzeć się mego pisma. Wiedziałem, że ktoś musiał sfałszować kartkę i podrobić inną na miejsce prawdziwej, ale pismo w sposób trudny do uwierzenia podobne było do mego, i nie mogłem rzucać podejrzenia na nikogo. Kazano mi zwrócić pieniądze. Zapłaciłem i podziękowałem za służbę, ze złamanem sercem i z okropnem podejrzeniem, ciężącem na moim charakterze. Wróciłem

do mojego rodzinnego miejsca, Lanrean, i żyłem tam jako pisarz przy kopalni, dopóki nie otrzymałem tu-tejszej mojej posady.

— Przypominam sobie, rzekł kapitan, iż przy pierwszym naszym spotkaniu mówiłem panu, jak łatwo pomylić się, sądząc z pozorów, i jak dalece jesteś pan szczęśliwym, jeżeli się o tem nie przekonał w życiu. Byłeś pan dotknięty mojami słowami, a teraz widzę dlaczego. Żałuję tych słów bardzo.

— Tak to, mój panie, odparł Tregarthen. Byłem zawsze pewnym mojej niewinności, i to było dla mnie zarazem pociechą i torturą. Co do Clissolda, miałem go zawsze w podejrzeniu, dochodzącem prawie do pewności, ale podejrzenie to nie potwierdziło się aż teraz. Dla miłości mojego dziecka i mojej własnej, nie wspomniałem nigdy o tym wypadku, był on jedyną moją tajemnicą, i długi czas myślałem, że zaniosę ją z sobą do grobu.

— No, no, rzekł kapitan serdecznie, na teraz i na długo jeszcze, jak się spodziewam, mowa będzie o życiu, a nie o grobie. Oto są nasi dwaj przyjaciele: zakochany Raybrook i tępą Raybrook. Jest między nimi zgoda co do jednego punktu, pod względem którego popieram ich i poprę na około świata, wzdłuż i w poprzek, i na wskrós, od północy do południa, od wschodu do zachodu, i od najgłębszej waszej kopalni konwalijskiej do Chin. Punkt ten brzmi, iż nie chcą oni zachować wspominaanej tylekroć sumy pieniędzy, i że musi ona być panu zwróconą. Dla zadosyćczynienia słusznosci, i dla pamięci swojego ojca, przygotowują oni dla pana te pieniądze na jutro. Weźmij je pan, ulżyj ich sercu i mojemu, i niechaj się skończy ten nieszczęsny interes!

Tregarthen podał rękę każdemu ze swoich trzech gości, ale stanowczo odpowiedział: nie. Mówił, że wierzą mu na słowo, że wdzięczny im jest za to, i że go to cieszy, ale dowodu nie ma, i pieniądze muszą

zostać w ich posiadaniu. Rozprawiano więc długo i gorąco o tej kwestji, a gorąca rozprawa między ludźmi słusznymi i uczciwymi sprawia takie wrażenie, że nawet p. Pettifer porzucił swoje kucharskie zajęcie i przypatrywał im się mocno wzruszony.

— I tak, zawołał kapitan, sprawa stała na punkcie, na którym byłby ją postawił ów prawnik, z którym rozmawialiśmy dziś rano. Dowodów nam potrzeba, dowodów! Zkąd je wziąć, te dowody? Z bałamutnych zeznań Clissolda, i z tego co pan mi powiedziałeś, widzę, co zrobił ten bazgrający rozbójnik, który był kupką węgla i popiołu, gdy miałem przyjemność zrobienia jego znajomości. Podrobił pańskie pismo, wydarł kartkę z księgi i włożył na jej miejsce inną. Otóż czy zniszczył prawdziwą kartkę? Nie, z tego bowiem co plótł po pijanemu, wiemy, iż wpuścił kartkę w szparę, która znajdowała się w jego pulcie, a to z powodu, że wszedłeś pan do kantoru, nim mógł spalić kartkę, i ponieważ później nie miał sposobności wykonać swojego zamiaru. Poczekajże pan. Gdzie ten pult może być teraz? Czy uważasz pan za rzecz prawdopodobną, iż znajduje on się jeszcze w domu przy America-Square, w City?

Tregarthen potrząsł głową.

— Dom braci Dingworth wyprowadził się z tamtąd oddawna. Słyszałem i czytałem, że przeniósł się gdzieś indziej, że go powiększono, rozszerzono, zmieniono. Wszystko zmienia się szybko w tych czasach.

— Tak się panu zdaje, odparł kapitan z politowaniem, ale przyjedź pan do mnie, i zobacz pan, mnie, nim pan mówisz o zmianach. Ale — ten pult, ten papier — ten papier — ten pult — powtarzał kapitan, chodząc po pokoju, i w roztargnieniu swoim wpatrując się we wnętrze słynnego kapelusza, którym pan Pettifer Ho chronił swoją głowę od uderzeń słońca. Ten pult — ten papier, ten pult, powtarzał dalej, dalszym...

Ale kapitan nie dał nic, tylko wziął znowu do ręki kapelusz swojego szafarza, i wpatrzył się w jego wnętrze, jak gdyby był w kościele. Następnie przeszedł się znowu parę razy po pokoju, i znowu powtórzył:

— Ten pult, należący do domu braci Dingworth, z America-Square, w City londyńskiej...

W tej chwili pan Pettifer Ho, coraz bardziej wzruszony, ośmielił się przerwać mowę swojego naczelnika.

— Kapitanie Jorgan, nie chciałbym przerywać, ale muszę. Mam niejaki wiadomości o domu handlowym braci Dingworth.

Kapitan zatrzymał się nagle w swojej przechadzce po pokoju i wpatrzył się ciekawie w Pettifera, trzymając jego kapelusz pod pachą.

— Wiadomo panu, rzekł szafarz, że byłem dawniej tandeciarzem w Londynie?

— Wiadomo mi, że zbankrutowałeś na tym interesie, jak na wszystkich innych.

— Nie na wszystkich, kapitanie, ale zbankrutowałem na tandecie. Byłem spółnikiem mojego brata, kapitanie. Gdy dom handlowy braci Dingworth opuszczał dawny swój lokal przy America Square, sprzedawano tam stare urządzenie kantoru, a ja i mój brat zakupiliśmy te graty. Otóż mogę powiedzieć śmiało, że jedyną rzeczą, jaką dostałem kiedy od mojego brata, albo któregokolwiek innego krewnego, był stary pult, kupiony przy tej sposobności i mocno pęknięty. Brat mój nie byłby mi dał i tego, przy rozwiązaniu naszej spółki, gdyby nie ta okoliczność, że pult nie był wart ani szeląga.

— Gdzież jest ten pult obecnie? zapytał kapitan.

— Tego nie wiem z pewnością, kapitanie, ale to wiem, że gdy ostatnim razem opuszczał Londyn, pult ten znajdował się u pewnej kobieciny na przed-

mieściu Wapping, zagrabiony wraz z innemi mojemu sprzętami za długi.

Podczas gdy wszyscy obecni, z niezmiernem zajęciem zwracali uwagę na Pettifera, kapitan natomiast nie spojrzał na niego wcale, ale zanurzył swoją twarz w głębie jego olbrzymiego kapelusza. Twarz ta, gdy ją наконец pokazał, była dziwnie poruszoną i zagadkową.

— Tomaszu, rzekł kapitan — gdyśmy tu przybyli przed kilkoma dniami, wspominałem o twojej szczególnej obawie przed uderzeniami słońca?

— Tak jest, kapitanie.

— Trzymajcie mię, zawołał kapitan, bo upadnę prosto na garnki i rynki tego cudownego szafarza! Tomaszu, pod przysięgą twoją, jako szafarz okrętowy, zeznaj natychmiast, czy nie kazałeś rozebrać owego pulpitu, aby go przerobić?

— Pod przysięgą kapitanie, kazałem to uczynić w istocie.

— I jak mi Bóg miły, przyjaciele. wołał dalej kapitan, nie posiadając się z radości, nieba natchnęły Tomasza Pettifera taką obawą promieni słonecznych, i taką troską o swoją głowę, że znalazłszy w szparze owego pulpitu oryginalną kartkę, pisaną ręką Tregarthena, wykleił nią swój kapelusz, i — oto jest ta kartka!

Przy tych słowach, ku kompletnemu zniszczeniu i ostatecznej ruinie historycznego kapelusza, kapitan wy dobył z niego kartę z księgi kupieckiej, bardzo pomiętą, ale zawsze jeszcze czytelną, potem uderzył się po obydwóch nogach z takim łoskotem, że słyszano go zapewne w zatoce, i nie wiadano, co to znaczy.

— Kwadrans na szóstą, zawołał kapitan w tryumfie, patrząc na zegarek — w trzydziestu trzech godzinach i piętnastu minutach zawinęliśmy tedy do portu, po nader pomysłnej żegludze!

Zbytecznem byłoby opisywać, jaką radość wywołało to odkrycie, jak bracia natychmiast zwrócili pieńdże Tregarthenowi, jak następnie Tregarthen przeznaczył je na posag dla swojej córki, jak kapitan podjął się odwiedzić braci Dingworth i rehabilitować dawnego i zapomnianego już ich kontoarzystę, jak nakoniec pojawiła się Kasia, i jak omal jej nie uduszono, i jak na nowo oznaczono dzień wesela. Równie zbytecznem byłoby dodawać, że Kasia i Alfred udali się natychmiast do matki tego ostatniego, zapowiadając wizytę kapitana i ogłaszając go potężnym czarnoksiężnikiem, któremu zawdzięczają swoje szczęście, poczem cofnęli się, i zostawili resztę kapitanowi.

Uradowany swoją misją, zaglądnął on do pokoju, gdzie znajdowała się pani Raybrook wraz z młodą wdową, i zapytał:

— Czy mogę wejść?

— Co zapytanie, kapitanie Jorgan! zawołała starszka. Któż więcej od pana może mieć prawa do tego, choć przy pierwszej swojej bytności w naszym domu znalazłeś pan w nim tak niegrzeczne przyjęcie. Proszę pana o przebaczenie!

— Niech pani nie prosi, bo nie dopuszczę do tego. Ha, dodał, siadając na krześle przed kominem między obydwoma kobietami — w życiu mojem nie byłem w tak nieznośnym humorze, jak dzisiaj! Powiadam pani, że byłbym w stanie zerwać wszelkie stosunki sam z sobą, jak ów kupiec w mojej ojczyźnie, który dawszy się złapać w pewnym interesie, stanął przed zwierciadłem i oświadczył: „Słuchaj bratku, od dziś przestajemy mówić z sobą!“ I dotrzymał słowa, a z nudów zebrał później kolegium ostryg, i przełożył tabliczkę Pitagoresa na ich język. Jest to fakt, który może być udowodnionym, a jeżeli panie wątpicie o jego prawdziwości, spytajcie pierwszą lepszą ostrygę, którą spotkacie, a zobaczycie, że nie będzie miała czoła zaprzeczyć temu, co powiedziałem.

Wśród tego opowiadania, kapitan wziął dziewczynkę, którą Małgorzata trzymała na ręku, i posadził ją sobie na kolanach.

— O, nie boi się mnie już teraz! Ona wie, że lubię małe dzieci! Mam w domu taką małą dziewczynkę, i śpiewam jej czasami.

— Co pan śpiewasz? zapytała Małgorzata.

— Nie długą piosneczkę, moja pani:

„Na kolanach, na kolanach,
Jorgan grywał na organach.“

A czasem, mówił dalej kapitan, opowiadam jej także powiastki. Piękne powiastki, o żeglarzach, których miano za zgubionych, i którzy powrócili do domu, gdy już wszyscy stracili nadzieję oglądania ich kiedykolwiek. Tu kapitan, kołysząc dziecko, począł nucić:

Na kolanach, na kolanach,
Jorgan grywał na organach.

Powtarzał on swoją piosneczkę z oczyma wlepionymi w ogień na kominku, czuł bowiem, że Małgorzata zatrzymała się w robocie, którą była zajęta.

— Tak, mówił kapitan dalej, ciągle patrząc w ogień. Układam powiastki, i opowiadam je mojej córeczce. Powiastki o rozbiciu się okrętu o odludną wyspę, i o długich, długich latach, upływających przed powrotem do domu. Do takich to powiastek, kołysząc córeczkę:

Na kolanach, na kolanach,
Jorgan grywa na organach.

Oprócz ognia na kominku, nie było innego światła w pokoju, a noc rozpostarła już była swoje cienie do kola. Przez okno widać było gwiazdy na niebie, które pojawiały się teraz jedna po drugiej, tak jak poprzednio nikły jedna po drugiej chaty wiejskie. Kapitan czuł, że Małgorzata nie spuszczała oczu z niego, i tem pilniej wpatrywał się w ogień.

— O tak, mówił, układam powiastki o braciach, którym łaskawa opatrzność boska pozwoliła widzieć się po długim rozstaniu. O synach, wróconych matkom — o mężach, powróconych żonom — o ojcach, z głębi morza powróconych małym dzieciątkom, jak ona...

Małgorzata dotykała jego ramienia, i musiał spojrzeć na nią. W tej samej chwili, matka i synowa klęczały obok niego.

— Co się stało? pytał kapitan kołysząc dziecko, co się stało?

Na kolanach, na kolanach,

Jorgan grywał...

Spojrzenia i łzy kobiet nie dały mu dokończyć piosneczki, jakkolwiek nie długiej.

— Pani Małgorzato, rzekł poważnie. Zniosłaś pani nieszczęście mężnie. Czy potrafiłabyś pani równie mężnie znieść i szczęście, gdyby przyszło?

— Mam nadzieję w Bogu, odpowiedziała z bijącym sercem.

— Otoż, moja droga pani, kto wie, czy to szczęście nie przyszło. On — nie przestraszaj się pani, czy mam powiedzieć to słowo?

— On żyje!

— Tak.

Gorące dziękczynienie, z jakim kobiety wzniosły oczy i ręce ku niebu, rozbroiło kapitana. Wyjął otwarcie chustkę z kieszeni i otarł łzy z oczu.

— Znajduje on się nie dalej, mówił, jak w Ameryce. To jest, nie dalej, jak w Anglii. Ba, prawdę powiedziawszy, nie dalej, jak w Falmouth. Wątpię nawet, czy tak daleko. W istocie, gdybym był pewnym, że panie zniesiecie to, jak należy, gwizdnąłbym tylko...

Misja kapitana była spełnioną. Drzwi otworzył się, i rodzina była złączoną.

Tom Pettifer Ho miał tak piękną sposobność, jak rzadko, pojawienia się z szklanką wody w rękach i ofiarowania jej damom, przy czem uspakajał je i układał ich suknie, jak gdyby były podróżnymi na statku, i potrzebowały jego pomocy i opieki. Gdy p. Tomasz czynił w ten sposób zadość swoim obowiązkom jako szatny okrętowy, kapitan z radości bił się po nogach w sposób, o którym sam jeden chyba mógł mieć wyobrażenie, z pewnością atoli natłuc sobie musiał niemało sińców.

Nie mógł być na weselu, bo musiał dotrzymać kilku terminów, w niewygodnej odległości czterech tysięcy mil angielskich. Nazajutrz tedy, cała wieś odprowadziła go na szczyt góry, gdzie wyściskał dłonie kilku pokoleniom ludności miejscowej, zapraszając wszystkich bez wyjątku, ażeby go odwiedzili i zabawili parę miesięcy u niego, w Salem, w państwie Massachusetts Zjednoczonych Stanach. Stał tam przez chwilę, na tem samem miejscu, gdzie przed kilkoma dniami oglądał ów złoty obraz miłości i pożegnania — i oglądał teraz drugi obraz złoty, z perspektywą złotych lat szczęścia. Kasia objęła go ramionami za szyję, wycałowała jego policzki, ogorzone od słońca i wiatru, i oparła głowę na jego piersi, wstydząc się, że z początku wyrażała się o nim z taką niechęcią. Kapitan zdjął kapelusz, i trzy razy machnął nim w powietrzu nad swoją głową, na znak pożegnania, poczem widziano go, jak odchodził z rękami w kieszeniach, a za nim wierny Tom Pettifer Ho. A nim trzy lata okryły zielenią drzewa w tem miejscu, i nim trzy jesienie wyścieliły ziemię złotymi liśćmi, rumiany chłopczek biegał tam pomiędzy drzewami i tulił się do piersi młodej matki, a dziecięciu temu rybackiemu było na imię: Jorgan Raybrook.

K o n i e c .

8134

Białymstoku

Z drukarni A. J. O. Rogosza.